ZOTWIE AZ DO KOŃCA

AUTOR BESTSELLERA „GWIAZD NASZYCH WINA"

JOHN GREEN

BUKOWY LAS

Choć dzieliła nas tylko rzeka, potrzeba było dziesięciu minut i wielu zakrętów, by dojechać do mojego domu, bo w okolicy jest tylko jeden most. Jeśli nie liczyć moich wskazówek dla kierowcy, milczeliśmy. Gdy w końcu Davis zajechał przed dom, poprosiłam go o komórkę i wklepałam mu swój numer. Daisy wysiadła bez pożegnania, a ja już miałam się wygramolić, ale gdy oddawałam Davisowi komórkę, chwycił mnie za prawą dłoń i obrócił ją wnętrzem do góry.

– Pamiętam to – powiedział.

Spojrzałam w dół. Chodziło mu o plaster na palcu. Wyrwałam dłoń i zacisnęłam w pięść.

– Boli? – zapytał.

Z jakiegoś powodu miałam ochotę powiedzieć mu prawdę.

– Nieważne, czy boli.

– Całkiem dobre motto życiowe.

Uśmiechnęłam się.

– Może. Nie wiem. Pójdę już.

– Miło cię było zobaczyć, Azo! – rzucił, nim zdążyłam zatrzasnąć drzwi.

– Ciebie też – odparłam.

Spis treści

Okładka
Karta tytułowa
Karta redakcyjna
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21

Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Podziękowania
Wydawnictwo Bukowy Las poleca inne książki Johna Greena
Okładka

JOHN GREEN

ZOŁWIE AŻ DO KOŃCA

przełożyła
Iwona Michałowska-Gabrych

BUKOWY LAS

TYTUŁ ORYGINAŁU: Turtles All the Way Down

Copyright © 2017 by John Green
All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem do reprodukcji w całości lub we fragmencie w jakiejkolwiek formie.

This edition published by arrangement with Dutton Children's Books, an imprint of Penguin Young Readers Group, a division of Penguin Random House LLC.

Copyright © for the Polish edition and translation by Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o., 2017

ISBN 978-83-8074-131-7

PROJEKT OKŁADKI: Rodrigo Corral
REDAKCJA: Olga Gitkiewicz
KOREKTA: Urszula Włodarska
REDAKCJA TECHNICZNA: Adam Kolenda

WYDAWCA:
Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o.
ul. Sokolnicza 5/76, 53-676 Wrocław
www.bukowylas.pl

WYŁĄCZNY DYSTRYBUTOR:
Firma Księgarska Olesiejuk
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. 22 721 30 11, fax 22 721 30 01
www.olesiejuk.pl, e-mail: fk@olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej: pan@drewnianyrower.com

Henry'emu i Alice

Człowiek może robić, co chce,
ale nie może decydować, czego chce.
Arthur Schopenhauer

1

Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że mogę być fikcją, podczas monotonnych dni spędzanych w publicznej instytucji znanej jako liceum White River na północy Indianapolis, gdzie siły o tyle większe ode mnie, że nie jestem w stanie nawet spróbować ich zidentyfikować, kazały nam jeść lunch w określonym okienku czasowym – między 12:37 a 13:14. Gdyby te same siły wyznaczyły mi inny czas na lunch albo gdyby towarzysze lunchu, którzy stali się współtwórcami mojego losu, tamtego wrześniowego dnia wybrali inny temat rozmowy, czekałby mnie całkiem inny koniec, a przynajmniej inny środek. Zaczynałam jednak rozumieć, że życie to nie tyle twoja opowieść, co opowieść o tobie.

Oczywiście udajesz, że jesteś jej autorem. Musisz. Myślisz: „Teraz pójdę na lunch", gdy o 12:37 z góry dobiega ten monotonny dzwonek. Ale to on decyduje. Łudzisz się, że jesteś malarzem, a w rzeczywistości jesteś płótnem.

W stołówce przekrzykiwały się setki głosów, zmieniając rozmowy w jednostajny szum przypominający łoskot rwącej rzeki przewalającej się przez kamienie. W obrzydliwie sztucznym świetle jarzeniówek myślałam o tym, że choć każde z nas uważa się za bohatera osobistej epopei, w istocie jesteśmy niemal identycznymi organizmami zasiedlającymi wielką, pozbawioną okien salę cuchnącą lizolem i smalcem.

Jadłam kanapkę z masłem orzechowym i miodem. Piłam dra peppera. Szczerze mówiąc, cały proces przeżuwania zwierząt i roślin, a potem przepychania ich przez przełyk wydaje mi się nieco obrzydliwy, więc starałam się nie myśleć o tym, że jem, co oczywiście także jest formą myślenia o tym.

Nasz stolik przypominał sztukę nieschodzącą z afisza na Broadwayu: aktorzy z biegiem czasu się zmieniali, ale role nigdy.

Naprzeciwko mnie Mychal Turner bazgrał coś w notesie z żółtymi kartkami. Mychal był typem artysty, a Daisy Ramirez, usiłująca prowadzić z nim rozmowę, od czasu podstawówki wcielała się w rolę mojej Najlepszej i Najbardziej Nieustraszonej Przyjaciółki. Niestety z powodu hałasu nie słyszałam ani słowa z ich konwersacji.

Kim byłam w tym przedstawieniu ja? Postacią drugoplanową. Koleżanką Daisy, córką pani Holmes. Czyimś kimś.

Czułam, jak mój żołądek zaczyna trawić pożywienie, i mimo panującego wokół hałasu słyszałam, jak pracuje. Bakterie przeżuwały maź masła orzechowego niczym uczniowie w mojej wewnętrznej stołówce. Wstrząsnął mną dreszcz.

– Czy ty czasem nie byłaś z nim na obozie? – odezwała się Daisy.

– Z kim? – zdziwiłam się.

– Z Davisem Pickettem.

– Owszem – odparłam. – A co?

– Nie słyszałaś? – zapytała.

Ależ słyszałam. Kakofonię moich narządów. Oczywiście od dawna wiedziałam, że jestem gospodynią legionu pasożytniczych organizmów, ale nie lubiłam, gdy mi o tym przypominano. W przeliczeniu na liczbę komórek ludzie składają się w pięćdziesięciu procentach z mikrobów, co oznacza, że mniej więcej połowa tworzących cię komórek w ogóle nie jest twoja. Liczba mikrobów w moim biomie jakieś tysiąc razy przewyższa liczbę ludzi na całej Ziemi, a ja czasem mam wrażenie, że czuję, jak we mnie żyją, mnożą się i umierają. Wytarłam o dżinsy spocone dłonie i starałam się skupić na oddechu. Przyznaję, że mam pewien problem lękowy, ale z drugiej strony, cóż jest nieracjonalnego w przejmowaniu się faktem, że jest się wielką kolonią bakterii obleczoną w skórę?

– Jego ojciec miał iść do więzienia za łapówki – wyjaśnił Mychal – ale kiedy po niego przyszli nad ranem, okazało się, że zniknął. Wyznaczyli nagrodę stu tysięcy dolarów za jego odnalezienie.

– A ty znasz jego syna! – podniecała się Daisy.

– Znałam – poprawiłam ją.

Daisy atakowała widelcem prostokątną stołówkową pizzę z zieloną fasolką, raz po raz zerkając na mnie wzrokiem

mówiącym: „No dalej!”. Czułam, że powinnam ją o coś zapytać, ale nie wiedziałam o co, bo mój żołądek nie chciał się zamknąć, a głową zawładnął strach, że mogłam się zarazić pasożytem.

Mychal nawijał o jakimś nowym projekcie, w którym wykorzystuje Photoshop do wyciągnięcia średniej z setki zdjęć twarzy ludzi o imieniu Mychal, by w ten sposób stworzyć nowego, sto pierwszego Mychala. Pomysł wydał mi się ciekawy i chciałam o nim posłuchać, ale w stołówce było za głośno, a poza tym nie mogłam przestać myśleć o tym, że coś niedobrego dzieje się z mikrobiotyczną równowagą sił w moim organizmie.

Nadmierne burczenie w brzuchu jest rzadko spotykanym, lecz notowanym objawem zarażenia bakterią *Clostridium difficile*, które może doprowadzić do śmierci. Wyjęłam komórkę i wpisałam w wyszukiwarkę „Flora fizjologiczna człowieka”, by jeszcze raz przeczytać w Wikipedii charakterystykę bilionów zamieszkujących mnie mikroorganizmów. Przeszłam do artykułu o *Clostridium difficile* i przewinęłam do fragmentu o tym, że większość zarażeń następuje w szpitalach. Znalazłam listę objawów, z których nie miałam żadnego oprócz nadmiernego burczenia w brzuchu, choć wiedziałam z poprzednich wyszukiwań, że w klinice w Cleveland zmarła przynajmniej jedna pacjentka uskarżająca się wyłącznie na burczenie i gorączkę. Powtarzałam sobie, że przecież nie mam gorączki, a moje „ja” dodawało: „…jeszcze”.

W stołówce, gdzie wciąż przebywał kurczący się skrawek mojej świadomości, Daisy perorowała, że projekt nie powinien dotyczyć ludzi o imieniu Mychal, lecz więźniów, którzy po fakcie zostali oczyszczeni z zarzutów.

– Zresztą byłoby prościej – mówiła – bo wszystkim robi się w więzieniu zdjęcia pod tym samym kątem, a poza tym nie chodzi o coś tak prostego jak imię, tylko o rasę, klasę i masowe aresztowania.

– Jesteś genialna – odparł Mychal, a ona mu na to:

– Nie wiedziałeś?

Ja tymczasem zastanawiałam się, czy skoro połowa komórek we mnie nie jest moja, całe pojęcie jednostki, zwłaszcza w znaczeniu kogoś, kto steruje swoim życiem, nie jest przereklamowane. Tak głęboko wpadałam w ten wir rozmyślań, aż

kompletnie odpłynęłam ze stołówki liceum White River w jakieś nieuchwytne miejsce, które odwiedzają jedynie osoby naprawdę stuknięte.

Od dzieciństwa mam zwyczaj wbijania paznokcia prawego kciuka w opuszek środkowego palca, co zaowocowało osobliwym zgrubieniem. Po wielu latach takich praktyk skóra w tym miejscu łatwo pęka, więc przyklejam plaster, żeby zapobiec infekcjom. Czasem jednak dopada mnie lęk, że infekcja już się rozwija, więc muszę ją usunąć – a jedyny sposób to otwarcie rany i przyciskanie jej, by upuścić trochę krwi. Kiedy już zaczynam myśleć o upuszczeniu krwi, po prostu nie mogę tego nie zrobić. Wybaczcie podwójne przeczenie, ale ta sytuacja sama w sobie jest takim przeczeniem – zaułkiem, z którego można się wydostać jedynie poprzez zanegowanie negacji. Tak czy owak, poczułam, jak mój paznokieć wbija się w skórę palca, i wiedziałam, że wszelki opór jest zasadniczo bezcelowy, więc pod stołem zsunęłam plaster i naciskałam zgrubiałą skórę, póki nie pękła.

– Holmesy – odezwała się Daisy. Podniosłam na nią wzrok. – Lunch się kończy, a ty ani słowem nie wspomniałaś o moich włosach. – Potrząsnęła głową i zobaczyłam jaskraworóżowe pasemka.

O. Pofarbowała.

– Odważne – powiedziałam, wynurzając się z głębin.

– Prawda? Jakby mówiły: „Panie i panowie, a także osoby nieidentyfikujące się jako panie czy panowie, Daisy Ramirez nie łamie obietnic, ale za to potrafi złamać wam serca”.

„Łam serca, nie obietnice” było życiowym mottem Daisy. Odgrażała się, że wytatuuje to sobie wokół kostki, gdy skończy osiemnaście lat.

Tymczasem przeniosła uwagę na Mychala, a ja wróciłam do swoich myśli. Burczenie w brzuchu się wzmogło i miałam wrażenie, że zwymiotuję. Jak na kogoś, kto obsesyjnie nienawidzi płynów ustrojowych, rzygam całkiem sporo.

– Wszystko OK, Holmesy? – zapytała Daisy. Pokiwałam głową. Czasem się zastanawiałam, dlaczego mnie lubi, a przynajmniej toleruje. Dlaczego ktokolwiek mnie znosi, skoro wkurzam nawet samą siebie?

Czułam, jak pot występuje mi na czoło – a kiedy już zaczynam się pocić, to na całego. Pocę się godzinami, nie tylko na twarzy czy pod pachami. Pocą mi się łydki, piersi, szyja.

Do licha, może faktycznie mam gorączkę.

Pod stołem wsunęłam do kieszeni stary plaster i bez patrzenia wyjęłam nowy, rozwinęłam i dopiero wtedy na chwilę spojrzałam w dół, by przykleić. Przez cały czas wdychałam powietrze nosem i wydychałam ustami, tak jak zalecała doktor Karen Singh: „Wydmuchuj tak, żeby twój oddech zachwiał płomykiem świecy, ale jej nie zgasił. Wyobraź sobie tę świecę, Azo, dmuchaj na nią i patrz, jak płomyk migocze, lecz trwa". Próbowałam, ale spirala myśli i tak się zacieśniała. Słyszałam, jak doktor Singh mówi, żebym nie wyjmowała telefonu i nie sprawdzała po raz kolejny tych samych haseł, ale i tak wyjęłam komórkę i wklepałam w Wikipedii „Flora fizjologiczna człowieka".

Problem ze spiralą myślową jest taki, że kiedy ruszasz nią do wewnątrz, nigdy się nie kończy – po prostu zacieśnia się w nieskończoność.

*

Zamknęłam ostatnią ćwiartkę kanapki w hermetycznym woreczku, wstałam i wyrzuciłam ją do przepełnionego kubła na śmieci.

– Jak bardzo powinnam się martwić tym, że nie wypowiedziałaś przez cały dzień więcej niż dwóch słów z rzędu? – zapytał głos za mną.

– Spirala myślowa – wymamrotałam w odpowiedzi. Daisy znała mnie od szóstego roku życia. Nie musiałam jej nic tłumaczyć.

– Tak myślałam. Kurczę. Spotkajmy się po lekcjach.

Podeszła do nas niejaka Molly, cała w skowronkach.

– Pewnie cię zainteresuje, że twoje lemoniadowe włosy pobrudziły ci bluzkę – oświadczyła z satysfakcją, patrząc na Daisy.

Daisy zerknęła przez ramię – i rzeczywiście, na pasiastej koszulce widniały różowe smugi. Zmarszczyła brwi, ale zaraz wyprostowała się dumnie.

– To część mojego wizerunku, Molly. Poplamione bluzki są najnowszym krzykiem mody w Paryżu. – Obróciła się do mnie. – To co? Jedziemy do ciebie i oglądamy *Rebeliantów*? – Miała fioła na punkcie *Gwiezdnych wojen*. Nie tylko filmów, ale książek, animacji i tego serialu dla dzieci, w którym wszystkie postacie zrobione są z lego. Pisała nawet fanfiki o perypetiach miłosnych Chewbakki. – I będziemy poprawiać ci nastrój, aż zdołasz wypowiedzieć trzy albo i cztery słowa z rzędu, dobra?

– Brzmi nieźle.

– A potem możesz mnie podrzucić do pracy. Wybacz, ale potrzebuję podwózki.

– Spoko. – Chciałam powiedzieć więcej, ale myśli wciąż nacierały. Nieproszone, niechciane. Gdybym była kreatorką swego życia, przestałabym myśleć o swojej florze fizjologicznej. Powiedziałabym Daisy, jak bardzo podoba mi się projekt zdjęciowy Mychala oraz że owszem, pamiętam Davisa Picketta. Pamiętam, jak miałam jedenaście lat i już wtedy dźwigałam na swoich barkach nieokreślony lęk. Opowiedziałabym, jak pewnego razu na obozie leżałam obok Davisa na skraju pomostu, zwieszając nogi nad wodą i czując pod plecami nieheblowane deski. Gapiliśmy się na bezchmurne letnie niebo. Powiedziałabym jej, że nigdy wiele nie rozmawialiśmy ani nawet nie patrzyliśmy na siebie, ale to nieważne, bo patrzyliśmy razem na to samo niebo, co może nawet jest rzeczą bardziej intymną niż patrzenie sobie w oczy. Każdy może na ciebie spojrzeć, lecz spotkanie kogoś, kto widzi ten sam świat co ty, jest zjawiskiem dość rzadkim.

2

Większość strachu udało mi się wypocić, ale wychodząc ze stołówki na lekcję historii, mimo wszystko wyłowiłam komórkę z kieszeni i raz jeszcze wyszukałam artykuł „Flora fizjologiczna człowieka”, który powinien się znajdować w kategorii „horrory”. Kiedy tak szłam i czytałam, usłyszałam głos mamy wołającej mnie przez otwarte drzwi swojej sali. Siedziała za metalowym biurkiem, pochylona nad książką. Uczyła matmy, ale jej wielką pasją było czytanie.

– Nie używamy telefonów na korytarzu, Azo! – zawołała.

Schowałam komórkę i weszłam do sali. Do końca przerwy na lunch zostały cztery minuty – w sam raz na rodzinną pogawędkę.

Mama zerknęła na mnie i chyba zobaczyła coś w moich oczach.

– Wszystko OK? – zapytała.

– Taa, wporzo – odmruknęłam.

– Nie masz lęków – powiedziała.

Doktor Singh poprosiła ją kiedyś, żeby przestała mnie pytać, czy czuję lęk, więc teraz zamiast pytać, mama negowała.

– Nic mi nie jest.

– I bierzesz lekarstwa. – Zapamiętała też, żeby nie okazywać mi braku zaufania.

– Taaa… – odparłam, co zasadniczo nie było kłamstwem. Gdy w pierwszej klasie przeżyłam coś w rodzaju załamania nerwowego, zapisali mi okrągłe białe tabletki. Codziennie miałam łykać jedną. Brałam je średnio trzy razy w tygodniu.

– Chyba się trochę…

Dobrze wiedziałam, że chce powiedzieć „spociłaś”.

– Kto decyduje o tym, kiedy dzwoni dzwonek? – zapytałam. – Na przykład w szkole?

– A wiesz, że nie mam pojęcia? Chyba ktoś z kuratorium.

– Kto wymyśla to, że przerwa na lunch trwa trzydzieści siedem minut, a nie pięćdziesiąt? Albo dwadzieścia dwie? Albo ileś?

– Twój mózg wydaje się pracować na bardzo szybkich obrotach – zauważyła mama.

– Po prostu się zastanawiam. Nie wiem tych wszystkich rzeczy i muszę z tym żyć. To trochę tak, jakbym żyła na podstawie czyjegoś planu i nigdy nawet nie spotkała tej osoby.

– Cóż, pod tym względem i wieloma innymi amerykańskie licea trochę przypominają więzienia.

Zrobiłam wielkie oczy.

– Kurczę, mamo, trafiłaś w sedno! Te wykrywacze metalu i ściany z pustaków…

– Jedne i drugie są przepełnione i niedofinansowane – weszła mi w słowo. – I ludzie poruszają się w nich na dzwonek.

– I nie wolno samemu decydować, kiedy się je lunch – dodałam. – Poza tym w więzieniach pracują żądni władzy, skorumpowani strażnicy, zupełnie tacy jak nauczyciele w szkołach.

Zerknęła na mnie z ukosa, ale zaraz wybuchnęła śmiechem.

– Wracasz po lekcjach prosto do domu?

– Tak. Potem muszę zawieźć Daisy do pracy.

Skinęła głową.

– Czasem żałuję, że nie jesteś już dzieckiem, ale potem przed oczami staje mi Chuck E. Cheese[1] i dochodzę do wniosku, że mogłoby być gorzej.

– Daisy próbuje zarobić na studia.

Mama spuściła wzrok na książkę.

– Gdybyśmy mieszkali w Europie, studiowanie byłoby znacznie tańsze. – Przygotowałam się na jej tradycyjną gadkę na temat kosztów studiowania. – W Brazylii studia są darmowe. W większości europejskich krajów też. I w Chinach. A tu za naukę na państwowej uczelni żądają dwudziestu pięciu tysięcy dolarów rocznie! Parę lat temu skończyłam spłacać własne kredyty, a za chwilę będziemy musiały wziąć kolejne na ciebie!

– Dopiero zaczynam jedenastą klasę. Mam mnóstwo czasu na wygranie na loterii. A jak się nie uda, zacznę handlować amfą.

Uśmiechnęła się posępnie. Naprawdę przejmowała się kosztami

moich przyszłych studiów.

– Na pewno wszystko gra? – zapytała.

Skinęłam głową. Dobiegający z góry dzwonek dawał mi sygnał, że czas udać się na historię.

*

Gdy po lekcjach dotarłam do samochodu, Daisy siedziała już w fotelu pasażera. Zdjęła poplamioną koszulkę i włożyła swoje czerwone polo Chuck E. Cheese. Trzymała plecak na kolanach, pijąc szkolne mleko z kartonika. Była jedyną osobą, której ufałam na tyle, by dać jej kluczyki do Harolda. Nawet moja mama ich nie miała.

– Nie pij nieczystych płynów w moim samochodzie – powiedziałam.

– Mleko jest czyste!

– Bzdura – oświadczyłam. Podjechałam do drzwi szkoły i zaczekałam, aż Daisy wyrzuci mleko do kubła.

*

Może byliście kiedyś zakochani. Chodzi mi o prawdziwą miłość, którą moja babcia opisywała cytatem z pierwszego listu św. Pawła do Koryntian – taką, co to jest cierpliwa i łaskawa, nie zna zazdrości, nie szuka poklasku, wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, wszystko przetrzyma. Nie lubię szastać słowem na „m”, bo to, co się pod nim kryje, jest zbyt dobre i zbyt rzadkie, by go nadużywać. Można mieć dobre życie, nie znając w ogóle prawdziwej miłości, tej z listu do Koryntian, ale ja miałam szczęście. Znalazłam Harolda.

Był szesnastoletnią toyotą corollą w kolorze mystic teal mica, z silnikiem warczącym w jednostajnym rytmie, jakby to było bicie jego niepokalanego metalowego serca. Kiedyś należał do mojego taty i szczerze mówiąc, to tata nadał mu imię. Mama nie chciała sprzedać auta, więc stało w garażu przez osiem lat aż do moich szesnastych urodzin.

Zmuszenie silnika Harolda do współpracy po tak długiej przerwie pozbawiło mnie całych czterystu dolarów, które zaoszczędziłam

do tamtego momentu – kieszonkowego, reszty chomikowanej od czasu do czasu, gdy mama wysyłała mnie po zakupy do Circle K, zarobków z pracy sezonowej w Subwayu, prezentów gwiazdkowych od dziadków – więc w pewnym sensie Harold stanowił zwieńczenie całego mojego życia, przynajmniej w sensie finansowym. Kochałam go. Często o nim śniłam. Miał wyjątkowo przestronny bagażnik, zrobioną na zamówienie wielką białą kierownicę i tylne siedzenie obite jasnobeżową skórą. Przyspieszał z łagodnym spokojem mistrza zen, który wie, że z niczym nie trzeba się spieszyć, a jego hamulce pojękiwały jak metaliczna muzyka. Kochałam go.

Niestety Harold nie miał Bluetootha ani nawet odtwarzacza CD, co oznaczało, że decydując się na jego towarzystwo, miało się trzy wyjścia: 1. Jechać w ciszy; 2. Słuchać radia; 3. Słuchać strony B kasety mojego taty z doskonałym albumem Missy Elliott *So Addictive*, którą – ponieważ kieszeń w magnetofonie nie chciała się otworzyć – przesłuchałam już w życiu setki razy.

Nie wiedziałam jeszcze, że niedoskonały system audio ukochanego samochodu będzie ostatnią nutą w melodii przypadków, które zmieniły moje życie.

*

Skakałyśmy po stacjach radiowych w poszukiwaniu piosenki pewnego cudownego i niedocenianego boysbandu, gdy zamiast tego natknęłyśmy się na fragment wiadomości:

„…Pickett Engineering, firma budowlana z siedzibą w Indianapolis, zatrudniająca ponad dziesięć tysięcy ludzi na świecie, dziś…”

Wyciągnęłam rękę, by przełączyć stację, ale Daisy mnie powstrzymała.

– To jest ta sprawa, o której ci mówiłam!

„…sto tysięcy dolarów nagrody za informacje mogące doprowadzić do ujawnienia miejsca pobytu dyrektora generalnego przedsiębiorstwa, Russella Picketta. Pickett, który zaginął w noc poprzedzającą szturm policji na jego dom w związku ze śledztwem

dotyczącym oszustwa i łapówkarstwa, po raz ostatni widziany był ósmego września w swojej posiadłości nad rzeką. Każdy, kto posiada informacje dotyczące aktualnego miejsca jego pobytu, proszony jest o kontakt z komendą policji w Indianapolis".

– Sto tysięcy dolców! – wykrzyknęła Daisy. – A ty znasz jego syna!

– Znałam – poprawiłam ją. Przez dwa lata, po piątej i szóstej klasie, Davis i ja jeździliśmy razem na obóz Smutas w hrabstwie Brown. Obóz w rzeczywistości nazywał się Spero i był przeznaczony dla dzieci, które straciły jedno z rodziców.

Oprócz trzymania się razem na obozie od czasu do czasu widywaliśmy się w trakcie roku szkolnego. Davis mieszkał kawałek w dół rzeki ode mnie, ale na przeciwległym brzegu. Ja z mamą mieszkałam tam, gdzie zdarzały się powodzie. Pickettowie zamieszkiwali na brzegu z kamiennym murem, który odbijał podnoszącą się wodę w naszym kierunku.

– Pewnie nawet mnie nie pamięta – dodałam.

– Wszyscy cię pamiętają, Holmesy – powiedziała Daisy.

– Przestań bre…

– Nie oceniam twojej wartości, Holmesy. Nie mówię, że jesteś dobra, wielkoduszna, życzliwa czy coś. Mówię tylko, że się ciebie pamięta.

– Nie widziałam go od lat – mruknęłam.

Tyle że nie zapomina się zabaw w posiadłości z polem golfowym oraz basenem z wyspą i pięcioma zjeżdżalniami. Davis był najbliższym odpowiednikiem celebryty, jakiego spotkałam w życiu.

– Sto tysięcy dolców! – powtórzyła Daisy. Zjechałyśmy na I-465, obwodnicę Indianapolis. – Ja naprawiam automaty do gry za osiem czterdzieści na godzinę, a sto kawałków leży i czeka na nas!

– „Czeka" to chyba niewłaściwe określenie. Poza tym muszę dziś poczytać o skutkach zarażenia rdzennych Amerykanów czarną ospą, więc nie mam czasu zajmować się Sprawą Zbiegłego Milionera. – Popuściłam pedał gazu. Nigdy nie przekraczałam dozwolonej prędkości. Zbyt mocno kochałam Harolda.

– Cóż, znasz go lepiej niż ja, więc, cytując wszechwiedzących chłopców z najlepszego zespołu na świecie, jeśli ktoś coś tu może zrobić, to „Tylko ty".

Taki tytuł nosiła potwornie kiczowata piosenka, na którą byłam

stanowczo za stara, lecz i tak ją uwielbiałam.

– Chętnie bym się z tobą pokłóciła, ale przyznaję, że piosenka jest super.

– „Tylko tyyy… Tylko z tobą chcę żyyyć… Z tobą wciąż razem byyyć… Moje gwiazdy to tyyy… Moje niebo to tyyy… Tobą oddychać chceeę… po kres swych dniii”.

Roześmiałyśmy się. Zmieniłam stację i myślałam, że to koniec, ale Daisy zaczęła mi czytać z komórki artykuł zamieszczony w „Indianapolis Star”.

– „Russella Picketta, kontrowersyjnego dyrektora generalnego i założyciela Pickett Engineering, nie było, gdy w piątek wczesnym rankiem policja odwiedziła jego dom z nakazem rewizji, i od tej pory nikt go nie widział. Adwokat Picketta, Simon Morris, utrzymuje, że nie wie, gdzie może przebywać jego klient, a podczas dzisiejszej konferencji prasowej detektyw Dwight Allen poinformował, że od wieczoru poprzedzającego rewizję nie odnotowano żadnej aktywności kart kredytowych ani kont bankowych Picketta”. Coś tam, coś tam, „Allen zapewnia również, że jedyną kamerą na terenie posiadłości była ta przy głównej bramie. W kopii raportu policyjnego uzyskanej przez naszych reporterów czytamy, że Picketta ostatni raz widzieli jego dwaj synowie, Davis i Noah, w czwartkowy wieczór”. Coś tam, coś tam, „…zawiadomienie policji o wszystkim, co mogłoby…”. Czekaj, jak to nie ma kamer? Który miliarder nie instaluje kamer?

– Ten, który nie chce, żeby się nagrały jego lewe interesy – podsunęłam.

Jechałyśmy dalej, a ja mieliłam tę historię w głowie. Wiedziałam, że coś mi w niej nie gra, ale nie miałam pojęcia co, póki pamięć nie podsunęła mi wspomnienia dziwnych zielonych kojotów z białymi oczami.

– Hej, tam była kamera. Ale nie monitoringu. Davis i jego brat mieli w lesie nad rzeką urządzenie rejestrujące ruch. To była taka kamera noktowizyjna, która robiła zdjęcie, ilekroć ktoś albo coś przechodziło przed nią. Jelenie, kojoty i tak dalej.

– Holmesik! – ekscytowała się Daisy. – Mamy punkt zaczepienia!

– A skoro kamera przy bramie nic nie zarejestrowała, to nie mógł po prostu wyjechać – kontynuowałam. – Albo przeszedł przez mur,

albo poszedł przez las w stronę rzeki i ulotnił się tamtędy. Zgadza się?

– Tak.

– Więc mógł uruchomić tamtą kamerę. O ile ona tam jeszcze jest, bo minęło parę lat.

– Ale może być! – powiedziała Daisy. – Może być! Zjedź tutaj – rzuciła nagle, a ja wykonałem jej polecenie posłusznie, choć wiedziałam, że to nie nasza droga.

Potem, już bez zachęty z jej strony, wjechałam na pas prowadzący z powrotem do miasta. Do mojego domu. I do domu Davisa.

Daisy wyjęła telefon i przyłożyła go do ucha.

– Cześć, Eric, tu Daisy. Słuchaj, strasznie przepraszam, ale dopadła mnie grypa żołądkowa. To może być norowirus.

Przez chwilę słuchała odpowiedzi.

– Jasne, nie ma sprawy. Jeszcze raz przepraszam. – Rozłączyła się i włożyła telefon do torby. – Wystarczy delikatnie zasugerować biegunkę, a już każą ci zostać w domu, tak się boją epidemii. Do roboty więc! Masz jeszcze ten kajak?

---

1 Chuck E. Cheese's – amerykańska sieć restauracji połączonych z małymi centrami rozrywki. Jej symbolem jest myszka o imieniu Chuck E. Cheese (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

3

Przed laty czasem pływałyśmy z mamą po White River – do parku za muzeum sztuki, mijając po drodze dom Davisa. Wyciągałyśmy kajak na plażę, spacerowałyśmy trochę, a potem wiosłowałyśmy z powrotem pod leniwy prąd. Od dawna jednak tego nie robiłam. Nasza rzeka niby jest piękna – można nad nią spotkać czaple modre, gęsi, jelenie i tak dalej – ale sama woda śmierdzi jak ścieki. A raczej – śmierdzi ściekami, bo ilekroć pada, studzienki wybijają i wszystkie nieczystości środkowej Indiany trafiają prosto do White River.

Wjechałam na nasz podjazd, wysiadłam, podeszłam do drzwi garażu, przykucnęłam, wsunęłam palce pod bramę i podniosłam ją. Wsiadłam z powrotem i zaparkowałam, słuchając trajkotania Daisy o tym, jakie będziemy bogate.

Podnoszenie bramy wycisnęło ze mnie trochę potów, więc po wejściu do domu ruszyłam prosto do swojego pokoju, włączyłam klimatyzator okienny i usiadłam na łóżku ze skrzyżowanymi nogami, żeby ochłodzić sobie plecy. W pokoju panował kompletny bałagan. Wszędzie walały się brudne ciuchy i wszelkiego rodzaju papiery – wypracowania, stare sprawdziany, broszury z college'ów przyniesione przez mamę – na które zabrakło miejsca na biurku. Daisy stanęła w drzwiach.

– Masz tu jakieś ciuchy, które by na mnie pasowały? – zapytała. – Czuję, że nie powinno się iść na spotkanie z miliarderem w mundurku Chuck E. Cheese ani w koszulce pofarbowanej na różowo od włosów, a niczym innym chwilowo nie dysponuję.

Miała mniej więcej taką figurę jak moja mama, więc postanowiłyśmy zrobić nalot na maminą szafę. Szukałyśmy jak najmniejszych dżinsów i bluzki, a mojej przyjaciółce nie zamykały się usta.

– Mam teorię na temat mundurków. Myślę, że projektują je po to, żeby zrobić z człowieka, no, nieczłowieka. Żebym nie była już Daisy Ramirez, Istotą Ludzką, tylko jakąś rzeczą, która przynosi ludziom pizzę i wymienia kupony na plastikowe dinozaury. Tak jakby rolą mundurka było ukrycie mnie.

– Coś w tym stylu – przytaknęłam.

– Pieprzony opresyjny system – mruknęła Daisy i wyjęła z szafy koszmarną fioletową bluzkę. – Twoja matka ubiera się jak matematyczka z dziewiątej klasy.

– Tak się składa, że jest matematyczką z dziewiątej klasy.

– To jej nie usprawiedliwia.

– Może poszperamy w kieckach? – Wyjęłam sięgającą do połowy łydki czarną sukienkę z różowymi wzorkami. Ohyda.

– Chyba pozostanę przy mundurku – westchnęła z rezygnacją Daisy.

– Chyba tak. – Usłyszałam, jak podjeżdża samochód mamy, i choć wiedziałam, że nie miałaby nic przeciwko pożyczeniu nam ciuchów, lekko się zdenerwowałam.

Daisy to zauważyła i schwyciła mnie za przegub dłoni. Wymknęłyśmy się na tyły domu, nim mama zdążyła wejść, po czym przedarłyśmy się przez kępę wiciokrzewu na obrzeżach ogródka.

Okazało się, że wciąż mamy kajak. Leżał przewrócony do góry dnem w gęstwinie pajęczyn. Daisy go obróciła, po czym wyjęła wiosła i dwie niegdyś pomarańczowe kamizelki ratunkowe spod bluszczu, którym zdążyły obrosnąć. Omiotła kajak ręką, wrzuciła do środka wiosła i kamizelki, po czym pociągnęła go w stronę rzeki. Była niska i nie sprawiała wrażenia wysportowanej, ale miała niesamowitą krzepę.

– White River jest strasznie zanieczyszczona – powiedziałam.

– Zachowujesz się nieracjonalnie, Holmes. Lepiej mi pomóż go przytargać.

Chwyciłam tył kajaka.

– Składa się w pięćdziesięciu procentach z moczu. I to jest to lepsze pięćdziesiąt procent.

– Tylko ty – przypomniała mi, po czym spuściła kajak na wodę, a sama zeskoczyła na mały błotnisty cypel, zawiązała sobie wokół szyi stanowczo za małą kamizelkę ratunkową i wdrapała się

do kajaka od przodu.

Poszłam w jej ślady, usiadłam na tylnej ławce i wiosłem odepchnęłam nas od brzegu. Minęło parę lat, odkąd ostatnio sterowałam kajakiem, ale stan wody był niski, a rzeka tak szeroka, że nie musiałam się wysilać. Daisy obróciła się do mnie i uśmiechnęła, nie pokazując zębów. Bliskość rzeki sprawiła, że znów poczułam się jak mała dziewczynka.

W dzieciństwie obie z Daisy spędzałyśmy nad White River mnóstwo czasu. Kiedy poziom wody był tak niski jak teraz, bawiłyśmy się w „rzeczne dzieci": udawałyśmy, że żyjemy samotnie nad jej brzegiem, żywiąc się odpadkami i uciekając przed dorosłymi, którzy chcą nas umieścić w domu dziecka. Pamiętałam, że Daisy rzucała we mnie kosarzami, bo wiedziała, że ich nienawidzę, a ja wrzeszczałam i uciekałam, wymachując rękami, ale w rzeczywistości wcale się nie bałam, bo w tamtych czasach emocje wydawały się grą, bardziej eksperymentowaniem z uczuciami niż czymś, co zostanie ze mną na zawsze. Prawdziwa groza nie polega na tym, że się boisz, lecz na tym, że nie masz w tej sprawie wyboru.

– Wiesz, że gdyby nie ta rzeka, Indianapolis w ogóle by nie istniało? – zapytała Daisy, znów obracając się do mnie. – Indiana właśnie została stanem i ludzie debatowali, gdzie powinno się wybudować nowe miasto, które zostanie jego stolicą. Najprostszy wydawał się kompromis w postaci postawienia go pośrodku. Popatrzyli na mapę nowego stanu, zauważyli, że samym jego środkiem płynie rzeka, i uznali, że to idealne miejsce, bo w 1819 roku, czy jakoś tak, każde miasto musiało leżeć nad wodą, żeby spławiać towar i tak dalej. Więc ogłosili: „Budujemy nowe miasto! Nad rzeką! A ponieważ jesteśmy tacy pomysłowi, nazwiemy je Indiana-Polis!". Dopiero potem zauważyli, że White River ma jakieś, hm, piętnaście centymetrów głębokości i nie da się po niej płynąć kajakiem, a co dopiero parowcem. Przez jakiś czas Indianapolis było największym miastem na świecie bez drogi wodnej.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – zapytałam.

– Mój ojciec ma fioła na punkcie historii. – W tym momencie rozdzwonił się jej telefon. – Jezu. Przywołałam go telepatycznie. –

Uniosła telefon do ucha. – Cześć, tato. – Ttak, jasne. Nie, na pewno się zgodzi. Super. Będę o szóstej. – Włożyła komórkę do kieszeni i obróciła się do mnie, mrużąc oczy przed słońcem. – Pytał, czy może się ze mną zamienić na dyżur przy Elenie, bo mama ma nadgodziny. Dzięki temu nie musiałam kłamać, że nie jestem w pracy, a w dodatku tata pomyślał, że troszczę się o siostrę. Wszystko nam sprzyja, Holmesik. Nasze przeznaczenie zaczyna się krystalizować. Wkrótce zrealizujemy swój Amerykański Sen, który, rzecz jasna, polega na odnoszeniu korzyści z cudzych nieszczęść.

Roześmiałam się. Na pustej rzece mój śmiech zabrzmiał dziwnie głośno. Siedzący na częściowo zanurzonym drzewie w pobliżu brzegu żółwiak zauważył nas i z pluskiem zsunął się do wody. W tej rzece mieszkał pewnie legion żółwi.

Za pierwszym zakrętem minęłyśmy niską wysepkę usypaną z milionów białych kamyków. Stojąca na spłowiałej starej oponie czapla modra na nasz widok rozpostarła skrzydła i odleciała, majestatycznie poruszając skrzydłami niczym pterodaktyl. By ominąć wysepkę, wpłynęłyśmy w wąski tunel po wschodniej stronie rzeki i przepływałyśmy pod platanami, które pochyliły się w stronę wody, by złapać więcej światła.

Większość była pokryta liśćmi, tu i ówdzie pojawiały się na nich różowe pasemka, zapowiedź jesieni. Minęłyśmy również martwe drzewo, bezlistne, ale wciąż stojące. Spojrzałam w górę między gałęziami, które krzyżowały się i dzieliły bezchmurne błękitne niebo na nieregularne wielokąty.

Wciąż miałam komórkę taty. Trzymałam ją wraz z zasilaczem w bagażniku Harolda obok zapasowej opony. Było w niej mnóstwo zdjęć nagich gałęzi szatkujących niebo jak gałęzie tego platana. Zawsze się zastanawiałam, co tata widział w tym posiekanym niebie.

Tak czy owak, dzień był naprawdę piękny. Złote słońce grzało, ale nie paliło. Nie przepadam za spędzaniem czasu na dworze, więc nieczęsto myślę o pogodzie, ale Indianapolis ma osiem do dziesięciu naprawdę ładnych dni w roku i to był jeden z nich. Rzeka skręciła na zachód. Prawie nie musiałam wiosłować. Powierzchnia wody marszczyła się w słońcu. Dwie kaczki karolinki zauważyły nas i odleciały, rozpaczliwie machając skrzydełkami.

W końcu dopłynęłyśmy do kawałka lądu, który w dzieciństwie nazywałyśmy Wyspą Piratów. Była to prawdziwa wyspa na rzece, a nie taka usypana z kamyków. Porastały ją gąste kępy wiciokrzewu i wysokie drzewa o pniach powyginanych od corocznych wiosennych powodzi. Ponieważ do rzeki spływa mnóstwo wody z pól, rosły tam też rośliny uprawne. Gdzie się spojrzało, widać było małe krzaczki pomidorów i soi, bogato nawożone przez ścieki.

Wmanewrowałam kajak na zaścieloną wodorostami plażę. Wysiadłyśmy i ruszyłyśmy na spacer. Rzeka miała w sobie coś, co zmuszało nas do milczenia. Prawie zapominając nawzajem o swojej obecności, rozeszłyśmy się w różnych kierunkach.

W tym miejscu spędziłam jedenaste urodziny. Mama sporządziła mapę z lokalizacją ukrytego skarbu i po zjedzeniu ciasta w domu wsiadłyśmy we trójkę – mama, Daisy i ja – do kajaka i powiosłowałyśmy na Wyspę Piratów. Po krótkim kopaniu u podnóża drzewa wykopałyśmy pudełko pełne czekoladowych monet opakowanych w złotą folię. Spotkałyśmy wtedy Davisa i jego młodszego brata Noaha. Pamiętam, jak moja łopata uderzyła w plastik, i choć wiedziałam, że to nie jest prawdziwy skarb, pozwalałam sobie wierzyć, że jednak jest. Bycie dzieckiem wychodziło mi świetnie. Bycie licealistką – fatalnie.

Obeszłam całą wyspę dookoła. Daisy czekała na mnie na wyrwanym z korzeniami, pozbawionym kory drzewie, które jakiś czas temu przyniosła tu powódź. Usiadłam obok niej i wpatrywałam się w sadzawkę u naszych stóp, w której śmigały raki. Wydawała się mniejsza niż w przeszłości – ostatnie lato było gorętsze i suchsze niż poprzednie.

– Pamiętasz, jak obchodziłyśmy tu twoje urodziny? – Daisy chyba czytała mi w myślach.

– Pamiętam – odparłam.

Davis zgubił wtedy figurkę Iron Mana, którą zawsze ze sobą nosił. Miał ją tak długo, że była cała powycierana, został właściwie tylko czerwony tułów z żółtymi kończynami. Strasznie się przejął zgubą, ale chwilę później moja mama znalazła figurkę.

– Wszystko OK, Holmesy? – zapytała Daisy.

– Taaa…

– Umiesz powiedzieć coś więcej niż „taaa”?

– Taaa… – powiedziałam i uśmiechnęłam się lekko.

*

Chwilę posiedziałyśmy, po czym wstałyśmy bez słowa i brodziłyśmy w sięgającej po kolana wodzie, aż dotarłyśmy do brzegu. Dlaczego nie przeszkadzało mi brodzenie w brudnej wodzie rzeki, skoro kilka godzin wcześniej nie mogłam znieść burczenia we własnym brzuchu? Sama chciałabym to wiedzieć.

Wspięłam się na drucianą siatkę zabezpieczającą niewysoki mur oporowy, po czym podałam Daisy rękę i pomogłam jej wejść. Znalazłyśmy się w lesie pełnym platanów i klonów. W oddali widziałam wypielęgnowane trawniki pola golfowego Pickettów, a jeszcze dalej ich posiadłość zbudowaną ze szkła i stali, dzieło jakiegoś sławnego architekta.

Chwilę kręciłyśmy się tu i tam. Próbowałam się zorientować w terenie, gdy nagle usłyszałam szept Daisy:

– Holmes!

Przedarłam się do niej. Okazało się, że znalazła kamerę noktowizyjną zamontowaną na drzewie nieco ponad metr nad ziemią. Był to czarny okrąg o średnicy dwóch, może trzech centymetrów, którego nigdy by się nie zauważyło, gdyby się go nie szukało.

Włączyłam komórkę i połączyłam się z kamerą. Nie była zabezpieczona hasłem. Po kilku sekundach telefon zaczął przeglądać zdjęcia. Skasowałam dwa pierwsze, które kamera zrobiła nam, i przejrzałam kilkanaście z ostatniego tygodnia. Były na nich jelenie, kojoty, szopy i oposy, jedne sfotografowane w dzień, inne jako zielone sylwetki z błyszczącymi na biało oczami.

– Nie chcę cię straszyć, ale w naszą stronę jedzie wózek golfowy – powiedziała cicho Daisy. Podniosłam głowę. Wózek był jeszcze daleko. Kontynuowałam przeglądanie zdjęć, aż doszłam do 9 września. I rzeczywiście – w odcieniach zieleni pokazała się krępa męska sylwetka w pasiastej piżamie. Stopka czasu głosiła, że zdjęcie zrobiono o 1:01:03. Zrzuciłam je na komórkę.

– On nas widzi – ponaglała mnie nerwowo Daisy.

Znów podniosłam wzrok.

– Zaraz kończę. – Chciałam zobaczyć wcześniejsze zdjęcie, które strasznie długo się ładowało. Słyszałam, jak Daisy ucieka, a sama stałam i czekałam. Dziwne, że zachowywałam taki spokój, choć ona spanikowała. Ale jakoś nigdy nie przerażało mnie to samo co innych. Nie bałam się facetów w wózkach golfowych, horrorów ani kolejek górskich. Trudno mi było dokładnie określić, co wzbudza mój strach. Wiedziałam tylko, że nie to. Zdjęcie odsłaniało się powoli, fragment po fragmencie. Kojot. Podniosłam wzrok, zauważyłam, że facet w wózku patrzy na mnie, i dałam nogę.

Przedarłam się z powrotem do rzeki, przeszłam przez murek i ujrzałam Daisy stojącą na przewróconym kajaku i trzymającą nad głową ostro zakończony kamień.

– Co ty wyprawiasz?

– Kimkolwiek jest ten facet, z całą pewnością cię widział – powiedziała – więc daję ci pretekst.

– Jaki znowu pretekst?

– Musisz udawać, że znalazłaś się w sytuacji podbramkowej. To nasza jedyna szansa – oznajmiła i z całej siły uderzyła kamieniem w kadłub kajaka, rozłupując zieloną farbę i odsłaniając włókno szklane pod nią. Potem obróciła kajak dnem do dołu. Natychmiast zaczął nabierać wody. – Dobra. Teraz ja się schowam, a ty pogadasz z gościem z wózka.

– Co? Chyba cię pogięło.

– Bardziej przekonująca będziesz w pojedynkę – upierała się. – Nie będzie mógł cię zostawić.

– Nie ma mowy – odpowiedziałam.

– Wszystko w porządku? – dobiegł nagle głos znad muru.

Spojrzałam tam i zobaczyłam chudego starszego gościa z głębokimi bruzdami na twarzy, ubranego w czarny garnitur i białą koszulę.

– Kajak nam przecieka. – Daisy wzięła sprawy w swoje ręce. – Czy tu czasem nie miesza Davis Pickett? Jesteśmy jego koleżankami.

– Ja jestem Lyle z ochrony – odparł facet. – Mogę was odwieźć do domu.

4

Zapakował nas do swojego wózka i powiózł wąską asfaltową drogą wzdłuż pola golfowego obok dużej chatki z bali z drewnianym szyldem „DOMEK GOŚCINNY”.

Nie byłam w posiadłości Pickettów wiele lat. Teraz stała się jeszcze bardziej okazała. Pułapki piaskowe na polu golfowym były świeżo zagrabione. Droga dla wózków, którą jechaliśmy, nie miała pęknięć ani wybrzuszeń. Głównie jednak widziałam ciągnącą się w nieskończoność trawę bez chwastów, świeżo skoszoną w kształt rombów. Posiadłość była cicha, sterylna i nieskończona – jak nowo wybudowane osiedle, na które jeszcze nie wprowadzili się ludzie. Zachwycała mnie.

Daisy nie bawiła się w subtelności.

– Pan jest tu szefem ochrony?

– Jestem ochroną – odparł Lyle.

– Jak długo pan pracuje u pana Picketta?

– Dość, by wiedzieć, że nie jesteście koleżankami Davisa.

Daisy, która nie wiedziała, co to wstyd, ani na moment nie dała się zbić z tropu.

– Holmesy jest – powiedziała, wskazując na mnie. – Był pan w pracy w dniu zniknięcia pana Picketta?

– Pan Pickett nie życzy sobie obecności pracowników po zmroku ani przed świtem – rzekł facet.

– A ile osób tu pracuje?

Zatrzymał wózek.

– Jeśli się okaże, że nie znacie Davisa, zawiozę was do miasta i załatwię wam mandat za wtargnięcie na cudzy teren.

*

Zza zakrętu wyłonił się basen, połyskująca połać błękitu z wyspą, którą pamiętałam z dzieciństwa, tyle że wtedy nie osłaniała jej szklana kopuła geodezyjna. Poskręcane, przecinające się wzajemnie zjeżdżalnie wodne wciąż tam były, ale wyschnięte.

Na patiu przy basenie stało kilkanaście leżaków z drewna tekowego. Na każdym dostrzegłam poduszkę i ręcznik. Przejechaliśmy połowę drogi wzdłuż basenu do kolejnego patia, gdzie na podobnym leżaku leżał Davis Pickett. Miał na sobie szkolną koszulkę polo i spodnie khaki, w ręku trzymał książkę pod takim kątem, by zasłaniała słońce, i czytał.

Gdy usłyszał wózek, podniósł się do pozycji siedzącej i spojrzał na nas.

Miał opalone chude nogi i guzowate kolana, na nosie okulary w plastikowej oprawie, a na głowie czapeczkę Indiana Pacers.

– Aza Holmes? – zdziwił się.

Wstał. Słońce miał za plecami, więc prawie nie widziałam jego twarzy. Wysiadłam z wózka i podeszłam do niego.

– Cześć. – Nie wiedziałam, czy mam go uścisnąć, a on chyba nie wiedział, czy powinien uścisnąć mnie, więc staliśmy, nie dotykając się, co w gruncie rzeczy jest moją ulubioną formą powitania.

– Czemu zawdzięczam twoją wizytę? – zapytał beznamiętnym, nieodgadnionym tonem.

Daisy podeszła do nas, wyciągnęła rękę i mocno potrząsnęła dłonią Davisa.

– Daisy Ramirez, najlepsza przyjaciółka Holmes. Kajak nam się przedziurawił.

– Uderzyłyśmy w kamień i wylądowałyśmy na Wyspie Piratów – uzupełniłam.

– Zna pan te dziewczyny? – upewnił się ochroniarz.

– Tak. Wszystko w porządku, Lyle. Dzięki. Przynieść wam coś do picia? Wody? Dra peppera?

– Dra peppera? – zdziwiłam się.

– Czy to czasem nie był twój ulubiony napój? – spytał, a ja gapiłam się na niego jak cielę na malowane wrota.

– No tak. Poproszę.

– Lyle, mógłbyś nam przywieźć trzy dry peppery?

– Jasne, szefie. – Lyle oddalił się na wózku.

Daisy spojrzała na mnie, jakby mówiła: „No widzisz, pamięta cię”, po czym odeszła gdzieś. Davis chyba tego nie zauważył. Było coś uroczo nieśmiałego w sposobie, w jaki na mnie patrzył – to zerkał, to odwracał wzrok. Jego brązowe oczy za szkłami okularów wydawały się wielkie. Oczy, nos, usta – wszystko w jego twarzy było zbyt duże w stosunku do całości, jakby poszczególne fragmenty urosły, a twarz wciąż pozostała dziecięca.

– Nie bardzo wiem, co powiedzieć – mruknął. – Nie umiem nawijać.

– Spróbuj powiedzieć, co myślisz – zaproponowałam. – Ja nigdy w życiu tego nie robię.

Uśmiechnął się, po czym wzruszył ramionami.

– OK. Myślę: „Oby tylko nie chodziło jej o nagrodę”.

– Jaką nagrodę? – zapytałam nieprzekonująco.

Usiadł na jednym z leżaków, a ja przycupnęłam naprzeciw niego. Davis pochylił się do przodu, wspierając kościste łokcie na kościstych kolanach.

– Myślałem o tobie kilka tygodni temu – powiedział. – Kiedy on zniknął, ciągle słyszałem jego nazwisko w wiadomościach w pełnym brzmieniu: „Russell Davis Pickett”, i tłukło mi się po głowie, rany, to moje nazwisko! Dziwnie było słuchać, jak w wiadomościach mówią „Zaginął Russell Davis Pickett”, bo przecież ja wcale nie zaginąłem.

– I dlatego pomyślałeś o mnie?

– Tak. Kiedyś cię zapytałem, dlaczego mama nazwała cię „Aza”, a ty powiedziałaś, że chciała nadać ci imię, które będzie twoje i tylko twoje.

– Konkretnie to był pomysł mojego taty – poprawiłam. – Pamiętałam, jak mówił o moim imieniu: „Obejmuje cały alfabet, bo chcieliśmy, żebyś wiedziała, że możesz być, kim chcesz”. A twój tata… – domyśliłam się.

– Właśnie. Zrobił ze mnie kopię siebie. Postanowił, że będę wyłącznie Pickettem juniorem.

– Imię to nie wszystko.

– Właśnie, że tak. Nie mogę nie być Davisem Pickettem. Nie mogę nie być synem swego ojca.

– Pewnie nie – mruknęłam.

– I nie mogę nie być sierotą.

– Przykro mi.

Spojrzał na mnie zmęczonymi oczyma.

– W ostatnim czasie odezwało się do mnie mnóstwo starych znajomych. Nie jestem idiotą. Wiem, o co im chodzi. Ale nie mam pojęcia, gdzie jest mój ojciec.

– Tak naprawdę… – zaczęłam i urwałam, bo przemknął nad nami jakiś cień.

Obróciłam się. Za mną stała Daisy.

– Tak naprawdę to słuchałyśmy radia i usłyszałyśmy o twoim tacie, a wtedy Holmes powiedziała, że w dzieciństwie się w tobie bujała.

– Daisy! – jęknęłam.

– A ja mówię, hej, odwiedźmy go. Jestem pewna, że to prawdziwa miłość. Więc zaaranżowałyśmy katastrofę kajaka, a ty pamiętałeś, że Holmesy lubi dra peppera, więc to musi być prawdziwa miłość. Zupełnie jak w Burzy Shakespeare'a. Zostawię was teraz, żebyście mogli żyć szczęśliwie po kres swych dni.

Jej cień zniknął, zastąpiony przez złote promienie słońca.

– Ona tak serio? – spytał Davis.

– Cóż, nie sądzę, żeby to przypominało *Burzę* – odparłam. Nie mogłam jednak powiedzieć mu prawdy. Zresztą nie było to stuprocentowe kłamstwo. – Byliśmy dzieciakami.

Długo milczał.

– Wyglądasz prawie jak inna osoba – orzekł w końcu.

– To znaczy?

– No, byłaś chuda, drobna i wszędzie było cię pełno, a teraz jesteś…

– Jaka?

– Inna. Dojrzała.

Mój żołądek zaczynał się buntować, ale nie wiedziałam dlaczego. Nigdy nie rozumiałam sygnałów swego ciała: byłam przerażona czy podekscytowana?

Davis patrzył gdzieś obok mnie, na szpaler drzew ciągnący się wzdłuż rzeki.

– Naprawdę mi przykro z powodu twojego taty – powiedziałam.

Wzruszył ramionami.

– Mój ojciec to kawał dupka. Uciekł przed aresztowaniem, bo jest tchórzem. – Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć. Kiedy słucham, jak niektórzy mówią o swoich ojcach, zadaję sobie pytanie, czy nie powinnam się cieszyć z bycia półsierotą. – Naprawdę nie wiem, gdzie on jest, Azo. A jeśli ktoś to wie, to nic nie powie, bo ojciec może mu zapłacić znacznie więcej niż policja. Sto tysięcy dolarów? To nie jest duża suma. – Patrzyłam na niego w milczeniu. – Przepraszam – powiedział. – To mogło zabrzmieć zarozumiale.

– Mogło?

– Kurczę… Chodziło mi o to, że stary się wywinie. Zawsze się wywija.

Już miałam odpowiedzieć, gdy wróciła Daisy. Przyprowadziła ze sobą jakiegoś faceta – wysokiego, barczystego, w spodniach khaki i koszuli do kompletu.

– On nam pokaże tuatarę! – oznajmiła triumfalnie.

Davis wstał.

– Azo, poznaj Malika Moore’a, naszego zoologa.

Powiedział to zupełnie zwyczajnie, jak gdyby oczywiste było, że większość ludzi, którzy osiągnęli pewien standard życia, zatrudnia zoologa.

Wstałam i podałam Malikowi rękę.

– Zajmuję się tuatarami – wyjaśnił. Wszyscy ewidentnie sądzili, że wiem, czym u diabła jest tuatara.

Malik podszedł do krawędzi basenu, przykląkł, podniósł klapę umieszczoną w płytce patia i przycisnął guzik. Ze skraju basenu wysunął się mostek w formie wygiętej w łuk chromowanej kratownicy, biegnący nad wodą aż do wyspy. Daisy chwyciła mnie za ramię.

– Czy to się dzieje naprawdę? – wyszeptała.

Zoolog wymownym gestem ręki nakazał nam iść przed sobą. Sam ruszył za nami po metalowym moście do kopuły geodezyjnej. Gdy tam dotarliśmy, machnął kartą przed drzwiami. Kliknęła ustępująca blokada i drzwi się otworzyły. Weszłam do wnętrza kopuły i nagle znalazłam się w klimacie podzwrotnikowym. Było co najmniej o dziesięć stopni cieplej niż na zewnątrz i znacznie wilgotniej.

Staliśmy niedaleko wejścia, a Malik kręcił się tu i tam, by wreszcie pojawić się z dużą jaszczurką na rękach. Miała

ze sześćdziesiąt centymetrów długości i osiem wysokości. Jej smoczy ogon owijał się wokół ramienia zoologa.

– Można ją pogłaskać – powiedział mężczyzna.

Daisy to zrobiła. Ja jednak widziałam na ręce Malika zadrapania świadczące o tym, że jaszczurka nie zawsze lubi być głaskana. Wolałam nie ryzykować.

– Nie przepadam za jaszczurkami – powiedziałam, gdy zoolog odwrócił się do mnie.

Wtedy zaczął mi wyjaśniać w dość męczący sposób, że Tua (tak miała na imię) wcale nie jest jaszczurką, lecz odmiennym genetycznie stworzeniem, którego historia sięga ery mezozoicznej, czyli dwustu milionów lat wstecz, więc tak naprawdę jest to żywy dinozaur; że tuatary mogą żyć sto pięćdziesiąt i więcej lat, tyle że nie tuatary, a tuatara, bo w gruncie rzeczy tak powinno się o nich mówić również w liczbie mnogiej; że są jedynym żyjącym gatunkiem z rzędu sfenodontów i że w Nowej Zelandii, skąd pochodzą, grozi im wymarcie; że pisał pracę doktorską o tempie ewolucji molekularnej tuatary, i tak dalej, i tak dalej, aż w końcu drzwi znów się otworzyły i stanął w nich Lyle.

– Dr pepper, szefie – powiedział.

Wzięłam od niego napoje i rozdałam Davisowi i Daisy.

– Na pewno nie chce pani jej pogłaskać? – zapytał Malik.

– Dinozaurów też się boję – wyjaśniłam.

– Holmes cierpi na wszelkiego rodzaju lęki – powiedziała Daisy, głaszcząc Tuę. – Zresztą musimy już jechać. Mam dyżur przy dziecku.

– Odwiozę was – zaproponował Davis.

*

Powiedział, że musi na chwilę wpaść do domu. Chciałam grzecznie zaczekać na zewnątrz, ale Daisy tak długo mnie popychała, aż w końcu ruszyłam za nim.

Otworzył wielkie szklane drzwi, wysokie na co najmniej trzy metry, i weszliśmy do ogromnego salonu z marmurową podłogą. Na lewo ode mnie leżał na kanapie Noah Pickett, grając na wielkim

ekranie w jakąś kosmiczną strzelankę.

– Noah – zwrócił się do niego Davis – pamiętasz Azę Holmes?

– Siema – rzucił Noah, nie odrywając oczu od gry.

Davis pobiegł w górę po marmurowych schodach, zostawiając mnie sam na sam z bratem – a przynajmniej tak sądziłam, póki kobieta, której wcześniej nie dostrzegłam, nie oznajmiła:

– To autentyczny Picasso!

Była ubrana na biało i kroiła owoce w lśniącej białej kuchni.

– Wow. – Podążyłam za jej wzrokiem ku obrazowi. Przedstawiał faceta złożonego z zamaszystych linii, jadącego na koniu złożonym z zamaszystych linii.

– Tu się pracuje jak w muzeum – kontynuowała. Spojrzałam na nią i przypomniało mi się spostrzeżenie Daisy dotyczące mundurków.

– Rzeczywiście piękny dom – przytaknęłam.

– Mają też Rauschenberga. Na górze – powiedziała. Skinęłam głową, choć nie miałam pojęcia, kto to taki. Mychal by wiedział. – Możesz iść obejrzeć.

Wskazała schody, więc weszłam po nich, ale nie zatrzymałam się, by obejrzeć kompozycję ze zrecyklowanych śmieci u ich szczytu. Zamiast tego zerknęłam w pierwsze otwarte drzwi. To musiał być pokój Davisa: wysprzątany na połysk, ze śladami po niedawnym odkurzaniu na dywanie. Stało tam wielkie łóżko z mnóstwem poduszek i granatową kapą, a w kącie, przy zajmującym całą ścianę oknie, teleskop skierowany ku gwiazdom. Na biurku zdjęcia rodzinne – wszystkie sprzed lat, z czasów, gdy Davis był dzieckiem. Na jednej ze ścian plakaty w ramach: Beatlesi, Thelonious Monk, Otis Redding, Leonard Cohen, Billie Holiday. Był też regał wypełniony książkami w twardej oprawie, z całą półką wydzieloną na komiksy w plastikowych okładkach. A na stoliczku przy łóżku, obok sterty książek, stał Iron Man.

Podniosłam go i obracałam w rękach. Pęknięte z tyłu udo odsłaniało puste wnętrze, ale wciąż można było poruszać rękami i nogami.

– Ostrożnie – dobiegł zza moich pleców głos Davisa. – Trzymasz jedyną materialną rzecz, którą naprawdę kocham.

Szybko odstawiłam Iron Mana i odwróciłam się.

– Przepraszam.

– Ten gość i ja przeszliśmy razem niejedno – ciągnął Davis.

– Wyjawię ci tajemnicę – powiedziałam. – Iron Man zawsze wydawał mi się beznadziejny.

Uśmiechnął się.

– Było miło, Azo, ale nasza przyjaźń właśnie dobiegła końca.

Roześmiałam się i ruszyłam za nim na dół.

– Roso, możesz zostać do mojego powrotu? – rzucił.

– Oczywiście – odparła kobieta w bieli. – Zostawiłam wam w lodówce chili z kurczakiem i sałatkę na kolację.

– Dzięki – rzekł Davis. – Noah, stary, wracam za dwadzieścia minut, OK?

– Spoks – mruknął Noah, wciąż walcząc w kosmosie.

*

– To była wasza gospodyni? – zapytałam, gdy szliśmy w stronę cadillaca escalade, o który opierała się już Daisy.

– Administratorka domu – poprawił. – Jest tu od moich narodzin. Teraz w pewnym sensie zastępuje nam rodziców.

– Ale z wami nie mieszka?

– Nie. Wychodzi codziennie o osiemnastej, więc nie jest to pełne zastępstwo.

Odblokował drzwi auta. Daisy ulokowała się na tylnym fotelu, a mnie kazała usiąść z przodu. Okrążając samochód, zauważyłam Lyle'a. Stał obok swojego wózka i rozmawiał z facetem grabiącym pierwsze opadłe jesienne liście, ale gapił się na nas.

– Odwiozę dziewczyny – rzekł do niego Davis.

– Tylko niech pan na siebie uważa, szefie – odparł Lyle.

– Wszyscy ciągle mnie obserwują – westchnął Davis, gdy zamknął za sobą drzwiczki. – To cholernie męczące.

– Przykro mi – powiedziałam.

Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale chyba przemyślał sprawę. Po chwili milczenia kontynuował, jakby nic nie usłyszał:

– Kojarzycie to uczucie, kiedy ma się wrażenie, że wszyscy ciągle się na ciebie gapią i komentują coś za plecami? Miałem to non stop

w gimnazjum. Teraz jest tak samo, tyle że wszyscy naprawdę się gapią i komentują.

– Może myślą, że wiesz, gdzie jest twój ojciec – podsunęła Daisy.

– Ale nie wiem. I nie chcę wiedzieć – odparł stanowczo.

– Dlaczego? – zapytała.

Obserwowałam Davisa. Coś zamigotało w jego oczach i nie do końca zgasło.

– W tym momencie najlepsza rzecz, jaką może zrobić dla Noaha i dla mnie, to trzymać się z daleka. Nie, żeby wcześniej specjalnie się nami interesował.

*

Choć dzieliła nas tylko rzeka, potrzeba było dziesięciu minut i wielu zakrętów, by dojechać do mojego domu, bo w okolicy jest tylko jeden most. Jeśli nie liczyć moich wskazówek dla kierowcy, milczeliśmy. Gdy w końcu Davis zajechał przed dom, poprosiłam go o komórkę i wklepałam mu swój numer. Daisy wysiadła bez pożegnania, a ja już miałam się wygramolić, ale gdy oddawałam Davisowi komórkę, chwycił mnie za prawą dłoń i obrócił ją wnętrzem do góry.

– Pamiętam to – powiedział.

Spojrzałam w dół. Chodziło mu o plaster na palcu. Wyrwałam dłoń i zacisnęłam w pięść.

– Boli? – zapytał.

Z jakiegoś powodu miałam ochotę powiedzieć mu prawdę.

– Nieważne, czy boli.

– Całkiem dobre motto życiowe.

Uśmiechnęłam się.

– Może. Nie wiem. Pójdę już.

– Miło cię było zobaczyć, Azo! – rzucił, nim zdążyłam zatrzasnąć drzwi.

– Ciebie też – odparłam.

5

Jadąc w kierunku mieszkania Daisy w ciepłych objęciach Harolda, wysłuchiwałam nieprzerwanego perorowania mojej drogiej przyjaciółki na temat uczuć, które jej zdaniem żywiłam do Davisa.

– Holmesik, ty dosłownie promieniejesz! Oczy ci się świecą! Uśmiechasz się od ucha do ucha!

– Bredzisz.

– Wcale nie!

– Nawet nie umiem powiedzieć, czy on mi się podoba.

– Jest w szerokim spektrum przeciętności – stwierdziła. – Wystarczająco przystojny, żebym ewentualnie dała mu się poderwać. Cały problem w tym, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent z nich jest… powiedzmy, w miarę. Gdyby ich porządnie ubrać i umyć, zmusić, żeby stali prosto, słuchali cię i nie błaznowali, byliby całkiem znośni.

– Nie planuję się z nikim spotykać. – Wiem, że często ludzie tak gadają, a w głębi duszy szukają wielkiej miłości, ale ja mówiłam serio. Owszem, czasem jakiś chłopak mnie pociągał i podobał mi się pomysł bycia z kimś, ale konkretny mechanizm funkcjonowania tej sfery nie przystawał do moich talentów. Wśród elementów romantycznych związków, które budziły mój niepokój, wymienić mogłam: 1. Całowanie; 2. Konieczność mówienia właściwych rzeczy, by nie ranić uczuć drugiej osoby; 3. Mówienie kolejnych niewłaściwych rzeczy, gdy próbuje się przeprosić za te poprzednie; 4. Chodzenie razem do kina i obowiązek trzymania się za ręce, nawet gdy są spocone i wasz pot zaczyna się mieszać; 5. Moment, w którym druga osoba pyta: „O czym myślisz” i oczekuje, że odpowiesz: „O tobie, kochanie”, podczas gdy w rzeczywistości myślałaś właśnie o tym, że krowy naprawdę nie mogłyby przeżyć

bez bakterii w swoich trzewiach, co oznacza, że nie istnieją jako samodzielne formy życia, ale nie jest to temat, o którym się rozmawia, więc stajesz przed wyborem między kłamstwem a byciem uznaną za dziwaczkę.

– A ja owszem – odparła Daisy. – Uderzyłabym do Osieroconego Miliardera, tyle że on gapi się tylko na ciebie. A tak zupełnie przy okazji, jak myślisz, kto odziedziczy miliardy Picketta po jego śmierci?

– Hm… Davis i Noah?

– Zgaduj dalej.

– Zoolog?

– Też nie.

– Nie możesz po prostu mi powiedzieć?

– Zgaduj – upierała się.

– Świetnie. Ty.

– Niestety nie, co jest wysoce niesprawiedliwe. Jestem miliarderką nawet bez miliardów, Holmesy. Mam duszę właścicielki prywatnego odrzutowca, a prowadzę życie osoby jeżdżącej komunikacją miejską. To prawdziwy dramat. Ale niestety nie ja. Nie Davis. Nie zoolog. Forsę odziedziczy tuatara.

– Coś ty? Jak to?

– Pieprzona tuatara, Holmesy. Malik mi powiedział, że to powszechnie dostępna informacja, i rzeczywiście. Słuchaj. – Podniosła telefon. – Czytam ci zeszłoroczny artykuł z „Indianapolis Star”: „Miliarder Russell Pickett, założyciel i dyrektor Pickett Engineering, podczas wczorajszej gali Indianapolis Prize zaszokował świat biznesu, oświadczając, że cały osobisty majątek zapisuje w testamencie swojej ulubionej tuatarze. Te dożywające ponad stu pięćdziesięciu lat zwierzęta określił jako magiczne i ujawnił, że powołał do życia fundację, której celem będą badania nad jego tuatarą i otoczenie jej jak najlepszą opieką. »Badając sekrety Tui – oświadczył, używając imienia swojej ulubienicy – poznamy klucz do długowieczności i lepiej zrozumiemy ewolucję życia na Ziemi«. Poproszony przez naszą reporterkę o potwierdzenie, że istotnie planuje zapisać cały majątek jednemu zwierzęciu, przytaknął. »Na mojej śmierci skorzysta wyłącznie Tua. Dopóki będzie żyła. Po jej śmierci pieniądze trafią do funduszu

powierniczego i będą przeznaczone na pomoc tuatarom na całym świecie«. Przedstawiciel Pickett Engineering oświadczył natomiast, że prywatne sprawy pana Picketta nie mają wpływu na kierowanie firmą”. Nie ma to jak pokazać własnym dzieciom środkowy palec i zapisać całą fortunę jaszczurce.

– Tuatara nie jest jaszczurką – poprawiłam ją.

– Holmesy, jestem pewna, że kiedyś dadzą ci Nobla za niewiarygodną pedanterię. Będę z ciebie dumna jak paw.

– Dzięki. – Zaparkowałam Harolda przed jej blokiem. – Więc gdyby ojciec Davisa umarł, on i jego brat nie odziedziczyliby nic? Nie powinien przynajmniej zabezpieczyć im czesnego na studia czy coś w tym stylu?

– Nie wiem – powiedziała – ale myślę, że Davis wsypałby swojego starego, gdyby wiedział, gdzie on jest.

– Fakt. Ktoś jednak musi to wiedzieć. Potrzebował pomocy, prawda? Samemu nie da się tak po prostu zniknąć.

– Jasne, ale możliwości są nieograniczone. Pickett ma pewnie z tysiące pracowników. I diabli wiedzą, ile osób pracuje w jego posiadłości, skoro zatrudnia tam nawet zoologa.

– Chybabym się wściekła, mając przez cały dzień tylu ludzi wokół. Ludzi, którzy nie należą do rodziny, a na okrągło naruszają twoją przestrzeń.

– W rzeczy samej, Holmes. Nadgorliwa służba to przekleństwo. – Roześmiałam się, a Daisy zaklaskała. – Dobra. Moja lista obowiązków: zbadać sprawę testamentu, zdobyć sprawozdanie policji. Twoja lista: zakochać się w Davisie, co już z grubsza ci się udało. Dzięki za podwózkę. Czas poudawać, że kocham moją siostrzyczkę. – Chwyciła torbę, wygramoliła się z Harolda i zatrzasnęła za sobą jego cenne, delikatne drzwi.

*

Gdy dotarłam do domu, pooglądałam z mamą telewizję, ale nie mogłam przestać myśleć o tym, jak Davis patrzył na mój palec i jak trzymał moją dłoń w swojej.

Miewam różne myśli, które doktor Singh nazywa intruzami.

Kiedy powiedziała to po raz pierwszy, zrozumiałam „inwazjami”, co nawet bardziej do mnie przemawia, bo podobnie jak inwazyjne gatunki chwastów, te myśli jakby przybywały do mojej biosfery z jakiejś odległej krainy i rozrastały się w niekontrolowany sposób.

Podobno mają je wszyscy. Na przykład patrzysz z mostu w dół i ni stąd, ni zowąd przychodzi ci do głowy, że mogłabyś skoczyć. Jeśli należysz do większości, myślisz: „Ale dziwny pomysł” i żyjesz dalej jakby nigdy nic. Ale w przypadku niektórych osób intruz może przejąć władzę i wypychać wszystkie inne myśli, póki nie pozostanie żadna z wyjątkiem tej jednej, którą od tej pory ciągle mielisz w głowie albo szukasz od niej ucieczki.

Oglądasz z mamą telewizję – serial o detektywach podróżujących w czasie – wspominasz moment, w którym chłopak trzymał cię za rękę i patrzył na twój palec, i nagle do głowy uderza ci myśl: *Powinnaś odkleić plaster i sprawdzić, czy nie wdała się infekcja.*

Tak naprawdę nie chcesz tego zrobić: chce tego intruz. Wszyscy ich mają. Ale twój nie daje się zamknąć. Ponieważ trochę się nachodziłaś na terapię behawioralno-poznawczą, mówisz sobie: *Moje myśli to nie ja*, choć w głębi duszy nie za dobrze wiesz, co właściwie jest tobą. Potem każesz sobie kliknąć na mały „x” w górnym rogu natrętnej myśli i kazać jej odejść. Czasem na chwilę się udaje: jesteś z powrotem w domu, na kanapie z mamą, po czym twój mózg mówi: *Hej, a jeśli to jednak jest infekcja? Nie lepiej sprawdzić? Odkleiłaś plaster w stołówce, która nie jest zbyt higienicznym miejscem. A potem pływałaś po rzece!*

Stajesz się nerwowa, bo przerabiałaś ten scenariusz już tysiąc razy, a także dlatego, że chciałabyś móc wybierać myśli zwane twoimi. Rzeka rzeczywiście była brudna. Czy woda kapała ci na rękę, kiedy wiosłowałaś? Bardzo prawdopodobne. *Czas odkleić plaster* – mówi twoje ja. Powtarzasz sobie, że uważałaś, by nie dotykać wody, ale ono odpowiada: *A jeśli dotknęłaś czegoś, co dotykało wody*?, a wtedy przekonujesz siebie, że prawie na pewno w ranę nie wdała się żadna infekcja, lecz wątpliwość, jaką zasiało słowo „prawie”, natychmiast wypełnia się myślą: *Musisz to sprawdzić, inaczej nie zaznamy spokoju*. Kapitulujesz, wymykasz się do łazienki, zdejmujesz plaster i widzisz, że nie ma krwi, ale plaster może być odrobinę zamoczony. Podnosisz

go do żółtego światła lampy i stwierdzasz, że owszem, wygląda na wilgotny.

To oczywiście może być pot, ale prawdopodobna jest też woda z rzeki, albo i gorzej – ropa, która jest ewidentną oznaką zakażenia, więc szukasz w apteczce płynu do dezynfekcji i wyciskasz sobie kilka kropel na palec, co oczywiście boli jak diabli, po czym dokładnie myjesz ręce, wyśpiewując w duchu cały alfabet, żeby mieć pewność, że szorujesz przez pełnych dwadzieścia sekund zgodnie z zaleceniami sanepidu. Na koniec starannie wycierasz ręce. A potem z całej siły wbijasz paznokieć w pęknięcie w nagniotku, aż zacznie krwawić, i wyciskasz z niego krew, póki nie przestanie płynąć, po czym czyścisz ranę chusteczką. Wyjmujesz z kieszeni dżinsów nowy plaster – zawsze masz ich pod dostatkiem – i starannie przyklejasz go na miejsce. Wracasz na kanapę przed telewizor i przez kilka, a czasem wiele minut czujesz radosny dreszcz rozładowanego napięcia i ulgę wywołaną poddaniem się gorszym stronom swojej natury.

Mijają dwie, pięć lub sześćset minut i zaczynasz się zastanawiać: *Kurczę, czy wycisnęłam całą ropę? Czy ona w ogóle tam była, czy to był tylko pot? A jeśli jednak była, może trzeba jeszcze raz osuszyć ranę?*

Spirala zacieśnia się w nieskończoność.

6

Następnego dnia po szkole włączyłam się w tłum ludzi wysypujących się zatłoczonymi korytarzami z liceum White River i ruszyłam do Harolda. Wolałam odczekać, aż korek się rozładuje, zanim wyruszę do domu, więc najpierw długo zmieniałam plaster, a potem zadzwoniłam do Daisy i zaproponowałam, żebyśmy się spotkały w restauracji Applebee's, gdzie często chodziłyśmy się wspólnie uczyć.

Odpowiedziała po kilku minutach.

Pracuję do 8. Potem?

Ja: Podwieźć cię?

Ona: Już jadę z tatą. Davis pisał?

Ja: Nie. Napisać do niego?

Ona: W życiu!

Ona: Odczekaj 24 do 30 godzin. Koniecznie. Jesteś zainteresowana, ale nie opętana.

Ja: Dobra. Nie wiedziałam, że istnieją Przykazania Esemesowe.

Ona: Istnieją. Muszę kończyć. Zaraz czeka mnie ciągnięcie losów, kto ma występować w kostiumie Chuckiego. Módl się za mnie.

Harold i ja ruszyliśmy w stronę domu. Nagle jednak przyszło mi do głowy, że mogę pojechać wszędzie. No, może niezupełnie

wszędzie, ale prawie. Gdybym chciała, mogłabym skoczyć do Ohio albo do Kentucky i wrócić do domu, zanim się ściemni. Dzięki Haroldowi kilkaset kilometrów kwadratowych amerykańskiego Środkowego Zachodu należało do mnie. Zamiast więc skręcić do domu, jechałam dalej na północ wzdłuż Meridian Street aż do I-465. Podkręciłam radio, gdy zaczęła się piosenka *Nie mogę przestać o tobie myśleć*. Stare głośniki Harolda świszczały przy każdym dźwięku basu, a słowa były głupie i naiwne, czyli dokładnie takie, jakich potrzebowałam.

Niekiedy trafia się na rewelacyjną serię piosenek – gdy w jednej stacji zaczyna się reklama, przełączasz na inną i bęc!, akurat leci kawałek, który uwielbiasz, ale prawie o nim zapomniałaś, albo taki, którego nigdy sama byś nie wybrała, ale okazuje się idealny do wykrzykiwania w samochodzie. Jechałam autostradą na wschód, potem na południe, na zachód, na północ i znów na wschód, póki nie dotarłam do tego samego zjazdu na Meridian Street, przy którym zaczęłam eskapadę.

Przejażdżka wokół Indianapolis pochłonęła benzynę wartą siedem dolarów. Wiedziałam, że to marnotrawstwo, ale po okrążeniu miasta czułam się znacznie lepiej.

Gdy zatrzymałam się na podjeździe, by otworzyć drzwi garażu, zobaczyłam serię SMS-ów od Daisy.

Wyciągnęłam krótką słomkę. Muszę się przebrać za tę cholerną mysz.

Na razie, jeśli przeżyję.

Jeśli nie, płacz codziennie na moim grobie, aż pojawi się siewka, a potem płacz nad nią, żeby wyrosła na piękne drzewo, którego korzenie będą się owijały wokół moich zwłok.

Muszę iść. Zabierają mi telefon. PAMIĘTAJ O MNIE, HOLMESIK.

Alleluja, przeżyłam! Po robocie jadę do Applebee’s. Nara.

W salonie mama sprawdzała kartkówki, trzymając nogi

na stoliku do kawy. Usiadłam obok niej, a ona, nie podnosząc wzroku, powiedziała:

– Niejaki Lyle od Pickettów przywiózł nasz kajak. Naprawiony. Mówił, że pływałaś z Daisy po rzece i wpadłyście na kamień.

– No – mruknęłam.

– Ty i Daisy – powiedziała. – Pływałyście kajakiem po White River.

– No.

W końcu na mnie spojrzała.

– To mi wygląda na coś, co mogłabyś zrobić jedynie wtedy, gdybyś, powiedzmy, chciała spotkać Davisa Picketta.

Wzruszyłam ramionami.

– Udało się? – zapytała.

Ponownie wzruszyłam ramionami, ale ona nie przestawała na mnie patrzeć, więc w końcu się poddałam.

– Myślałam o nim. Chyba chciałam mieć pretekst, żeby sprawdzić, co u niego.

– Jak sobie radzi bez ojca?

– Chyba dobrze – mruknęłam. – Wygląda na to, że większość ludzi nie przepada za swoimi ojcami.

Pochyliła się w moją stronę i siedziałyśmy oparte o siebie. Wiedziałam, że obie myślimy o moim tacie, ale rozmawianie o nim nigdy nam dobrze nie szło.

– Zastanawiam się, czy kłóciłabyś się z ojcem.

Milczałam.

– On na pewno by cię rozumiał. Zawsze rozumiał twoje racje lepiej niż ja. Ale ciągle się czymś zamartwiał, a to mogłoby cię wykańczać. Mnie czasem wykańczało.

– Ty też się zamartwiasz – zauważyłam.

– Może i tak. Głównie o ciebie.

– Zamartwianie mi nie przeszkadza – powiedziałam. – Zamartwianie to właściwe podejście do życia. Życie jest jednym wielkim powodem do zamartwiania.

– Mówisz jak on. – Uśmiechnęła się lekko. – Wciąż nie mogę uwierzyć, że nas opuścił. – Powiedziała to tak, jakby tata podjął tę decyzję. Jakby tamtego dnia kosząc trawnik, nagle pomyślał: „Teraz sobie padnę trupem”.

*

Ugotowałam na obiad makaron z pudełka z warzywami z puszki i serem cheddar. Jadłyśmy przed telewizorem, w którym leciał reality show o zwykłych ludziach próbujących przeżyć w dziczy. Gdy zmywałyśmy naczynia, mój telefon wreszcie zabrzęczał. Daisy pisała, że jest już w Applebee's, więc powiedziałam mamie, że wrócę przed północą, i pobiegłam na spotkanie z Haroldem, który jak zwykle był rozkoszny.

Applebee's to sieć średniej jakości restauracji z „amerykańską kuchnią", co w ich przypadku oznacza wszelkiego typu dania z serem. W zeszłym roku przyszedł do nas jakiś dzieciak i namówił moją mamę na zakup wielkiego zeszytu z kuponami, które miały dofinansować jego drużynę harcerską czy coś w tym stylu. Okazało się, że zeszyt zawiera sześćdziesiąt kuponów pozwalających na zakup „dwóch burgerów w cenie 11$". Od tamtej pory Daisy i ja próbowałyśmy je przejeść.

Daisy czekała na mnie przy stoliku. Przebrała się ze służbowej koszulki w turkusowy top z wielkim dekoltem. Wpatrywała się w odmęty swego telefonu. Nie miała komputera, więc wszystko robiła na komórce – począwszy od wymiany SMS-ów po pisanie fanfików. Potrafiła wklepywać tekst szybciej niż ja na normalnej klawiaturze.

– Dostałaś kiedyś obrazek z fiutem? – zapytała tytułem przywitania.

– Hm, widywałam już… – odparłam, wślizgując się na ławkę naprzeciw niej.

– Na litość boską, Holmes, wiem, że widywałaś. Nie pytam cię, czy jesteś siedemnastowieczną zakonnicą. Pytam, czy dostałaś kiedyś niepożądane i pozbawione kontekstu zdjęcie fiuta? Od nieznajomego?

– Raczej nie.

– No to patrz. – Podała mi komórkę.

– Faktycznie penis – przytaknęłam, mrużąc oczy i odrobinę obracając ekran w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara.

– Możemy o tym chwilę pogadać?

– A możemy sobie darować? – Puściłam telefon, bo przy stoliku pojawiła się Holly.

Holly regularnie nas obsługiwała i mówiąc oględnie, nie należała do naszego fanklubu, pewnie dlatego, że stosowałyśmy strategię kuponową, a nasza zdolność napiwkowa była mocno ograniczona.

Zamawiała jak zwykle Daisy.

– Holly, czy dostałaś kiedyś…

– Nie – przerwałam stanowczo. – Nie, nie i jeszcze raz nie. – Spojrzałam na Holly. – Dla mnie na razie woda, a na około za piętnaście dziesiąta poproszę wegańskiego burgera bez majonezu i dodatków. Samego burgera z bułką na wynos. I z frytkami.

– A dla ciebie ostry burger po teksańsku? – zwróciła się do Daisy kelnerka.

– I kieliszek czerwonego wina poproszę. – Holly tylko się na nią gapiła. – No dobra. Wodę.

– Domyślam się, że macie kupon? – zapytała kelnerka.

– Słusznie. – Przesunęłam go w jej stronę poprzez stół.

Ledwie Holly zdążyła się odwrócić, Daisy znów zaczęła.

– Niby jak mam zareagować na penisa w stanie połowicznego wzwodu, przysłanego mi pocztą przez fana? Powinnam się czuć zaintrygowana czy jak?

– On pewnie uważa, że się pobierzecie. Zobaczysz go w realu, zakochasz się i za jakiś czas będziecie opowiadać dzieciom, że wszystko zaczęło się od zdjęcia penisa bez kontekstu.

– To naprawdę dziwny odzew na moje fanfiki. Niby co gość chce przez to powiedzieć? „Słuchaj, strasznie mi się podobało twoje ostatnie opowiadanko o romantycznym plądrowaniu przez Rey i Chewbaccę rozbitego statku Tulgah na Endorze w poszukiwaniu słynnego eliksiru cierpliwości. W ramach podziękowań posyłam ci zdjęcie swojego fiuta”. Widzisz związek między A i B, Holmesy?

– Faceci są groteskowi – odparłam. – Wszyscy są groteskowi. Ludzie i ich groteskowe ciała. Rzygać mi się chce, jak o tym myślę.

– Pewnie jakiś żałosny Srajlo Ren – mruknęła.

Nie rozumiałam jej fanfikowego języka.

– Błagam, zmieńmy temat.

– Nie ma sprawy. Podczas przerwy w robocie stałam się

ekspertką od testamentów. Słuchaj tego: nie można dosłownie zapisać swojego majątku zwierzęciu, które nie jest człowiekiem, ale można zapisać je korporacji istniejącej wyłącznie w celu wspierania takich zwierząt. Inaczej mówiąc, stan Indiana nie uważa zwierząt za ludzi, natomiast uważa za nich korporacje. Więc pieniądze Picketta trafiłyby w całości do firmy działającej na rzecz tuatar. Okazuje się też, że nie masz obowiązku zostawić swojemu potomstwu żadnych pieniędzy. Żadnych. Ani domu, ani forsy na studia, nic. Nieważne, jaka jesteś bogata.

– A co będzie, jeśli ich ojciec trafi do więzienia?

– Dostaną opiekuna. Na przykład administratorkę domu albo kogoś z rodziny. Ten ktoś będzie dostawał forsę na pokrycie potrzeb dzieci. Jeśli nie sprawdzę się jako poszukiwaczka zbiegów, może rozważę opiekę nad dziećmi miliarderów jako przyszły zawód. No dobra – zawiesiła głos. – Zacznij gromadzić materiał na temat tej sprawy i rodziny Pickettów. Ja zdobędę raport policyjny i odrobię zadanie z rachunku różniczkowego, bo doba ma tylko dwadzieścia cztery godziny, a ja zbyt wiele z nich spędzam w Chuck E. Cheese's.

– Niby jak chcesz zdobyć ten raport?

– Mam swoje sposoby – odparła tajemniczo.

*

Przypadkiem Davis Pickett figurował wśród moich znajomych na Facebooku i choć na jego koncie od dawna nic się nie działo, dzięki temu znałam jeden z jego nicków – dallgoodman, po którym trafiłam na Instagram.

Nie wrzucał tam żadnych normalnych zdjęć, tylko cytaty na rozmytym tle imitującym zmięty papier, złożone czcionką stylizowaną na maszynę do pisania. Pierwszy, zamieszczony przed dwoma laty, pochodził z Charlotte Brontë: „Ja sama dbam o siebie. Im samotniejsza jestem, im mniej będę miała przyjaciół i oparcia, tym bardziej strzec będę własnej godności”[2].

Najnowszy cytat brzmiał: „Kto nie boi się śmierci, umiera tylko raz”. Pomyślałam, że może to jakaś zawoalowana aluzja do jego ojca, ale nie potrafiłam jej rozszyfrować. (Nawiasem mówiąc, ten,

kto boi się śmierci, także umiera tylko raz, ale niech mu będzie).

Przeglądając cytaty, zauważyłam, że wśród lajkujących powtarzają się te same osoby – wśród nich niejaka anniebellcheers, której profil zawierał niemal wyłącznie zdjęcia z występów cheerleaderek, póki się nie cofnęło co najmniej o rok. Wtedy pojawiała się seria zdjęć anniebellcheers z Davisem, okraszonych mnóstwem emotek z sercem.

Wyglądało na to, że ich związek zaczął się latem między dziewiątą a dziesiątą klasą i trwał kilka miesięcy. Konto anniebellcheers na Instagramie zawierało link do jej konta na Twitterze, gdzie śledziła posty użytkownika o nicku nkogneato, który okazał się Davisem – zorientowałam się dzięki temu, że wrzucił zdjęcie swojego brata Noaha skaczącego na tyłek do ich basenu.

Ksywka nkogneato doprowadziła mnie z kolei do profilu na YouTubie, którego użytkownik miał wśród ulubionych głównie skróty meczów koszykówki i te strasznie długie filmy, na których ktoś gra w grę wideo. W końcu, po przejrzeniu wielu stron z wynikami wyszukiwania, trafiłam na blog.

Początkowo nie byłam pewna, czy autorem jest Davis. Każdy post zaczynał się od cytatu, a po nim następował krótki akapit, który nigdy nie był dość autobiograficzny, by się upewnić co do tożsamości autora. Weźmy choćby taki:

„W pewnym momencie życia piękno świata zaczyna ci wystarczać. Nie musisz go fotografować, malować ani nawet pamiętać. Wystarczy, że jest”

Toni Morrison

Wczoraj wieczorem leżałem na zamarzniętej ziemi i wpatrywałem się w czyste niebo, tylko częściowo zmącone przez zanieczyszczenie świetlne i mgiełkę mojego oddechu – żadnego teleskopu ani nic, tylko ja i szerokie niebo – i myślałem o tym, że „niebo” to liczba pojedyncza, jakby całe było jedną rzeczą. Ale niebo nie jest jedną rzeczą. Niebo jest wszystkim. I ostatniej nocy wystarczyło mi, że jest.

Nie miałam pewności, że to on, póki nie zauważyłam, że na blogu

pojawiają się te same cytaty, które widziałam na jego Instagramie, w tym cytat z Charlotte Brontë:

„Ja sama dbam o siebie. Im samotniejsza jestem, im mniej będę miała przyjaciół i oparcia, tym bardziej strzec będę własnej godności”
Charlotte Brontë

Poniżej widniał tekst:

Gdy zmęczył nas spacer, usiedliśmy na ławce nad rzeką. Poziom wody był niski. Wtedy powiedziała, że piękno to głównie kwestia uwagi. „Rzeka jest piękna, bo zwracasz na nią uwagę” – mówiła.

Jeszcze inny cytat, zamieszczony w listopadzie zeszłego roku, mniej więcej wtedy, gdy on i anniebellcheers przestali komentować swoje posty na Twitterze, brzmiał:

„Konwencja głosi: jest gorąco, jest zimno, jest kolorowo; lecz w rzeczywistości istnieją jedynie atomy i próżnia”
Demokryt

Kiedy obserwacje rozmijają się z prawdą, czemu należy ufać – zmysłom czy prawdzie? Starożytni Grecy nie mieli nawet słowa oznaczającego „niebieski”. Dla nich taki kolor nie istniał. Nie widzieli go, nie mając terminu na jego oznaczenie.

Cały czas o niej myślę. Na jej widok czuję ucisk w żołądku. Ale czy to miłość, czy coś, na co nie mamy słowa?

Na widok następnego wpisu zamarłam.

„Największą bronią w walce ze stresem jest nasza zdolność przedkładania jednej myśli nad drugą”
William James

Nie wiem, jaką supermoc miał William James, ale ja nie potrafię wybierać swoich myśli, tak samo jak nie mogłem wybrać sobie

imienia.

Davis opisywał myśli dokładnie tak, jak ja je czułam: nie jako wybór, lecz jako przeznaczenie. Nie jako katalog swojej świadomości, lecz jako jej negację.

Kiedy byłam mała, opowiadałam mamie o swoich „intruzach", a ona odpowiadała: „Po prostu o tym nie myśl, Azo". Tymczasem Davis trafił w sedno: nie można wybierać swoich myśli. W tym cały problem.

Inną ciekawą rzeczą związaną z internetową działalnością Davisa było to, że przestał cokolwiek publikować w dniu zniknięcia swego ojca. Przez ponad dwa lata zamieszczał wpisy niemal codziennie, a potem, pierwszego popołudnia po zniknięciu ojca, napisał:

„Dobranoc, kretyny"[3]
J.D. Salinger

Chyba musimy powiedzieć sobie „do widzenia", moi mili, choć jak wiadomo, nikt nigdy nie mówi „do widzenia", jeśli nie zamierza zobaczyć się z kimś ponownie.

To miało sens. Ludzie prawdopodobnie zaczynali węszyć. Skoro ja zdołałam znaleźć jego anonimowy blog, policja na pewno też to potrafiła. Zastanawiałam się jednak, czy Davis naprawdę zrezygnował z pisania, czy po prostu ukrył się jeszcze głębiej.

Nie udało mi się znaleźć dalszych tropów. Wpisywanie w wyszukiwarkę jego nazwiska oraz nicków i ich wariantów doprowadziło mnie do mnóstwa ludzi, którzy nie byli nim: pięćdziesięciotrzyletniego Davisa Picketta, który jeździł ciężarówką w Wisconsin; Davisa Picketta, który zmarł na stwardnienie zanikowe boczne po latach zamieszczania krótkich notek pisanych za pomocą oprogramowania do śledzenia ruchów gałek ocznych; użytkownika Twittera o nicku dallgoodman, którego blog zawierał wyłącznie nienawistne groźby pod adresem członków Kongresu. Znalazłam konto na Reddicie z komentarzami na temat drużyny koszykarskiej Butler, więc zapewne należące do Davisa, ale nic się na nim nie pojawiło od momentu zniknięcia Picketta seniora.

– Jestem bardzo blisko – odezwała się nagle Daisy. – Cholernie blisko. Szkoda, że życie nie wychodzi mi tak dobrze jak grzebanie w necie.

Podniosłam głowę i wróciłam mentalnie do Applebee's. Daisy jedną ręką pisała na komórce, a w drugiej trzymała szklankę z wodą. Wokół było głośno i jasno. Ludzie przy barze komentowali jakieś wydarzenie sportowe.

– A ty co masz? – zapytała i odstawiła szklankę.

– Davis miał dziewczynę, ale rozstali się w zeszłym roku, w okolicach listopada. Ma blog, na który nie wrzucał nic od chwili zniknięcia ojca. Nie wiem. Sądząc po blogu, wydaje się… fajny.

– Cieszę się, że wykorzystałaś swoje zdolności detektywistyczne, by się dowiedzieć, że Davis jest fajny. Uwielbiam cię, Holmesy, ale chodziło mi o informacje na temat.

Wznowiłam poszukiwania. „Indianapolis Star" sporo pisało o Russellu Picketcie, częściowo dlatego, że jego przedsiębiorstwo było jednym z największych w całym stanie, ale także dlatego, że ciągle ktoś go o coś pozywał. Jakaś duża transakcja związana z nieruchomością w centrum miasta zakończyła się serią pozwów; była asystentka i kierowniczka marketingu z Pickett Engineering oskarżyły go o molestowanie seksualne; ogrodnik pracujący w jego posiadłości zarzucał mu naruszenie ustawy o prawach osób niepełnosprawnych. Lista ciągnęła się w nieskończoność.

We wszystkich artykułach wymieniano tego samego prawnika – Simona Morrisa. Strona internetowa firmy Morrisa głosiła, iż jest to „kameralna kancelaria specjalizująca się w kompleksowej obsłudze klientów indywidualnych z górnej półki".

– Mogę sobie podładować smartfona od twojego laptopa? – zapytała Daisy.

Miałam ochotę jej wypomnieć, że prościej byłoby powiedzieć „podładować komórkę od twojego kompa", ale wydawała się czymś zaaferowana. Nie odrywając oczu od telefonu, sięgnęła do torebki, wyjęła kabel USB i podała mi. Podłączyłam go do komputera.

– Super, dzięki – wymamrotała. – Jestem cholernie blisko.

Pojawiła się Holly z moim zamówieniem na wynos. Otworzyłam plastikowe opakowanie i wyjęłam parę frytek, po czym wróciłam do śledztwa. Trafiłam na stronę Glassdoor, na której obecni i byli

pracownicy firm mogli je anonimowo opiniować. Wpisy o samym Russellu Picketcie głosiły między innymi:

„Dyrektor jest strasznym gnojem”.
„Russell Pickett to nadęty megaloman”.
„Nie twierdzę, że urzędnicy Picketta każą pracownikom łamać prawo, ale często słyszy się od nich zdania zaczynające się od słów: »Nie twierdzę, że masz łamać prawo, ale…«.

A więc takie było z niego ziółko. Prywatne pozwy kończył ugodami, jednak dochodzenia w sprawie nieprawidłowości w firmie nie dało się tak łatwo zamknąć. Z tego, co zdołałam wyczytać, wynikało, że przekupili urzędników państwowych, by wygrać przetarg na budowę w Indianapolis lepszego systemu odprowadzania ścieków.

Piętnaście lat temu rząd przeznaczył pieniądze na oczyszczenie White River poprzez budowę kolejnych zbiorników retencyjnych i rozbudowę systemu tuneli biegnących pod centrum miasta, połączoną ze zmianą biegu zanieczyszczonego strumyka Pogue’s Run. Plan zakładał, że w ciągu dekady ścieki przestaną przy każdym deszczu spływać do rzeki. Pickett Engineering podpisali kontrakt na wykonanie tych prac, ale nigdy ich nie dokończyli, a do tego znacznie przekroczyli budżet, więc rząd zerwał umowę i rozpisał nowy przetarg na dokończenie inwestycji.

I wtedy bęc! Przetarg wygrał Pickett, jakby za pierwszym razem całkowicie nie spieprzył sprawy. Podobno przekupił urzędników państwowych. Aresztowano dwóch ludzi z kierownictwa firmy, którzy rzekomo wyśpiewali policji wszystkie grzechy. Samemu Pickettowi wtedy jeszcze nie postawiono zarzutów, choć artykuł redakcyjny z numeru poprzedzającego o trzy dni jego zniknięcie wyrażał się o tej sprawie krytycznie: „Skoro »Indianapolis Star« ma wystarczające dowody, by oskarżyć Russella Picketta – dlaczego nie mają ich władze?”.

– Tadam! Już za chwileczkę, już za momencik… Niech tylko zip się rozpakuje, tak jest, otwieramy… bingo! – Daisy w końcu na mnie spojrzała i wyszczerzyła się. Jej przednie zęby były trochę krzywe i miała z tym problem, więc rzadko uśmiechała się tak szeroko.

Teraz widziałam nawet jej dziąsła. – Mogę zrobić podsumowanie w stylu Scooby-Doo i wyjaśnić ci, jak tego dokonałam?

Kiwnęłam głową.

– Pierwszy artykuł o zniknięciu Picketta wspomina o raporcie policyjnym zdobytym przez dziennikarzy „Indianapolis Star". Napisała go Sandra Oliveros, a współtworzył Adam Bitterley, czyli Zgorzkniały, któremu serdecznie współczuję nazwiska. Tak czy owak, ten gość ewidentnie był tylko pomocnikiem pani Oliveros, a wyszukiwarka informuje, że niedawno ukończył studia na Indiana University. Stworzyłam więc adres mailowy, który do złudzenia przypomina adres pani Oliveros, i wysłałam Bitterleyowi polecenie przysłania mi kopii raportu. A on na to: „Nie mogę, nie mam go na domowym komputerze". Więc mu napisałam, żeby wziął dupę w troki i leciał do biura, a on coś w stylu „Jest piątek wieczór", a ja na to: „Wiem, że jest piątek wieczór, ale w weekend rzeczy nie przestają się dziać; zrób swoje albo znajdź kogoś, kto zrobi to za ciebie". A wtedy on pojechał do biura i przysłał mi skany tego cholernego raportu.

– Dżizas.

– Witaj w przyszłości, Holmesy! Już nie trzeba hackować komputerów, teraz hackuje się ludzkie dusze. Wysłałam ci raport na pocztę.

Czasem się zastanawiałam, czy Daisy nie przyjaźni się ze mną tylko dlatego, że potrzebuje świadka.

Gdy plik się ściągał, podniosłam głowę znad ekranu i przez szczeliny w żaluzjach wyjrzałam na parking. Latarnia świeciła prosto na nas, pogrążając wszystko inne w egipskich ciemnościach.

Próbowałam zignorować tę myśl, ale gdy otworzyłam raport i zaczęłam go przeglądać, stała się jeszcze bardziej natarczywa.

– Co jest? – zapytała Daisy.

– Nic. – Raz jeszcze spróbowałam wyprzeć niewygodną myśl. Na próżno. – Czy ten gość nie będzie miał kłopotów? Przyjdzie w poniedziałek do pracy, zapyta szefową, po co jej był ten raport, a ona na to: „Jaki raport?" i facet będzie ugotowany. Mogą go zwolnić.

Przewróciła oczami, ale mnie już wciągnęła spirala. Zaczęłam się niepokoić, że Pan Zgorzkniały wyśledzi Daisy i doprowadzi do jej

aresztowania, a może i mojego, bo w pewnym sensie brałam w tym udział. Dla nas to była tylko głupia zabawa, ale ludzi aresztowano nawet za mniejsze przestępstwa. Wyobraziłam sobie artykuł w gazecie: „Zhackowały policyjne archiwa, by zdobyć serce młodego miliardera”.

– On nas znajdzie – powiedziałam po chwili.

– Kto?

– Ten facet. Bitterley.

– Nie znajdzie – odparła. – Jestem na publicznym wi-fi w Applebee’s, a lokalizacja mojego adresu IP odsyła do Belo Horizonte w Brazylii. A gdyby nawet mnie znalazł, powiem, że nie miałaś pojęcia, co robię, i pójdę do więzienia za ciebie, a ty w podzięce za to, że cię nie wsypałam, wytatuujesz sobie na bicepsie moją twarz. Będzie super.

– Spoważniej wreszcie.

– Jestem poważna. Twój chudy bicepsik potrzebuje tatuażu mojej twarzy. Ponadto faceta nie zwolnią. Nie znajdzie nas. Co najwyżej dowie się czegoś cennego o phishingu w sposób minimalnie zagrażający jemu i jego firmie. Uspokój się, OK? Muszę wrócić do niezwykle istotnej dyskusji internetowej z nieznajomym na temat tego, czy Chewbacca jest osobą.

Podeszła Holly z rachunkiem, niezbyt subtelnie dając do zrozumienia, że siedzimy stanowczo za długo. Podałam jej kartę debetową, którą dostałam od mamy. Daisy nigdy nie miała forsy, a mama pozwalała mi ściągać dwadzieścia pięć dolarów tygodniowo, pod warunkiem że w szkole nie schodziłam poniżej piątki. Pod stołem potarłam kciukiem o zgrubienie na palcu. Powtarzałam sobie, że Daisy ma rację. Pewnie wszystko będzie dobrze.

Pewnie.

– Serio, Holmesy – powiedziała Daisy, nie podnosząc głowy znad telefonu. – Wszystko będzie dobrze, obiecuję.

– Nie zapanujesz nad tym – powiedziałam. – W tym problem. Życie nie jest czymś, nad czym ma się kontrolę, wiesz?

– Właśnie że jest – mruknęła i zanurzyła się w odmętach Internetu. – Boże, ten koleś mi wmawia, że propaguję zoofilię.

– Co?

– W moim fanfiku Chewbacca i Rey są w sobie zakochani. Więc on pisze, że to się, cytuję, nadaje do prokuratury, ponieważ opisuję romans międzygatunkowy. Tam nawet nie ma seksu, tylko miłość! Wciąż taguję swoje teksty jako młodzieżowe, żeby nastolatki mogły je czytać.

– Ale Chewbacca nie jest człowiekiem – stwierdziłam.

– Nie chodzi o to, czy Chewie to człowiek, Holmes. Chodzi o to, czy jest osobą! – Prawie krzyczała. Traktowała Gwiezdne wojny śmiertelnie poważnie. – A on bez cienia wątpliwości jest osobą! Co twoim zdaniem czyni z kogoś osobę? Ma ciało, duszę i uczucia, mówi jakimś językiem i jest dorosły, więc jeśli połączyła go z Rey gorąca, emocjonująca, zrozumiała dla obojga miłość, możemy jedynie dziękować Bogu, że te dwie dojrzałe, świadome istoty odnalazły się wzajemnie w zrujnowanej galaktyce.

Mój strach często bywał tak przemożny, że nic nie mogło mnie przed nim uratować, ale kiedy indziej wystarczyło chwilę posłuchać Daisy. Prostowała coś we mnie i sprawiała, że przestawałam się czuć, jakby wciągał mnie wir albo jakbym szła po zacieśniającej się spirali. Nie potrzebowałam porównań. Znów byłam zakotwiczona w sobie.

– Więc jest osobą, bo ma świadomość?

– Nikt nie ma pretensji o to, że ludzcy mężczyźni śpią z Twi'lekijkami. Bo oczywiście mężczyźni mogą sobie wybierać, kogo chcą rżnąć. Ale ludzka kobieta zakochująca się w Wookieem to skandal. Wiem, że karmię trolle, Holmesy, ale nie mogę się z tym pogodzić.

– Z drugiej strony, niemowlę nie jest świadome, a jednak jest osobą.

– Nie rozmawiamy o niemowlętach, Holmesy. Rozmawiamy o dorosłej osobie, która przypadkiem jest człowiekiem i zakochuje się w innej dorosłej osobie, przypadkiem będącej Wookieem.

– A czy Rey w ogóle potrafi rozmawiać po wookijsku?

– Wiesz, to trochę denerwujące, że nie czytasz moich fanfików, ale naprawdę denerwujące jest to, że nie czytasz żadnych fanfików o Chewiem. Gdybyś czytała, wiedziałabyś, że nie było takiego języka jak wookijski. Wookiee posługiwały się co najmniej trzema językami. Rey uczyła się shyriiwooka od Wookieech, którzy

przybywali na Jakku, ale rzadko w nim mówiła, bo Wookiee na ogół rozumiały basic.

Śmiałam się już na całego.

– A dlaczego używasz czasu przeszłego?

– Bo wszystko to działo się dawno, dawno temu w odległej galaktyce, Holmesy. Zawsze używa się czasu przeszłego, opowiadając o *Gwiezdnych wojnach*.

– Chwila… chcesz powiedzieć, że ludzie znają shyri… język Wookieech?

W odpowiedzi wykonała całkiem niezłą imitację mowy Chewbakki, po czym ją przetłumaczyła.

– Pytałam, czy zamierzasz zjeść te frytki.

Przesunęłam pudełko w jej kierunku. Nabrała garść frytek, po czym z pełnymi ustami wykonała kolejny odgłos Chewbakki.

– A to co znaczyło? – zapytałam.

– Minęły ponad dwadzieścia cztery godziny. Czas napisać do Davisa.

– To Wookiee mają SMS-y? – zapytałam.

– Miały – poprawiła mnie.

---

2 Charlotte Brontë, *Dziwne losy Jane Eyre*, przeł. Teresa Świderska.

3 J.D. Salinger, *Buszujący w zbożu*, przeł. Maria Skibniewska.

7

W poniedziałek rano podwiozłam mamę do szkoły, bo jej samochód był u mechanika. Środkowy palec szczypał mnie od środka dezynfekującego, którego użyłam przed samym wyjściem z domu, więc z całej siły przyciskałam plaster, co jednocześnie osłabiało i wzmagało ból. Przez cały weekend nie napisałam do Davisa. Ciągle o tym myślałam, ale gdy wieczór w Applebee's minął, zaczęłam się denerwować tą sprawą, na przykład zastanawiać się nad tym, czy przypadkiem nie zwlekałam zbyt długo, a Daisy nie było w pobliżu, żeby mnie zmotywować, bo w sobotę i w niedzielę pracowała.

Mama musiała zauważyć przyciskanie plastra, bo powiedziała:

– Jutro masz spotkanie z doktor Singh, prawda?

– Mhm.

– Co sądzisz na temat działania lekarstwa?

– Chyba jest OK – odrzekłam niezupełnie szczerze. Po pierwsze, nie byłam przekonana, czy białe tabletki w jakikolwiek sposób działają, gdy je biorę, a po drugie, nie brałam ich tak często, jak teoretycznie powinnam. Trochę dlatego, że zapominałam, ale także z innego powodu, który trudno mi było zdefiniować: z powodu nieokreślonej obawy, że zażywanie tabletek po to, by stać się sobą, jest niewłaściwe.

– Jesteś tam? – zapytała mama.

– Jestem – odparłam. Wystarczająca (choć ledwie) część mnie wciąż znajdowała się we wnętrzu Harolda i podążała dobrze znaną trasą do szkoły.

– Po prostu bądź szczera z doktor Singh, dobrze? Nie ma sensu cierpieć. – Mogłabym się z nią spierać, że to fundamentalne niezrozumienie ludzkiej niedoli, ale odpuściłam.

*

Zajechałam na parking dla uczniów, pożegnałam się z mamą i stanęłam w kolejce do wykrywaczy metalu. Gdy już uznano, że nie mam przy sobie broni, dołączyłam do strumienia ciał wypełniających korytarze, tak jak komórki krwi wypełniają żyłę.

Dotarłam do swojej szafki z kilkuminutowym zapasem i wykorzystałam ten czas na znalezienie w Internecie reportera, którego oszukała Daisy, Adama Bitterleya. Tego ranka wrzucił link do swojego nowego tekstu o głosowaniu zarządu jakiejś szkoły w sprawie zakazu używania jednego z podręczników, więc wyglądało na to, że go nie wyrzucili. Daisy miała rację – nic się nie stało.

Już miałam ruszyć do klasy, gdy do mojej szafki przytruchtał Mychal i pociągnął mnie na ławkę.

– Jak leci?

– Wporzo – odparłam.

Myślałam właśnie o tym, że czasem część twojego ja może się znajdować w jednym miejscu, podczas gdy te ważniejsze jego części są w innym – takim, do którego nie ma dostępu poprzez zmysły. Na przykład przez całą drogę do szkoły tak naprawdę nie było mnie w samochodzie. A teraz próbowałam patrzeć na Mychala i słyszeć rozgardiasz na korytarzach, ale tak naprawdę, w głębi duszy, wcale mnie tam nie było.

– Słuchaj – powiedział Mychal – nie chcę mieszać w twojej paczce, bo to naprawdę fajni ludzie, więc trochę mi głupio, ale czy sądzisz, i chcę, żebyś wiedziała, że naprawdę możesz odmówić… – Urwał, ale wiedziałam już, dokąd zmierza.

– Nie sądzę, żebym mogła się teraz z kimś spotykać – powiedziałam. – Jestem jakby…

– Rany, teraz już potwornie mi głupio – wszedł mi w słowo. – Zamierzałem cię zapytać, czy Daisy by się ze mną umówiła, czy mam wybić to sobie z głowy. Oczywiście ty też jesteś świetną dziewczyną…

Znałam go wystarczająco długo, by nie umrzeć ze wstydu, ale byłam tego bardzo bliska.

– Tak – powiedziałam szybko. – Tak. To świetny pomysł. Ale nie

ze mną powinieneś o tym rozmawiać, tylko z nią. Tak, jak najbardziej powinieneś się z nią umówić. Czuję się jak idiotka. Głupio wyszło. Zaproś ją gdzieś. A teraz wstanę i oddalę się wraz z tą resztką szacunku dla siebie, jaka mi pozostała.

– Naprawdę cię przepraszam – odezwał się, gdy wstałam i odsunęłam się od niego. – Słuchaj, Azo, jesteś naprawdę ładna. Nie o to…

– Nie – przerwałam mu. – Nie. Nie mów nic więcej. To ewidentnie mój błąd. Ja po prostu… Dobra. Idę stąd. Jak najbardziej pogadaj z Daisy.

Na moje szczęście z góry dobiegł dzwonek. Uciekłam na lekcję biologii. Nauczycielka jeszcze nie przyszła, więc wszyscy gadali. Skuliłam się w ławce i natychmiast napisałam do Daisy.

Ja: Myślałam, że Mychal chce się ze mną umówić, więc próbowałam go delikatnie spławić, ale jemu nie chodziło o mnie. Chciał wiedzieć, czy umówię go Z TOBĄ. Poziom upokorzenia – najwyższy w życiu. A ty się zgódź. Jest uroczy.

Ona: Jezu. Panika. On wygląda jak wielkie niemowlę.

Ja: Co?

Ona: Jak wielkie niemowlę. Molly Krauss kiedyś tak powiedziała i od tej pory wciąż mam tę wizję przed oczami. Nie mogę tego robić z wielkim niemowlęciem.

Ja: Chodzi o ogoloną głowę?

Ona: O całokształt, Holmesy. O to, że wygląda dokładnie jak wielkie niemowlę.

Ja: Wcale nie.

Ona: Następnym razem przyjrzyj mu się i powiedz mi, czy tak nie wygląda. Wygląda dokładnie tak, jak wyglądałoby wielkie niemowlę Drake’a i Beyoncé, gdyby je mieli.

Ja: To byłoby bardzo seksowne wielkie niemowlę.

Ona: Zachowam ten tekst na wypadek, gdybym kiedyś musiała cię zaszantażować. BTW, PRZECZYTAŁAŚ POLICYJNY RAPORT?

Ja: Niezbyt wnikliwie, a ty?

Ona: Ja tak, chociaż byłam zajęta WCZORAJ i PRZEDWCZORAJ, i miałam RÓŻNICZKI, i SANSKRYT, i musiałam WKŁADAĆ KOSTIUM MYSZY chyba ze dwanaście razy. Nie znalazłam żadnych tropów, ale naprawdę przeczytałam od deski do deski. Mimo że jest potwornie nudny. Jestem cichą bohaterką tego śledztwa.

Ja: Wcale nie taką cichą. Przeczytam dzisiaj spadam pani Park dziwnie na mnie patrzy

Przez całą biologię, ilekroć pani Park odwracała się do tablicy, czytałam na komórce raport o zaginięciu.

Miał zaledwie kilka stron, więc wyrobiłam się do końca lekcji. „P” (poszukiwany) miał pięćdziesiąt trzy lata, był siwym mężczyzną o niebieskich oczach, z tatuażem *Nolite te bastardes carborundorum* (co ponoć znaczy „Nie dajcie się pognębić sukinsynom”[4]) na lewej łopatce, miał trzy małe blizny na brzuchu po operacji usunięcia woreczka żółciowego, sto osiemdziesiąt trzy centymetry wzrostu, około stu kilo wagi, ostatnio widziany był w swoim zwykłym stroju do spania: koszulce w biało-granatowe poziome paski i jasnoniebieskich bokserkach. Jego zniknięcie odkryto o piątej trzydzieści pięć, kiedy policja weszła do domu, by przeprowadzić rewizję w związku ze śledztwem w sprawie korupcyjnej.

Raport składał się głównie z zeznań świadków, którzy nic nie widzieli. Tamtej nocy oprócz Picketta w domu byli tylko Davis i Noah. Kamera przy bramie zarejestrowała dwóch ogrodników wyjeżdżających z posesji o siedemnastej czterdzieści. Zoolog Malik wyjechał dziesięć minut później, Lyle o osiemnastej dwie, a Rosa o osiemnastej cztery. Najwyraźniej Lyle nie kłamał, gdy mówił, że nocami w posiadłości Picketta nie przebywa żaden personel.

Jedną stronę zajmowały zeznania Davisa:

„Rosa zostawiła nam pizzę. Zjedliśmy ją z bratem, grając w grę wideo. Tata zszedł do nas na parę minut, posiedział i zjadł pizzę, a potem wrócił na górę. Jak zwykle. W większość wieczorów widuję go tylko przez kilka minut albo wcale. Nie wyglądał na zdenerwowanego. Zachowywał się zwyczajnie. Noah i ja skończyliśmy kolację i wrzuciliśmy naczynia do zlewu. Pomogłem bratu odrobić zadania domowe. Potem uczyłem się na kanapie, a on grał w grę. Poszedłem na górę około dwudziestej drugiej i przez chwilę obserwowałem przez teleskop gwiazdy – Wegę i Epsilon Lyrae. Położyłem się spać około dwudziestej trzeciej. Nawet z perspektywy czasu nie dostrzegam w tamtym dniu nic niezwykłego”.

[Świadek stwierdził również, że nie zaobserwował nic nietypowego przez teleskop, i dodał: „To nie jest urządzenie przeznaczone do obserwacji Ziemi. Widziałoby się wszystko do góry nogami i tyłem naprzód].

Następny był raport Noaha:

„Trochę pograłem z Davisem w Battlefront. Zjedliśmy pizzę. Tata chwilę z nami siedział i gadał o tym, jak idzie Cubsom w lidze. Powiedział Davisowi, żeby mnie lepiej pilnował, a Davis odpowiedział, że nie jest moim ojcem. Zawsze sobie tak przygadywali. Tata przed wyjściem położył mi rękę na ramieniu. To było trochę dziwne. Ścisnął mnie tak mocno, że prawie bolało. Potem puścił i poszedł na górę. Davis pomógł mi odrobić algebrę. Potem parę godzin grałem w Battlefront. Około północy poszedłem na górę i zasnąłem. Nie widziałem taty od czasu, gdy powiedział nam dobranoc”.

Była też prawie setka zdjęć przedstawiających każdy pokój w domu.

Nie wyglądało na to, by ktoś tam buszował. W gabinecie Picketta zalegały stosy papierów, jakby opuścił go na jedną noc, a nie na całe życie. Na stoliku obok łóżka leżał telefon komórkowy. Dywany były tak czyste, że odcinały się na nich ślady jednej pary nóg prowadzące

do biurka i z powrotem. W szafach wisiały dziesiątki garniturów uszeregowanych idealnie od najjaśniejszej szarości po najciemniejszą czerń. Zdjęcie kuchennego zlewu ukazywało trzy brudne talerze, każdy ze śladami tłuszczu po pizzy i sosu pomidorowego. Sądząc po tych widokach, było to nie tyle zaginięcie, ile rozpłynięcie się w powietrzu.

Raport nie zawierał jednak żadnej wzmianki o zdjęciach z kamery noktowizyjnej, co znaczyło, że dysponujemy czymś, czym nie dysponują gliny: czasem zniknięcia.

*

Po lekcjach wsiadłam do Harolda i wrzasnęłam, gdy Daisy nagle pojawiła się na tylnym siedzeniu.

– Cholera, przestraszyłaś mnie!

– Sorry – powiedziała. – Schowałam się, bo Mychal chodzi ze mną na historię, a ja nie jestem jeszcze gotowa się z tym zmierzyć. Poza tym muszę odpowiedzieć na parę komentarzy. Życie przeciętnego autora fanfików jest ciężkie. Znalazłaś coś ciekawego w raporcie?

Wciąż próbowałam dojść do siebie. Upłynęła dłuższa chwila, nim wreszcie zdołałam się odezwać.

– Wydają się wiedzieć nieco mniej niż my.

– Fakt. Czekaj no, Holmesik, to jest to! To jest to! Oni wiedzą nieco mniej niż my!

– No i?

– Nagrodę można dostać za „informacje mogące doprowadzić do ujawnienia miejsca pobytu Russella Picketta”. Może i nie wiemy, gdzie jest, ale mamy informacje, które mogą im pomóc w ujawnieniu miejsca pobytu!

– Lub nie – zauważyłam.

– Powinnyśmy zadzwonić. Zadzwonić i zapytać, ile by nam zapłacili, gdybyśmy, powiedzmy, wiedziały, gdzie był Pickett w noc zniknięcia. Może nie całe sto tysięcy, ale jednak coś.

– Pozwól, że najpierw pogadam o tym z Davisem. – Nie chciałam, żeby uznał moje działanie za zdradę, choć prawie go nie znałam.

– Łam serca, a nie obietnice, Holmesy.

– Po prostu… nie jestem pewna, czy w ogóle daliby nam jakąś forsę. To tylko zdjęcie. Podwieźć cię do pracy?

– Owszem.

*

Tego popołudnia, jedząc z mamą obiad przed telewizorem, nie mogłam przestać myśleć o sprawie Picketta. A gdyby jednak dali nam nagrodę? W końcu nasza informacja była cenna, a policja jej nie miała. Może Davis by mnie znienawidził, gdyby kiedyś się o tym dowiedział, ale dlaczego miałoby mnie obchodzić, co o mnie myśli jakiś chłopak z obozu Smutas?

Po jakimś czasie uciekłam do swojego pokoju pod pretekstem odrabiania zadań domowych. Zastanawiałam się, czy nie przegapiłam czegoś w raporcie, więc postanowiłam przeczytać go jeszcze raz. Zanim skończyłam, zadzwoniła Daisy i zaczęła nawijać, nim powiedziałam „Cześć”.

– Przeprowadziłam wysoce hipotetyczną rozmowę z linią informacyjną i dowiedziałam się, że nagrodę funduje przedsiębiorstwo, a nie policja, więc to ono musi zadecydować, czy informacja jest ważna, a zresztą forsę i tak wypłacą dopiero, gdy znajdą Picketta. Nasza informacja z całą pewnością jest ważna, ale nie znajdą go wyłącznie dzięki zdjęciu z nocnej kamery, więc może będziemy musiały podzielić się nagrodą z innymi. A jeśli nigdy go nie znajdą, możemy w ogóle nic nie dostać. Tak czy owak, szansa jest.

– …zerowa, jeśli go nie znajdą.

– Dostarczamy im materiału dowodowego. Powinnyśmy dostać przynajmniej część nagrody.

– Jeśli go znajdą.

– Krętacz wpada, my dostajemy forsę. Nie wiem, dlaczego się wahasz, Holmes.

W tym momencie telefon pisnął.

– Muszę kończyć – powiedziałam i się rozłączyłam.

Przyszła wiadomość od Davisa.

Kiedyś uważałem, że nigdy nie powinno się przyjaźnić z kimś, kto chce być blisko twojej forsy, twoich możliwości i tak dalej.

Zaczęłam pisać odpowiedź, ale telefon pisnął ponownie.

Z nikim, komu nie chodzi o CIEBIE.

Znów zaczęłam pisać, ale pod tekstem pojawiły się trzy kropki oznaczające, że Davis wciąż wstukuje tekst, więc czekałam.

Ale może pieniądze po prostu są częścią mnie. Może bez nich mnie nie ma.

Chwilę później dodał:

Jaka jest różnica między tym, czym jesteś, a tym, co masz? Może żadna.

W tej chwili nie obchodzi mnie, dlaczego ktoś mnie lubi. Jestem po prostu tak cholernie samotny. Wiem, że to żałosne. Cóż.

Leżę w pułapce piaskowej na polu golfowym ojca i patrzę w niebo. Miałem gówniany dzień. Sorry za to marudzenie.

Wśliznęłam się pod kołdrę i odpisałam. Cześć.

On: Mówiłem ci, że nie umiem nawijać. No i widzisz. Zapomniałem, że rozmowę zaczyna się od „Cześć”.

Ja: Ty to nie twoja forsa.

On: Więc kim jestem? Kim jest ktokolwiek?

Ja: „Ja” to najtrudniejsze słowo do zdefiniowania.

On: Może jest się tym, kim nie może się nie być.

Ja: Może. Jak tam niebo?

On: Piękne. Ogromne. Niesamowite.

Ja: Lubię siedzieć na dworze w nocy. To dziwne uczucie, jakby się tęskniło, ale nie za domem. W sumie całkiem przyjemne.

On: Właśnie to teraz czuję. Jesteś na dworze?

Ja: Nie, w łóżku.

On: Przez sztuczne oświetlenie oglądanie gwiazd gołym okiem jest do kitu, ale widzę osiem z Wielkiej Niedźwiedzicy, w tym Alkora.

Ja: Czemu miałeś gówniany dzień?

Patrzyłam na kropki i czekałam. Długo pisał. Wyobrażałam sobie, jak wpisuje i kasuje, wpisuje i kasuje.

On: Chyba po prostu jestem tu całkiem sam.

Ja: A Noah?

On: On też jest całkiem sam. To chyba najgorsze. Nie umiem z nim rozmawiać. Nie wiem, jak sprawić, żeby to przestało boleć. Nie odrabia zadań domowych. Nie mogę go nawet nakłonić, żeby się regularnie mył. W końcu nie jest małym dzieckiem, które mógłbym zmusić.

Ja: A gdybym coś wiedziała… na przykład o twoim tacie? I gdybym to powiedziała, byłoby lepiej czy gorzej?

Znów długo pisał.

Znacznie gorzej – odpisał w końcu.

Ja: Dlaczego?

On: Po pierwsze, jeśli Noah będzie miał 18, 16 albo nawet 14 lat, gdy jego ojciec pójdzie siedzieć, będzie lepiej, niż gdyby musiał na to patrzeć teraz, gdy ma 13. Po drugie, jeśli ojca złapią podczas próby skontaktowania się z nami, będzie OK. Ale jeśli go złapią, choć nie będzie szukał kontaktu z nami, Noah kompletnie się załamie. Wciąż myśli, że ojciec nas kocha i tak dalej.

Przez chwilę – tylko przez chwilę – rozważałam myśl, że Davis mógł pomagać ojcu w zniknięciu. Ale jakoś nie widziałam go w roli wspólnika.

Ja: Przykro mi. Nic nie powiem. Nie martw się.

On: Dzisiaj są urodziny naszej mamy, ale Noah prawie jej nie pamięta. Dla niego to coś zupełnie innego.

Ja: Przykro mi.

On: Gdy kogoś tracisz, uświadamiasz sobie, że kiedyś stracisz wszystkich.

Ja: Fakt. I już nigdy nie możesz o tym zapomnieć.

On: Zachmurzyło się. Powinienem iść spać. Dobranoc, Azo.

Ja: Dobranoc.

Odłożyłam komórkę na nocny stolik i przykryłam się kołdrą, myśląc o wielkim niebie nad Davisem, o ciężarze kołdry, o jego ojcu i o moim. Davis miał rację: wszyscy kiedyś znikają.

---

4 Margaret Atwood, *Opowieść podręcznej*, przeł. Zofia Uhrynowska-Hanasz.

8

Następnego dnia, gdy Harold przywiózł mnie do szkoły, Daisy czekała przy moim miejscu do parkowania. W Indianapolis lato trwa krótko, więc choć wciąż był wrzesień, musiała nieźle zmarznąć w spódnicy i koszulce z krótkim rękawem.

– Mam kryzys – oznajmiła, ledwie wysiadłam. Szłyśmy przez parking, a ona tłumaczyła: – Wczoraj wieczorem zadzwonił Mychal i chciał się ze mną umówić. Gdyby napisał SMS, jakoś dałabym sobie z tym radę, ale wiesz, że gdy gadam przez telefon, staję się nerwowa, a do tego nie byłam pewna, jak on przyjmie… to – dokończyła, niejasnym gestem wskazując siebie. – Więc fakty są takie, że postanowiłam dać wielkiemu niemowlakowi szansę, ale w momencie przerażenia chyba mniej więcej zasugerowałam, żebyśmy poszli na podwójną randkę z tobą i Davisem.

– Nie zrobiłaś tego – wycedziłam.

– A wtedy on powiedział coś w stylu: „Aza mówiła, że nie chce się z nikim spotykać”, a ja na to: „No bo wiesz, jest zabujana w tym gościu, który chodzi do Aspen Hall, a on: „W synu milionera?”, a ja: „No”, a on: „Nie mogę uwierzyć, że mnie odprawiła pod fałszywym pretekstem”. Tak czy owak, w piątek wieczorem ty, ja, Davis i niemowlę wielkości dorosłego faceta urządzamy piknik.

– Piknik?

– Tak! Będzie super.

– Nie lubię jeść na dworze – powiedziałam. – Nie możemy po prostu iść do Applebee’s i wykorzystać dwóch kuponów zamiast jednego?

Zatrzymała się i spojrzała na mnie. Byłyśmy na schodach przed szkołą, ludzie tłoczyli się wokół nas i bałam się, że nas zadepczą, ale Daisy umiała sprawiać, że wokół niej rozstępowały się morza. Ludzie grzecznie ją omijali.

– Pozwól, że ci wymienię swoje główne obawy – rzekła. – Raz: nie chcę być sama z Mychalem na naszej pierwszej i prawdopodobnie jedynej randce. Dwa: Już mu powiedziałam, że bujasz się w gościu z Aspen Hall. Nie mogę tego odwołać. Trzy: Nie całowałam się z żadną istotą ludzką od miesięcy. Cztery: W związku z tym jestem nerwowa i chcę, żeby moja najlepsza kumpela była tam ze mną. Jak może zauważyłaś, wśród moich czterech głównych obaw nie występuje miejsce organizacji tego cholernego pikniku, więc jeśli chcesz go przenieść do Applebee's, to nie ma sprawy.

Zastanowiłam się.

– Spróbuję – powiedziałam.

Czekając na drugi dzwonek przed biologią, napisałam do Davisa.

Idę w piątek ze znajomymi na kolację do Applebee's na rogu 86 i Ditch. Masz czas?

Odpisał od razu.

Mam. Wpaść po ciebie czy spotkamy się na miejscu?

Na miejscu. Może być o siódmej?

Nie ma sprawy. Na razie.

Po szkole miałam wizytę w pozbawionym okien gabinecie doktor Singh mieszczącym się w ogromnym szpitalu Indiana University North w Carmel. Mama chciała mnie zawieźć, ale wolałam spędzić trochę czasu sam na sam z Haroldem.

Przez całą drogę zastanawiałam się, co powiedzieć lekarce. Nie potrafię porządnie myśleć, słuchając jednocześnie radia, więc w samochodzie było cicho, jeśli nie liczyć dudnienia mechanicznego serca Harolda. Chciałam jej powiedzieć, że jest mi lepiej, bo takiej narracji ode mnie oczekiwano: choroba była przeszkodą do pokonania albo bitwą do wygrania. O chorobie opowiadało się w czasie przeszłym.

– Jak się czujesz? – zapytała doktor Singh, gdy usiadłam. Jej gabinet miał gołe ściany, jeśli nie liczyć obrazka przedstawiającego

rybaka z przerzuconą przez ramię siecią, stojącego na plaży. Wyglądał na standardowy obrazek kupiony razem z ramą. Nie powiesiła sobie nawet dyplomów.

– Jak ktoś, kto nie kieruje autobusem swojej świadomości – odparłam.

– Czujesz, że nie masz kontroli – podsumowała.

– Chyba tak.

Założyła nogę na nogę i przytupywała lewą stopą w podłogę, jakby próbowała nadać SOS alfabetem Morse'a. Doktor Singh wciąż była w ruchu, jak źle narysowana kreskówka, ale za to miała najlepszą pokerową twarz, jaką widziałam w życiu. Nigdy nie okazywała niesmaku ani zdziwienia. Pamiętam, jak kiedyś jej powiedziałam, że czasem myślę o urwaniu sobie palca i rozdeptaniu go, a ona mi na to: „To dlatego, że twój ból się tam umiejscowił". „Może", mruknęłam wtedy, a ona wzruszyła ramionami i powiedziała: „To się zdarza".

– Czy twoje niepokoje lub natrętne myśli się wzmogły?

– Nie wiem. Wciąż przychodzą.

– Kiedy założyłaś ten plaster?

– Nie wiem – skłamałam, a ona patrzyła na mnie bez mrugnięcia okiem. – Po lunchu.

– Co z twoim lękiem przed *Clostridium difficile*?

– Nie wiem. Czasem mnie nachodzi.

– Czy czujesz, że jesteś w stanie się oprzeć tym…

– Nie – przerwałam jej. – Nadal jestem stuknięta, jeśli o to pani pyta. W tej kwestii nic się nie zmieniło.

– Zauważyłam, że często używasz słowa „stuknięta". Kiedy je wypowiadasz, wydajesz się rozgniewana, prawie jakbyś rzucała w siebie wyzwiskiem.

– Teraz wszyscy są stuknięci, pani doktor. Zdrowie psychiczne nastolatków wyszło z mody w XX wieku.

– Odnoszę wrażenie, że traktujesz siebie okrutnie.

Namyślałam się chwilę.

– Jak można jakkolwiek traktować siebie? Jeśli można postępować jakoś w stosunku do siebie, to znaczy, że nie jest się jednością.

– Zmieniasz temat.

Patrzyłam na nią w milczeniu.

– Masz rację, że „ja” nie jest czymś prostym, Azo. Może nawet nie jest jednością. Jest wielością, ale wielość można zintegrować, prawda? Pomyśl o tęczy. Jeden łuk światła, lecz także siedem różnych łuków, każdy o innej barwie.

– W takim razie czuję się bardziej jak siedem łuków niż jeden.

– Czy masz wrażenie, że twoje schematy myślowe przeszkadzają ci w codziennym życiu?

– Nno tak – mruknęłam.

– Mogłabyś podać przykład?

– Bo ja wiem… Powiedzmy, że siedzę w stołówce i zaczynam myśleć o tych wszystkich istotach, które żyją we mnie i zjadają dla mnie moje jedzenie, więc w pewnym sensie jestem nimi, czyli że jestem nie tyle człowiekiem, ile tym obrzydliwym, przewalającym się we mnie mrowiem bakterii, i nie da się utrzymać czystości, bo brud zżera mnie od środka. Nie jestem w stanie znaleźć takiej części siebie, która byłaby czysta, niezepsuta, czy coś w tym stylu. Części, w której miałaby się znajdować moja dusza. A to oznacza, że może nie mam więcej duszy niż te bakterie.

– To się zdarza – odpowiedziała. Ciągle powtarza to zdanie.

Potem zapytała, czy zamierzam jeszcze raz spróbować ekspozycji z powstrzymaniem reakcji – terapii, której mnie poddała, gdy do niej trafiłam po raz pierwszy. Musiałam dotykać zgrubieniem na swoim palcu brudnej powierzchni, a potem go nie myć ani nie przyklejać plastra. Przez jakiś czas w miarę działało, ale teraz pamiętałam tylko, jak bardzo się bałam, a ponieważ nie mogłam znieść myśli o tym, że znów miałabym się tak bać, pokręciłam głową.

– Bierzesz lexapro? – zapytała.

– Tak – odpowiedziałam, a ona patrzyła na mnie bez słowa. – Trochę mnie przeraża branie go, więc nie codziennie.

– Przeraża?

– Nie wiem. – Wciąż gapiła się na mnie i przytupywała. Powietrze w gabinecie wydawało się stęchłe. – Jeśli zażywanie jakiejś tabletki sprawia, że człowiek inaczej się czuje… jeśli zmienia sposób, w jaki… no wie pani… to przerażające. Kto ma decydować o tym, co znaczy „ja”? Ja czy pracownicy fabryki, w której produkuje się

lexapro? To tak, jakbym miała w sobie demona i chciała, żeby zniknął, ale myśl o usuwaniu go za pomocą tabletki jest… bo ja wiem… nieprzyjemna. Chociaż często udaje mi się pokonać ten strach, bo naprawdę nienawidzę demona.

– Próbujesz opisać swoje doświadczenia za pomocą metafor, Azo. Mówisz o demonie, świadomość nazywasz autobusem, więzieniem, spiralą, wirem, pętlą albo… zdaje się, że kiedyś nazwałaś ją nabazgranym okręgiem, co wydało mi się ciekawe.

– Tak – przyznałam.

– Jednym z wyzwań związanych z bólem, fizycznym lub psychicznym, jest to, że tak naprawdę możemy go określać wyłącznie za pomocą metafor. Nie da się go przedstawić w taki sposób, w jaki przedstawiamy stół lub ciało. W pewnym sensie ból jest przeciwieństwem języka.

Obróciła się do komputera, potrząsnęła myszą, żeby ją obudzić, po czym kliknęła obrazek na pulpicie.

– Chcę ci przeczytać słowa Virginii Woolf: „Angielszczyzna, która potrafi wyrazić rozmyślania Hamleta i tragedię Leara, nie ma słów, by oddać dreszcze i ból głowy. (…) Byle dziewczęciu, które się zakocha, z pomocą przy wyrażaniu stanu ducha spieszą Shakespeare czy Keats; ale niech no ktoś cierpiący spróbuje opisać doktorowi ból głowy: zasoby języka zaraz się wyczerpują”[5]. Jesteśmy istotami tak zależnymi od języka, że do pewnego stopnia nie możemy poznać czegoś, czego nie potrafimy nazwać. Przyjmujemy więc, że to nie jest prawdziwe. Używamy ogólników w rodzaju „stuknięta” czy „przewlekły ból”, które albo wykluczają, albo pomniejszają. Określenie „przewlekły ból” nijak się ma do ciągłego, nieprzerwanego, dręczącego cierpienia, od którego nie ma ucieczki. A określenie „stuknięta” nie wyraża ani odrobiny grozy, z którą trzeba żyć. Żadne z tych słów nie przekazuje również dzielności cechującej ludzi znoszących taki ból. Dlatego właśnie poprosiłam cię o opisanie swojego zdrowia psychicznego innym wyrazem niż „stuknięta”.

– Hm – mruknęłam.

– Potrafisz to powiedzieć? Potrafisz powiedzieć, że jesteś dzielna?

Skrzywiłam się.

– Niech mi pani tego nie robi. Niech mnie pani nie zmusza

do tych terapeutycznych sztuczek.

– Te sztuczki są skuteczne.

– Jestem dzielną wojowniczką w swojej wewnętrznej bitwie o Walhallę – powiedziałam z kamienną twarzą.

Prawie się uśmiechnęła.

– Porozmawiajmy o tym, jak sprawić, żebyś brała ten lek codziennie – zaproponowała.

I nawijała dalej: czy lepiej łykać rano, czy wieczorem; że możemy spróbować odstawić te tabletki i przejść na inne, ale najlepiej to zrobić w mniej stresującym okresie, takim jak wakacje, i tak dalej, i tak dalej.

Tymczasem ja z jakiegoś powodu poczułam ukłucie w żołądku. Pewnie się zdenerwowałam, gdy doktor Singh mówiła o dawkowaniu. Ale od tego zaczyna się też rzekomobłoniaste zapalenie jelit, powodowane przez *Clostridium difficile*. Boli cię brzuch, bo kilka złych bakterii zagnieździło się w twoim jelicie cienkim, po czym pękają ci wnętrzności i siedemdziesiąt dwie godziny później nie żyjesz.

Musiałam przeczytać jeszcze raz o tej kobiecie, która nie miała żadnych objawów z wyjątkiem bólu żołądka, i okazało się, że ma *Clostridium*. Ale nie mogłam teraz wyjąć telefonu, bo Singh by się wściekła. Kurczę. Czy tamta baba miała choć jeden inny objaw, czy tylko to co ja? Kolejne ukłucie. Cholera. Pocę się. Ona to widzi. Czy powinnam jej powiedzieć? Jest lekarką. Może powinnam.

– Trochę boli mnie brzuch – przyznałam.

– Nie masz *Clostridium difficile* – stwierdziła.

Skinęłam głową, przełknęłam ślinę, po czym powiedziałam słabym głosem:

– Skąd pani może to wiedzieć?

– Masz biegunkę, Azo?

– Nie.

– Brałaś ostatnio antybiotyki?

– Nie.

– Byłaś ostatnio w szpitalu?

– Nie.

– Nie masz *Clostridium* – powiedziała stanowczo.

Skinęłam głową, ale w końcu Singh nie była gastrologiem, a poza tym ja naprawdę wiedziałam o *Clostridium difficile* więcej niż ona. Niemal trzydzieści procent osób, które umierały na rzekomobłoniaste zapalenie jelit, nie zaraziło się nim w szpitalu, a ponad dwadzieścia procent nie miało biegunki. Doktor Singh wróciła do omawiania spraw medycznych, a ja nie mogłam się skupić na jej słowach, bo zaczęłam się bać, że zwymiotuję. Brzuch bolał mnie już na całego, jakby skręcał się w spiralę albo jakby biliony bakterii w moich wnętrznościach robiły miejsce dla nowego gatunku, który rozerwie mnie na strzępy od środka.

Pot dosłownie po mnie spływał. Gdybym tylko mogła na chwilę zajrzeć do opisu tamtego przypadku… Doktor Singh zauważyła, co się ze mną dzieje.

– Spróbujemy ćwiczenia z oddychaniem?

Spróbowałyśmy. Wdychałam głęboko, a potem wydychałam tak, jakbym chciała zachwiać płomykiem świeczki, ale go nie zgasić.

Powiedziała, że chce mnie widzieć za dziesięć dni. Można mniej więcej zmierzyć, jak bardzo jest się stukniętym, na podstawie tego, jak szybko umawiają cię na kolejną wizytę. W zeszłym roku na pewien czas zeszłam do ośmiu tygodni. Teraz wytrzymywałam mniej niż dwa.

Wracając z gabinetu do Harolda, sprawdziłam tamten przypadek. Okazało się, że pacjentka miała gorączkę. Powtarzałam sobie, że powinnam czuć ulgę, i może przez chwilkę ją czułam, ale nim dotarłam do domu, znów coś szeptało mi do ucha, że z moim żołądkiem jest coś nie tak, bo bolesny ucisk nie ustępował.

Nigdy się od tego nie uwolnisz, myślę. *Nie wybierasz swoich myśli. Umierasz. Masz w środku robale, które przeżrą ci skórę.*

Myślę, myślę i nie mogę przestać.

---

5 Virginia Woolf, *O chorowaniu*, [w:] *Eseje wybrane*, przeł. Magda Heydel.

9

Ale moje zwykłe życie, mniej lub bardziej normalne, wciąż trwało. Czasem myśli opuszczały mnie na godziny lub nawet dni. Wtedy pamiętałam coś, co kiedyś powiedziała mi mama: „Twoje »teraz« nie jest twoim »zawsze«”. Chodziłam do szkoły, dostawałam dobre stopnie, pisałam wypracowania, rozmawiałam z mamą po lunchu, jadłam obiady, oglądałam telewizję, czytałam. Nie zawsze byłam uwięziona w głębi siebie albo swojego „ja”. Byłam stuknięta, ale nie do reszty.

W dniu randki wróciłam ze szkoły i dobre dwie godziny spędziłam na kompletowaniu stroju. Było bezchmurne wrześniowe popołudnie, dość chłodne, by usprawiedliwiać kurtkę, ale i dość ciepłe, by móc włożyć pod nią sukienkę z rękawami i rajstopy. Z drugiej strony, mogło to wyglądać tak, jakby mi zależało, a Daisy, której próbowałam się poradzić, odpisała, że zamierza włożyć suknię wieczorową, i nie byłam do końca pewna, czy żartuje.

W końcu zdecydowałam się na ulubione dżinsy i kurtkę z kapturem, a pod nią lawendowy T-shirt z Hanem Solo i Chewbaccą w mocnym uścisku, będący oczywiście prezentem od Daisy.

Następne pół godziny zajęło mi nakładanie i zmywanie makijażu. Nie należę do osób, które by się tym specjalnie przejmowały, ale byłam zdenerwowana, a makijaż może czasem służyć za coś w rodzaju zbroi.

– Czy ty masz pomalowane oczy? – zapytała mama, kiedy wyłoniłam się z pokoju.

Przeglądała rozłożone na stoliku rachunki i trzymała długopis nad książeczką czekową.

– Trochę – odpowiedziałam. – A co, źle wyglądam?

– Po prostu inaczej – mruknęła, kiepsko ukrywając dezaprobatę. –

Dokąd się udajesz?

– Do Applebee's z Daisy, Davisem i Mychalem. Wrócę przed północą.

– Na randkę?

– Na kolację – podkreśliłam.

– Spotykasz się z Davisem Pickettem?

– Po prostu jemy kolację w tej samej restauracji o tej samej porze. Nie biorę z nim ślubu. – Mama wskazała miejsce na kanapie obok siebie. – Umówiłam się na siódmą – protestowałam, ale ponowiła gest.

Usiadłam. Mama otoczyła mnie ramieniem.

– Niewiele rozmawiasz z matką.

Doktor Singh kiedyś mi powiedziała, że jeśli w tym samym pomieszczeniu znajdują się idealnie nastrojona gitara i idealnie nastrojone skrzypce, wystarczy szarpnąć strunę „D" na gitarze, a struna „D" na skrzypcach także zawibruje. Zawsze czułam wibrowanie strun mojej mamy.

– Z innymi też niewiele.

– Chciałabym, żebyś uważała na Davisa, dobrze? Bogactwo jest beztroskie, więc jeśli przebywasz w jego pobliżu, musisz się troszczyć o siebie w dwójnasób.

– Davis nie jest bogactwem. Jest człowiekiem.

– Ludzie też bywają beztroscy. – Przytuliła mnie tak mocno, że omal nie wyzionęłam ducha. – Uważaj na siebie.

*

Dotarłam na miejsce jako ostatnia i musiałam usiąść na ostatnim wolnym miejscu – obok Mychala, naprzeciwko Davisa, który miał na sobie porządnie wyprasowaną kraciastą koszulę z podwiniętymi za łokieć rękawami. Nie wiem dlaczego, ale zawsze miałam słabość do męskich przedramion.

– Fajna koszulka – powiedział na mój widok.

– Prezent urodzinowy od Daisy – odpowiedziałam.

– Wiesz, że zdaniem niektórych miłość Wookieego do człowieka to zoofilia? – zapytała Daisy.

Mychal westchnął.

– Nie zaczynaj na nowo dyskusji o tym, czy Wookiee są osobami.

– Ale to najciekawsza rzecz w *Gwiezdnych wojnach*! – zaoponował Davis.

Mychal stęknął.

– Rany, nie. To się nie dzieje.

Daisy natychmiast zaczęła żarliwie bronić miłości wookijsko-ludzkiej.

– Wiecie, że w apokryfach *Gwiezdnych wojen* Han przez jakiś czas był żonaty z Wookijką, ale nikt się tym nie przejmuje?

Davis siedział pochylony do przodu i słuchał uważnie. Był niższy od Mychala, ale zajmował więcej miejsca – jego chude kończyny zagarniały przestrzeń w taki sposób, w jaki armia zagarnia terytorium.

Davis i Daisy wdali się w intensywną pogawędkę na temat dehumanizacji żołnierzy-klonów, a Mychal wtrącił się, by wyjaśnić Davisowi, że Daisy jest znaną autorką fanfików *Gwiezdnych wojen*. Davis sprawdził na telefonie jej nick i był pod wrażeniem faktu, że jej najnowsze opowiadanie zostało przeczytane dwa tysiące razy. Potem wszyscy zaczęli się śmiać z jakiegoś tematycznego żartu, którego zbytnio nie zrozumiałam.

– Cztery wody – powiedziała Daisy, gdy pojawiła się Holly, by przyjąć zamówienie na napoje.

Davis spojrzał na mnie.

– Nie mają dra peppera?

– Kupon nie obejmuje napojów gazowanych – wyjaśniła beznamiętnie Holly. – A zresztą i tak go nie mamy. Mamy pepsi.

– Myślę, że możemy sobie pozwolić na cztery pepsi.

W ciszy, która zaległa, uświadomiłam sobie, że nie powiedziałam ani słowa, odkąd Davis skomplementował moją koszulkę. Po chwili tamci troje wrócili do rozmowy o *Gwiezdnych wojnach*, rozmiarach wszechświata i podróżach z prędkością przekraczającą prędkość światła.

– Gwiezdne wojny to amerykańska religia – powiedział w pewnym momencie Davis.

– Moim zdaniem amerykańską religią jest religia – odrzekł Mychal.

Śmiałam się razem z nimi, ale miałam wrażenie, że obserwuję to wszystko z bardzo daleka, jakbym oglądała film o swoim życiu, zamiast je przeżywać.

Ocknęłam się na dźwięk swojej ksywki. Byłam z powrotem wewnątrz ciała, w Applebee's, oparta o zieloną winylową poduszeczkę, a wokół mnie unosił się zapach smażonego jedzenia i gwar rozmów.

– Holmesik jest na fejsie – mówiła Daisy – ale nie napisała tam nic od czasu gimnazjum. – Rzuciła mi spojrzenie, którego nie potrafiłam zinterpretować. – Jest strasznie zacofana, jeśli chodzi o Internet. – Znów urwała. – Prawda? – zapytała znacząco, a ja w końcu zrozumiałam, że próbuje stworzyć dla mnie przestrzeń do rozmowy.

– Korzystam z Internetu. Po prostu nie czuję potrzeby… wnoszenia nowych treści.

– Rzeczywiście Internet zawiera już mnóstwo treści – zauważył Davis.

– Wcale nie – zaprzeczyła Daisy. – Na przykład zawiera bardzo niewiele wartościowych romantycznych fanfików o Chewbacce, a ja jestem tylko jedną osobą i mogę napisać wyłącznie tyle, ile mogę. Holmesy, świat potrzebuje twoich opowiadań o miłości Wookieech. – Zaległa chwilowa cisza. Ręce mrowiły mnie z nerwów i czułam, jak gruczoły potowe czekają, by się otworzyć. Potem oni wrócili do rozmowy, opowiadając o tym i tamtym, zmieniając tematy, przekrzykując się i śmiejąc.

Próbowałam się uśmiechać i kręcić głową w odpowiednich momentach, ale zawsze byłam trochę spóźniona w stosunku do pozostałych. Oni się śmiali, bo coś było śmieszne, a ja po prostu ich naśladowałam.

Kiedy Holly przyniosła jedzenie, zaczęłam skubać swojego wegetariańskiego burgera nożem i widelcem, żeby wyglądało, że jem, choć nie czułam głodu. Rozmowa na chwilę przycichła. Gdy Holly przyniosła rachunek, podniosłam go.

Davis sięgnął przez stół i przykrył moją dłoń swoją.

– Proszę – powiedział. – To nie jest dla mnie problem.

Pozwoliłam mu uregulować rachunek.

– Powinniśmy coś zrobić – odezwała się Daisy. Osobiście

zamierzałam wrócić do domu, zjeść coś samotnie i iść spać. – Może skoczymy do kina?

– Możemy pooglądać coś u mnie – zaproponował Davis. – Dostajemy wszystkie filmy.

Mychal przekrzywił głowę.

– Jak to „dostajecie wszystkie filmy”?

– Wszystkie, które wchodzą do kin. Mamy salę kinową i po prostu… płacimy za nie czy jakoś tak. Nie wiem, jak dokładnie to działa.

– Chcesz powiedzieć, że gdy film ma premierę w kinach… jednocześnie ma premierę w waszym domu?

– Tak – potwierdził Davis. – Kiedy byłem dzieciakiem, musiał przychodzić operator, żeby nam puszczać filmy, ale teraz wszystko leci cyfrowo.

– W twoim domu? – nie mógł uwierzyć Mychal.

– Tak. Pokażę wam – rzekł Davis.

Daisy spojrzała na mnie.

– Co ty na to, Holmesik?

Ułożyłam usta w uśmiech i kiwnęłam głową.

*

Pojechałam do domu Davisa Haroldem. Daisy jechała z Mychalem minivanem jego rodziców, a escalade Davisa prowadził naszą małą karawanę. Ruszyliśmy Osiemdziesiątą Szóstą na zachód, skręciliśmy w Michigan Road, minęliśmy Walmart, lombardy i firmy pożyczkowe, aż dojechaliśmy do posesji Davisa, położonej naprzeciwko muzeum sztuki. Posiadłość Pickettów nie mieściła się na żadnym ekskluzywnym osiedlu, ale była tak wielka, że mogła uchodzić za miniaturową dzielnicę.

Brama się otworzyła i wjechaliśmy za Davisem na parking położony obok oszklonej rezydencji, która w ciemnościach wyglądała jeszcze bardziej imponująco. Przez przezroczyste ściany widziałam całą kuchnię skąpaną w złotym blasku.

Ledwie wysiadłam z auta, podbiegł do mnie Mychal.

– Nie uwierzysz, ale zawsze chciałem zobaczyć ten dom!

To dzieło Tu-Quyen Pham!

– Czyje?

– Tu-Quyen Pham! – powtórzył. – Niesamowicie popularnej architekt. Zaprojektowała tylko trzy rezydencje w Stanach. Boże, nie mogę uwierzyć, że na to patrzę!

Weszliśmy do domu. Mychal seriami wyrzucał z siebie nazwiska artystów.

– Pettibon! Picasso! O Boże, to KERRY JAMES MARSHALL!

Wiedziałam jedynie, kim był Picasso.

– Szczerze mówiąc, to ja namówiłem ojca, żeby go kupił – przyznał Davis. – Parę lat temu zabrał mnie na targi sztuki do Miami Beach. Bardzo mi się spodobały prace KJM-a.

Noah leżał na tej samej kanapie co poprzednio i chyba grał w tę samą grę.

– Noah, to moi znajomi. A to mój brat Noah.

– Siema – mruknął Noah.

– Nie masz nic przeciwko temu, żebym się rozejrzał? – zapytał Davisa Mychal.

– Proszę bardzo, rozglądaj się. Nie przegap instalacji Rauschenberga na górze.

– Serio?

Mychal już pędził po schodach. Daisy za nim. Mój wzrok przyciągnął obraz, który Mychal przypisał jakiemuś Pettibonowi. Była to kolorowa spirala, a może wielokolorowa róża lub wir. Dzięki jakiejś sztuczce wynikającej z zakrzywienia linii mój wzrok kompletnie się gubił i co rusz musiałam go ogniskować na małych wycinkach. Nie miałam wrażenia, że coś oglądam, lecz raczej, że jestem częścią czegoś. Walczyłam z pragnieniem, by zerwać obraz ze ściany i uciec z nim.

Wzdrygnęłam się, gdy Davis położył mi dłoń na plecach.

– Raymond Pettibon. Najbardziej znany z cyklu o surferach, ale ja lubię jego spirale. Zanim został artystą, był basistą w zespole punkowym. Grał w Black Flag, kiedy jeszcze nie nazywało się Black Flag.

– Nie mam pojęcia, co to jest Black Flag – powiedziałam.

Wyjął komórkę i postukał trochę w klawisze. Z głośników u góry dobiegła fala skrzeczących dźwięków połączonych z ochrypłym

wrzaskiem.

– To jest Black Flag – oznajmił Davis i znów postukał w klawisze. Muzyka ucichła. – Chcesz zobaczyć kino?

Skinęłam głową. Zaprowadził mnie do piwnicy, która nie sprawiała wrażenia piwnicy, bo miała co najmniej cztery i pół metra wysokości. Przeszliśmy korytarzem do regału wypełnionego książkami w twardej oprawie.

– Kolekcja pierwszych wydań ojca – wyjaśnił Davis. – Oczywiście nie wolno nam ich czytać. Dotyk ludzkiej skóry je niszczy. Ale możesz wziąć tę – powiedział, wskazując egzemplarz *Czuła jest noc*.

Sięgnęłam po nią. Gdy moja dłoń dotknęła grzbietu, regał rozdzielił się na dwie połowy i zaczął się otwierać do środka, odsłaniając kino z sześcioma rzędami foteli obitych czarną skórą.

– F. Scott Fitzgerald – rzekł Davis. – Jego pełne imię i nazwisko brzmiało „Francis Scott Key Fitzgerald”.

Milczałam. Nie mogłam wyjść z podziwu nad rozmiarem ekranu.

– Pewnie widać, jak strasznie się wysilam, żeby zrobić na tobie wrażenie – dodał.

– Na próżno. Spędzam mnóstwo czasu w rezydencjach z ukrytymi w środku salami kinowymi.

– Chcesz coś obejrzeć? A może wolisz się przejść? Chciałbym ci coś pokazać na zewnątrz.

– Nie powinniśmy zostawiać Daisy i Mychala.

– Dam im znać. – Przez chwilę robił coś na telefonie. – Idziemy na spacer – powiedział do niego. – Czujcie się jak w domu. Gdybyście chcieli coś obejrzeć, kino jest w piwnicy.

Kilka sekund później w głośnikach rozległ się jego głos powtarzający te słowa.

– Mogłam po prostu napisać do niej SMS – mruknęłam.

– Ale to by nie robiło takiego wrażenia – odpowiedział.

*

Zapięłam kurtkę i wyszłam za nim na zewnątrz. W milczeniu szliśmy wyasfaltowanymi ścieżkami golfowymi, mijając basen oświetlony od wewnątrz i stopniowo zmieniający barwę

z czerwonej na pomarańczową, potem na żółtą i wreszcie na zieloną. Światło rzucało na okna terrarium niesamowity poblask przywodzący na myśl zdjęcia zorzy polarnej.

Szliśmy dalej, aż dotarliśmy do jednego z podłużnych bunkrów piaskowych na polu golfowym. Davis położył się w nim, opierając głowę o trawiasty brzeg. Ułożyłam się obok. Dotykaliśmy się kurtkami, ale nie skórą. Davis wskazał jedną z gwiazd.

– Zanieczyszczenie świetlne jest okropne – powiedział – ale widzisz tę najjaśniejszą gwiazdę? – Przytaknęłam. – No więc to nie jest gwiazda. To Jowisz. A Jowisz znajduje się, w zależności od orbit i tak dalej, między pięćset osiemdziesiąt a tysiąc osiemdziesiąt milionów kilometrów stąd. Teraz jest to około ośmiuset milionów kilometrów, czyli czterdzieści pięć minut świetlnych. Wiesz, co to jest czas świetlny?

– Mniej więcej.

– To oznacza, że gdybyśmy podróżowali z prędkością światła, nasza podróż z Ziemi na Jowisza trwałaby czterdzieści pięć minut, więc Jowisz, który widzimy, jest tak naprawdę Jowiszem sprzed czterdziestu pięciu minut. A widzisz tych pięć gwiazd zaraz nad drzewami, które tworzą takie jakby krzywe „W”?

– Widzę.

– To Kasjopeja. A najbardziej niesamowite jest to, że ta gwiazda u szczytu, Caph, znajduje się w odległości pięćdziesięciu pięciu lat świetlnych. Tamta, Szedar, dwustu trzydziestu lat świetlnych. A następna, Navi, pięciuset pięćdziesięciu lat świetlnych. Nie tylko jesteśmy daleko od nich, ale one wszystkie są daleko od siebie nawzajem. Kto wie, może Navi eksplodowała pięćset lat temu.

– Kurczę! – powiedziałam. – Patrzymy w przeszłość!

– Dokładnie.

Czułam, jak próbuje coś wymacać. Myślałam, że szuka telefonu, ale spojrzałam w dół i zobaczyłam, że chce mnie wziąć za rękę. Chwyciłam jego dłoń i w milczeniu patrzyliśmy na wiekowe światła nad naszymi głowami. Myślałam o tym, że niebo – przynajmniej to niebo – w rzeczywistości nie jest czarne. Naprawdę czarne były drzewa, widoczne jedynie jako sylwetki. Były cieniami samych siebie rzuconymi na tło srebrno-granatowego nieba.

Usłyszałam, jak Davis obraca ku mnie głowę. Czułam, że na mnie

patrzy. Zastanawiałam się, dlaczego chcę, żeby mnie pocałował; skąd człowiek ma wiedzieć, dlaczego chce z kimś być; jak rozplątać te wszystkie poplątane supły miłości. I dlaczego boję się obrócić głowę w jego stronę.

Znów zaczął mówić o gwiazdach. Było coraz ciemniej, więc widziałam ich coraz więcej, słabych, rozedrganych, migoczących na skraju pola widzenia. Davis opowiadał mi o zanieczyszczeniu świetlnym i o tym, że jeśli czeka się dość długo, można zobaczyć, jak gwiazdy się poruszają, i że jakiś grecki filozof uważał gwiazdy za dziury w kosmicznym całunie. Potem, po dłuższej chwili milczenia, zauważył:

– Niewiele mówisz, Azo.

– Nigdy nie wiem, co należy powiedzieć.

– „Spróbuj powiedzieć, co myślisz" – przypomniał mi moje własne słowa z dnia, kiedy spotkaliśmy się przy basenie. – „Ja nigdy w życiu tego nie robię".

Powiedziałam mu prawdę:

– Myślę o organizmach żywych.

– A konkretnie?

– Nie umiem tego opisać.

– Spróbuj.

Spojrzałam na niego. Większość ludzi zachwyca się zielonymi i niebieskimi oczami, ale brązowe oczy Davisa miały w sobie głębię, której brakuje jaśniejszym kolorom. Kiedy tak na mnie patrzył, pomyślałam, że może i moje brązowe oczy mają coś, co sprawia, że warto w nie spojrzeć.

– Chyba po prostu nie podoba mi się, że muszę żyć wewnątrz ciała. O ile to ma dla ciebie jakiś sens. I myślę, że może w gruncie rzeczy jestem po prostu narzędziem istniejącym wyłącznie w celu przetwarzania tlenu w dwutlenek węgla, jednym z organizmów w tym całym… bezkresie. I trochę mnie przeraża, że w zasadzie nie mam władzy nad tym, co uważam za swoje, cytuję, „ja". Może na przykład zauważyłeś, że spociła mi się dłoń, choć jest zimno, a kiedy już zaczynam się pocić, to nie mogę przestać, i szczerze tego nienawidzę, a w dodatku nie mogę myśleć o niczym innym z wyjątkiem tego, że się pocę. A jeśli nie można wybrać tego, co się robi ani o czym myśli, to może w ogóle nie jest się rzeczywistym.

Może jesteś tylko kłamstwem, które szepczesz do siebie.

– W ogóle nie czuję, że się pocisz. Ale to pewnie w niczym nie pomaga.

– Niestety. – Wysunęłam dłoń z jego dłoni i wytarłam o dżinsy, a potem otarłam twarz rękawem kurtki. Brzydziłam się sobą. Byłam odrażająca, ale nie mogłam uciec od siebie, bo tkwiłam uwięziona wewnątrz. Myślałam o tym, że zapach potu nie pochodzi od niego samego, tylko od bakterii, które go zjadają.

Zaczęłam opowiadać Davisowi o tym przerażającym pasożycie *Diplostomum pseudospathaceum*, który dojrzewa w oczach ryby, ale może się rozmnażać wyłącznie w brzuchu ptaka. Ryby zainfekowane niedojrzałymi pasożytami pływają w głębokiej wodzie, by ptakom było trudniej je zauważyć, ale kiedy pasożyt jest gotów do rozrodu, zainfekowana ryba nagle zaczyna pływać blisko powierzchni. Krótko mówiąc, robi wszystko, by zostać zjedzoną, i w końcu jej się udaje, a pasożyt, który przez cały czas sterował tą historią, ląduje dokładnie tam, gdzie zamierzał: w brzuchu ptaka. Tam się rozmnaża, po czym jego potomstwo zostaje wydalone przez ptaka do wody, gdzie spotyka rybę i cykl rozpoczyna się od nowa.

Próbowałam mu wyjaśnić, dlaczego tak mnie to przeraża, ale nie za bardzo mi się udawało, a w dodatku miałam świadomość, że pociągnęłam rozmowę w niewłaściwym kierunku. Przed chwilą trzymaliśmy się za ręce i wszystko zmierzało w stronę pocałunku, a teraz gadałam o ptakach zarażonych przez pasożyty, co było raczej antytezą romansu. Ale nie potrafiłam przestać, bo chciałam, żeby Davis zrozumiał, że czuję się jak ta ryba – jakby moją historię pisał ktoś inny.

Powiedziałam mu nawet coś, czego nigdy nie powiedziałam Daisy, doktor Singh ani nikomu innemu – że przyciskanie paznokciem opuszka palca początkowo miało być próbą przekonania siebie, że jestem rzeczywista. W dzieciństwie usłyszałam od mamy, że jeśli po uszczypnięciu się nie zbudzisz, można być pewnym, że to wszystko dzieje się naprawdę, więc ilekroć przychodziło mi do głowy, że mogę nie być prawdziwa, wbijałam paznokieć w koniuszek palca, czułam ból i przez chwilę myślałam: *Jasne, że jestem prawdziwa*. Ale ryby także odczuwają ból. Tak naprawdę nie można mieć pewności, czy nie realizuje się

planu jakiegoś pasożyta.

Kiedy już to wszystko powiedziałam, długo milczeliśmy.

– Po tym tętniaku moja mama była w szpitalu chyba z pół roku – odezwał się w końcu Davis. – Wiedziałaś? – Pokręciłam głową. – Zapadła w śpiączkę albo coś w tym stylu, w każdym razie nie mogła mówić ani nic, nie jadła, ale kiedy złapało się ją za rękę, czasem zaciskała dłoń. Noah był za mały, żeby często ją odwiedzać, ale ja musiałem. Codziennie po lekcjach Rosa zawoziła mnie do szpitala. Leżałem z mamą w łóżku i oglądaliśmy *Wojownicze żółwie ninja* na telewizorze w jej sali. Miała otwarte oczy i oddychała samodzielnie, a ja leżałem obok niej i oglądałem te żółwie. Zawsze trzymałem w ręku Iron Mana i zaciskałem palce w pięść wokół niego, a potem wkładałem tę pięść w jej dłoń i czasem ona też zaciskała pięść na mojej pięści. Kiedy to robiła, czułem się… no nie wiem… chyba czułem się kochany. – Umilkł na moment. – Kiedyś przyszedł tata i stał pod ścianą na końcu sali, jakby się bał zarazić czy coś. W pewnej chwili ona ścisnęła moją rękę, a ja mu o tym powiedziałem. „To tylko odruch", odpowiedział. „Zobacz, tato, ona naprawdę mnie trzyma", upierałem się. A on mówi: „Jej tam nie ma, Davis. Już jej tam nie ma". – Znów urwał. – Ale to nie tak działa, Azo. Ona wciąż była prawdziwa. Wciąż żyła. Była taką samą osobą jak każda inna. Człowiek jest prawdziwy, ale nie z powodu swojego ciała czy swoich myśli.

– Tylko czego? – zapytałam.

Westchnął.

– Nie wiem.

– Dzięki, że mi to opowiedziałeś. – Obróciłam się i patrzyłam na jego profil. Czasami wyglądał jak chłopiec: blady, z trądzikiem na podbródku. Ale teraz wydawał się przystojny. Milczenie stawało się krępujące, aż w końcu zadałam mu najgłupsze pytanie na świecie. Zadałam je, bo naprawdę chciałam poznać odpowiedź. – A ty o czym myślisz?

– O tym, że to zbyt piękne, by było prawdziwe.

– Co?

– Ty.

– Hm. – Po chwili przerwy dodałam: – Nikt nigdy nie mówi, że coś jest zbyt straszne, żeby było prawdziwe.

– Wiem, że widziałaś zdjęcie. To z nocnej kamery. – Nie odpowiedziałam, więc mówił dalej. – To o nie ci chodziło, gdy mówiłaś o informacji dla policji. Zaproponowali ci nagrodę?

– Nie jestem tu dla…

– Skąd możesz to wiedzieć? Skąd ja mogę to wiedzieć? Skąd mam wiedzieć, czy ktokolwiek… Dałaś je glinom?

– Nie. Nie zrobimy tego. Daisy chce, ale ja jej nie pozwolę. Przyrzekam.

– Nie mogę być pewien. Staram się o tym nie pamiętać, ale wiem, że nie mogę.

– Nie chcę nagrody – powtórzyłam, choć nie miałam pewności, czy to prawda.

– Odsłanianie swoich słabości to proszenie się o przykrość.

– To dotyczy każdego – zauważyłam. – Poza tym to zdjęcie nie jest żadnym ważnym dowodem. Nie wynika z niego, gdzie on jest.

– Daje im ramy czasowe i przestrzenne. Masz jednak rację: nie znajdą go. Ale będą mnie pytać, dlaczego nie pokazałem im zdjęcia. I nigdy mi nie uwierzą, bo nie mam dobrego powodu. Moim powodem jest to, że nie chcę słuchać w szkole docinków na temat procesu mojego ojca. Nie chcę, żeby Noah musiał ich słuchać. Chcę… żeby wszystko było jak dotąd. A jego zniknięcie nie zmienia tyle, ile zmieniłoby jego aresztowanie. Prawda jest taka, że nie powiedział mi o swoich planach. Gdyby jednak to zrobił, nie powstrzymałbym go.

– Jeśli nawet dałybyśmy policji to zdjęcie, nie aresztowaliby go. Nie z powodu fotografii.

Nagle Davis wstał i ruszył przez pole golfowe.

– Ten problem jest do rozwiązania – powiedział do siebie.

Ruszyłam za nim ścieżką wiodącą do domku gościnnego. Weszliśmy do środka. Całe wnętrze było wyłożone drewnem, aż po wysokie sufity. Na ścianach wisiało mnóstwo zwierzęcych łbów. Pękata sofa w kratkę i takie same fotele tworzyły półkole zwrócone w stronę wielkiego kominka.

Davis podszedł do barku, otworzył go, wyjął pudełko cheeriosów miodowo-orzechowych i zaczął nim potrząsać. Do zlewu wypadło kilka chrupek, a po nich moim oczom ukazał się plik banknotów owiniętych paskiem papieru. Podeszłam do niego i zobaczyłam

na pasku napis „10 000 $”, ale nie wzięłam go na poważnie, bo plik był niewielki. Nie mógł mieć więcej niż siedem centymetrów grubości. Po chwili z pudełka wypadł kolejny plik. I jeszcze jeden. Następnie Davis sięgnął po karton chrupek pszenicznych i powtórzył proces.

– C…co ty robisz?

Chwycił trzecie pudełko.

– Ojciec chowa je wszędzie – powiedział. – Te pliki. Niedawno znalazłem jeden we wnętrzu kanapy w salonie. Chomikuje forsę tak, jak alkoholicy chomikują butelki z wódką. – Otrzepał pliki studolarówek z pyłku po płatkach, położył obok zlewu jeden na drugim, a potem chwycił. Mieściły się w jednej ręce.

– Sto tysięcy – powiedział i wyciągnął banknoty w moją stronę.

– Nie żartuj, Davis. Nie mogę…

– Azo, gliny znalazły podczas rewizji jakieś dwa miliony, a jestem pewien, że to nie była nawet połowa. Natykam się na te pliki dosłownie wszędzie, rozumiesz? Nie chcę gadać jak jakiś buc, ale dla mojego ojca taka suma jest niezauważalna. Oto nagroda za n i e p o k a z a n i e zdjęcia policji. Zadzwoni do ciebie nasz prawnik, Simon Morris. Jest miły, tylko trochę nadęty.

– Ja cię nie…

– Ale ja nie mogę być tego pewien – przerwał mi. – Proszę tylko… Jeśli nadal będziesz do mnie dzwonić, esemesować czy coś, będę wiedział, że nie chodziło o nagrodę. I ty też będziesz to wiedziała. A zawsze miło jest wiedzieć coś takiego.

Podszedł do szafki, otworzył ją, włożył pieniądze do dużej niebieskiej torby i wyciągnął ją w moją stronę.

Z tymi wilgotnymi brązowymi oczami, strachem i zmęczeniem na twarzy wyglądał jak dzieciak. Jak dzieciak budzący się z koszmaru.

Wzięłam od niego torbę.

– Zadzwonię – powiedziałam.

– Zobaczymy.

*

Spokojnie wyszłam z domku, po czym pognałam przez pole golfowe, minęłam kompleks basenów, wbiegłam do rezydencji, popędziłam po schodach na górę i szłam długim korytarzem, aż usłyszałam zza zamkniętych drzwi głos Daisy. Otworzyłam drzwi. Daisy i Mychal całowali się na wielkim łożu z baldachimem.

Chrząknęłam.

– Jesteśmy zajęci! – skarciła mnie Daisy.

Zamykałam drzwi dostatecznie wolno, by zdążyć powiedzieć:

– Przypominam tylko, że to nie wasz dom.

Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Wróciłam na dół.

Noah siedział na kanapie i gapił się w telewizor. Kiedy do niego podeszłam, zauważyłam, że ma na sobie dziecięcą piżamę z Kapitanem Ameryką, niepasującą do trzynastolatka. Na kolanach trzymał miseczkę z czymś, co wyglądało na suche płatki Lucky Charms. Chwycił garść i wepchnął sobie do ust.

– Co tam? – mruknął, żując płatki. Tłuste włosy przyklejały mu się do czoła, a przy bliższym wejrzeniu jego twarz wydawała się tak blada, że niemal przezroczysta.

– Dobrze się czujesz, Noah?

– Zajedwabiście – odparł. Przełknął płatki. – Znalazłaś coś?

– Niby co?

– Na temat taty – wyjaśnił. – Davis mówił, że węszysz za nagrodą. Udało się coś znaleźć?

– Nie za bardzo.

– Mogę ci coś wysłać? Ściągnąłem z iClouda wszystkie notatki, które tata miał w telefonie. Może tam będzie jakaś podpowiedź? Ostatni wpis, jaki zrobił, to „usta biegacza”. Mówi ci to coś?

– Nie sądzę. – Podałam mu swój numer, żeby mógł mi przesłać notatki, i obiecałam, że do nich zajrzę.

– Dzięki – powiedział. I niemal płaczliwie dodał: – Davis uważa, że lepiej dla nas, żeby go nie znaleźli. Że jeśli trafi do więzienia, wszystko się posypie.

– A ty co sądzisz?

Przez chwilę patrzył na mnie bez słowa.

– Chcę, żeby wrócił do domu.

Usiadłam na kanapie obok niego.

– Na pewno w końcu się zjawi.

Czułam, że przesuwa się w moją stronę, aż jego ramię znalazło się przy moim. Nie przepadałam za dotykiem obcych, zwłaszcza takich, którzy prawdopodobnie od dawna się nie myli. Mimo to powiedziałam:

– Strach to normalna rzecz, Noah. – A wtedy on odwrócił twarz i zaczął płakać. – Wszystko będzie dobrze – skłamałam. – Zobaczysz. Twój tata wróci.

– Nie umiem normalnie myśleć – wyznał zdławionym głosem. – Od jego zniknięcia w ogóle nie umiem myśleć.

Znałam to uczucie. Przez całe życie nie potrafiłam normalnie myśleć, bo moje myśli nie były liniami prostymi, tylko poplątanymi węzłami, ruchomymi piaskami, połykającymi światło czarnymi dziurami.

– Wszystko będzie dobrze – skłamałam znowu. – Pewnie tylko musisz trochę odpocząć.

Nie wiedziałam, co jeszcze dodać. On był taki młody i taki samotny.

– Dasz mi znać? Jeśli dowiesz się czegoś o tacie?

– Jasne.

Po chwili wyprostował się i otarł twarz rękawem. Zasugerowałam mu, że powinien się trochę przespać. Dochodziła północ.

Noah odłożył płatki na stolik do kawy, wstał i bez pożegnania poszedł na górę.

Nie wiedziałam, gdzie się podziać, a trzymanie w ręce torby z taką ilością forsy trochę mnie przerażało. W końcu po prostu wyszłam. Spojrzałam w niebo i ruszyłam w stronę Harolda, myśląc o gwiazdach Kasjopei, położonych o wieki świetlne ode mnie i od siebie nawzajem.

Wychodząc, potrząsnęłam lekko torbą. Ważyła tyle co nic.

10

Następnego ranka jeszcze z łóżka posłałam SMS do Daisy.

Mam megawieści zadzwoń jak będziesz mogła

Zadzwoniła natychmiast.

– Cześć – powiedziałam.

– Wiem, że on jest wielkim niemowlęciem – zaczęła bez wstępów – ale przy bliższym poznaniu okazuje się naprawdę niezły. Uroczy, bardzo otwarty seksualnie i wyluzowany. Tylko nie myśl, że to robiliśmy.

– Winszuję. No więc wczoraj…

– I chyba naprawdę mu się podobam! Zazwyczaj faceci trochę się mnie boją, ale on nie. Kiedy cię obejmuje, to naprawdę czujesz się obejmowana, wiesz, o co mi chodzi? I dzisiaj już do mnie dzwonił, czego bynajmniej nie uznałam za niepokojącą nachalność. Wręcz przeciwnie, było mi bardzo miło. Tylko błagam, nie myśl, że jestem z tych, które zapominają o najlepszych kumpelach, gdy się zakochają. O Jezu, właśnie powiedziałam, że się zakochałam! Nie minęły dwadzieścia cztery godziny, odkąd z nim jestem, a już rzucam takimi słowami! Co się ze mną dzieje? Dlaczego ten chłopak, którego znam od ósmej klasy, nagle stał się taki wyjątkowy?

– Bo czytasz za dużo romantycznych fanfików?

– W tym wypadku „za dużo” nie istnieje. Jak tam Davis? – zapytała.

– O tym właśnie chciałam pogadać. Możemy się gdzieś spotkać? Wolałabym ci to pokazać. – Chciałam zobaczyć jej minę na widok pieniędzy.

– Niestety umówiłam się już na śniadanie.

– Myślałam, że nie zapominasz o kumpelach?

– Nie zapominam! – zarzekała się. – Umówiłam się z niejakim Chuckiem E. Cheese'em. Przykro mi. Czy to może zaczekać do poniedziałku?

– Niespecjalnie – odparłam.

– Dobra. Kończę o osiemnastej. Applebee's. Możliwe jednak, że będę musiała robić dwie rzeczy naraz, bo próbuję skończyć opowiadanie… OK, nie bierz tego do siebie, ale on dzwoni, muszę kończyć, uściski, nara!

Odkładając komórkę, zauważyłam w drzwiach sylwetkę mamy.

– Na świętego Rodzica Stróża, mamo!

– Jak randka z tym chłopakiem?

– Z którym? Jest ich tylu. Muszę prowadzić arkusz kalkulacyjny, żeby się nie pogubić.

*

By zabić trochę czasu, przejrzałam przysłane przez Noaha pliki z zawartością notatek jego ojca. Była to długa lista pozornie przypadkowych zapisków, począwszy od tytułów książek po cytaty.

Z czasem rynki będą chciały się uwolnić.
Wartość doświadczenia.
Piętro piąte, klatka pierwsza
Hańba – Coetzee

Strona po stronie przeglądałam te krótkie notki nieczytelne dla nikogo z wyjątkiem ich autora. Moją uwagę przykuły dopiero cztery ostatnie:

Malediwy Kosowo Kambodża
Nie mów nikomu, co się dzieje w domu
Chyba że jesteś gotów odgryźć sobie nogę
Usta biegacza

Nie miałam pojęcia, kiedy robił te zapiski ani czy wszystkie powstały jednocześnie, ale wydawały się powiązane. Szybkie

wyszukiwanie zdradziło mi, że Malediwy, Kosowo ani Kambodża nie mają umowy o ekstradycji ze Stanami Zjednoczonymi, co oznaczało, że Pickett mógł się tam schronić przed amerykańskim prawem. *Nie mów nikomu, co się dzieje w domu* okazało się tytułem wspomnień kobiety, której ojciec ukrywał się przed wymiarem sprawiedliwości. Pierwszym wynikiem w wyszukiwarce dla „chyba że jesteś gotów odgryźć sobie nogę" był artykuł pod tytułem *Ucieczki białych kołnierzyków*, a zacytowany fragment odnosił się do tego, jak trudno jest sfingować własną śmierć.

„Usta biegacza" brzmiały bezsensownie, a wyszukiwarka nie pokazała nic z wyjątkiem ludzi truchtających z otwartymi ustami. Ale przecież wszyscy robimy dziwaczne zapiski, które rozumiemy tylko my sami. O to chodzi w zapiskach. Może Pickett zobaczył jakiegoś biegacza i coś go zaciekawiło w jego ustach. Było mi przykro, że zawiodę Noaha, ale ostatecznie się poddałam.

*

Harold dowiózł mnie do Applebee's pół godziny przed czasem. Z jakiegoś powodu bałam się wysiąść z auta, ale kiedy spuściło się środkową część tylnego fotela, można było sięgnąć prosto do bagażnika. Przeczołgałam się więc na tyły i macałam tak długo, aż znalazłam torbę z forsą, komórkę taty i samochodową ładowarkę do niej.

Wepchnęłam torbę pod fotel pasażera, podłączyłam telefon i czekałam, aż ekran się zaświeci.

Wiele lat temu mama zrzuciła wszystkie zdjęcia i mejle taty do komputera i na kilka różnych dysków, ale ja i tak lubiłam przeglądać je na jego telefonie – częściowo dlatego, że kiedyś tak robiłam, a przede wszystkim dlatego, że było czymś magicznym móc trzymać w ręku jego telefon, który wciąż funkcjonował osiem lat po tym, jak przestało funkcjonować ciało taty.

Ekran zabłysnął i załadował tapetę – zdjęcie moje i mamy w parku Juana Solomona. Miałam siedem lat i siedziałam na huśtawce, przechylona tak mocno do tyłu, że moja twarz była odwrócona górą do dołu. Mama zawsze mówiła, że pamiętam

zdjęcia, a nie to, co naprawdę się działo, gdy je robiono, ale mimo wszystko miałam wrażenie, że pamiętam tamten dzień: rękę huśtającego mnie taty, wielką jak moje plecy, i pewność, że huśtawka oddala mnie od niego tylko po to, by za chwilę znów nas zbliżyć.

Weszłam do galerii zdjęć. Większość była jego autorstwa, więc sam pojawiał się na nich rzadko. Zamiast tego pokazywały coś, co zobaczył i co go zaciekawiło, czyli głównie mnie, mamę i niebo poszatkowane przez gałęzie.

Przesuwałam zdjęcia w prawo i patrzyłam, jak stajemy się coraz młodsi. Tu mama jedzie na maleńkim trójkołowcu z maleńką mną na ramionach, tam ja jem śniadanie z buzią upapraną cukrem cynamonowym. Jedynymi zdjęciami, na których pojawiał się tata, były selfie, ale w tamtych czasach telefony nie miały kamerek skierowanych do przodu, więc musiał kadrować na oślep. Zdjęcia były krzywe, części naszych postaci wychodziły z kadru, ale przynajmniej ja zawsze byłam widoczna – na ogół wtulona w mamę. Typowa córeczka mamusi.

Mama wyglądała tak młodo: gładka skóra, szczupła twarz. Tata często robił serie pięciu lub sześciu fotek w nadziei, że jedna wyjdzie tak, jak powinna, więc kiedy przewijało się je jako animację, uśmiech mamy stawał się coraz szerszy, a sześcioletnia ja obracałam się to tu, to tam. Tylko twarz taty zawsze pozostawała taka sama.

Kiedy upadł, w jego słuchawkach wciąż grała muzyka. To akurat pamiętam. Słuchał jakiejś starej soulowej piosenki. Jego ciało leżało na boku, a ze słuchawek dobiegał ten utwór. Kosiarka się zatrzymała, a tata po prostu sobie leżał niedaleko jedynego drzewa w naszym ogródku. Mama kazała mi zadzwonić na pogotowie. Zadzwoniłam i powiedziałam dyspozytorce, że mój tata się przewrócił. Zapytała, czy oddycha, więc zapytałam o to mamę, a ona powiedziała, że nie, i przez cały ten czas ta soulowa piosenka jak gdyby nigdy nic wyła ze słuchawek.

Mama prowadziła reanimację do przyjazdu karetki. Tata od początku nie żył, ale skąd mogłyśmy to wiedzieć? Nie miałyśmy pewności, póki jakiś lekarz nie otworzył drzwi pozbawionej okien „sali rodzinnej” w szpitalu i nie zapytał: „Czy pani mąż chorował

na serce?”.

W czasie przeszłym.

Moje ulubione zdjęcia taty to te, na których jest nieostry – bo w rzeczywistości ludzie tacy właśnie są. Wybrałam więc jedno, które zrobił sobie z kolegą na meczu pacersów. Za ich zamazanymi twarzami widać było boisko do kosza.

A potem z nim rozmawiałam. Powiedziałam, że przypadkiem zdobyłam kupę forsy, że spróbuję ją wykorzystać jak najlepiej. I że za nim tęsknię.

*

Zdążyłam schować telefon i ładowarkę, nim zobaczyłam Daisy idącą w kierunku Applebee’s. Zawołałam ją przez otwarte okno Harolda. Podeszła i usiadła w fotelu pasażera.

– Podrzucisz mnie potem do chaty? Tata zawozi Elenę na zajęcia z matmy.

– Jasne. Słuchaj, pod twoim siedzeniem jest torba – powiedziałam. – Wyjmij ją. Tylko nie spanikuj.

Sięgnęła, wyjęła torbę i zajrzała do środka.

– O kurwa – wyszeptała. – Na litość boską, Holmesy, co to jest? Czy ja mam zwidy? – Nigdy nie widziałam jej płaczącej, ale wtedy rozszlochała się jak dziecko.

– Davis powiedział, że woli sam wypłacić nam nagrodę, żebyśmy przestały węszyć.

– To prawdziwa forsa?

– Na to wygląda. Mówił, że jego prawnik jutro do mnie zadzwoni.

– Holmes, to jest… to jest sto tysięcy dolarów?

– Tak. Po pięćdziesiąt dla każdej. Myślisz, że możemy je zatrzymać?

– Co za pytanie! Musimy!

Powiedziałam jej, że zdaniem Davisa dla jego ojca taka kwota jest niezauważalna, ale wciąż się martwię, że to mogą być brudne pieniądze albo że wykorzystuję Davisa, albo…

Uciszyła mnie.

– Holmesy, cholernie dawno wyrosłam z przekonania, że

rezygnowanie z forsy jest szlachetne.

– Ale… ale zdobyłyśmy tę forsę tylko dzięki temu, że kogoś znamy.

– Owszem. A Davis Pickett zdobył ją tylko dzięki temu, że zna kogoś innego. Konkretnie swego ojca. To nie jest nielegalne ani niemoralne. To wspaniałe!

Patrzyła przez przednią szybę. Zaczęło mżyć – był to jeden z tych pochmurnych dni w Indianie, kiedy niebo wydaje się wisieć bardzo nisko nad ziemią.

Na Ditch Road światło na sygnalizatorze zmieniło się w żółte, a następnie w czerwone.

– Pójdę na studia – powiedziała Daisy. – I to nie na wieczorowe.

– To ci nie wystarczy na studia.

Uśmiechnęła się.

– Dzięki za tę jakże radosną informację. Wiem, że nie wystarczy. Ale pięćdziesiąt kawałków znacznie ułatwi mi opłacenie studiów. – Obróciła się, chwyciła mnie za ramiona i potrząsnęła. – HOLMESIK. RADUJ SIĘ. JESTEŚMY BOGATE! – Wysupłała z jednego z plików banknot studolarowy i schowała do kieszeni. – Zjedzmy najlepszy posiłek, jaki Applebee’s ma w ofercie.

*

Przy naszym stałym stoliku Daisy wprawiła Holly w osłupienie, zamawiając dwa napoje gazowane.

– Do tego ostry burger po teksańsku? – zapytała kelnerka.

– Holly, jaki jest wasz najlepszy stek?

– Wszystkie są niedobre – odparła z jak zwykle kamienną twarzą Holly.

– W takim razie wezmę teksańskiego burgera, ale zaszaleję z przystawką. Krążki cebulowe. Wiem, że są za dopłatą.

Holly kiwnęła głową i przeniosła wzrok na mnie.

– Burger wegetariański – powiedziałam. – Bez sera, majonezu i…

– Znam twoje preferencje. Kupon?

– Nie dziś, Holly – odparła Daisy. – Nie dziś.

*

Większość wieczoru spędziłyśmy na snuciu wizji o tym, jak dokładnie będzie wyglądało odejście Daisy z Chuck E. Cheese's.

– Pójdę jutro do roboty, jak co dzień, a kiedy wyciągnę krótką słomkę i będę się musiała przebrać w strój Chuckiego, po prostu w nim wyjdę. Przejdę przez drzwi, wsiądę do swojego nowiutkiego auta, zawiozę Chucka do domu, każę go wypchać i powieszę sobie na ścianie jak trofeum myśliwskie.

– Dreszcz mnie przechodzi, gdy widzę te wszystkie głowy zabitych zwierzaków na ścianach – powiedziałam. – W domku gościnnym Davisa jest ich pełno.

– Nic nie mów – mruknęła Daisy. – Obściskiwałam się z Mychalem w cieniu wypchanej głowy łosia. Nawiasem mówiąc, dzięki za podglądanie nas wczoraj. Podobało się?

– Sorki. Zamierzałam ci powiedzieć, że jesteś bogata. – Roześmiała się i z niedowierzaniem potrząsnęła głową. – Na dole spotkałam Noaha, wiesz, młodszego brata. Zapytał, czy wiem coś o jego ojcu, i dał mi listę jego notatek. Patrz. – Pokazałam jej listę na telefonie. – Ostatni zapisek brzmiał: „usta biegacza". Mówi ci to coś? – Pokręciła wolno głową. – Żal mi go – dodałam. – Płakał i w ogóle.

– To nie twój problem – stwierdziła Daisy. – Naszym celem nie jest pomaganie osieroconym miliarderom, tylko wzbogacanie się. I idzie nam świetnie.

– Pięćdziesiąt tysięcy dolarów to nie jest bogactwo – zauważyłam. – To mniej niż połowa czesnego za studia na Indiana University – powiedziałam, mając na myśli państwową uczelnię położoną o kilka godzin jazdy na południe od nas, w Bloomington.

Daisy milczała długo, marszcząc czoło w zamyśleniu.

– Dobra – odezwała się w końcu. – Dokonałam pewnych obliczeń. Pięćdziesiąt tysięcy to mniej więcej pięć tysięcy dziewięćset godzin mojej pracy. Co oznacza siedemset ośmiogodzinnych zmian, o ile byłoby się w stanie przepracować pełną zmianę, a zwykle tak nie jest. Dwa lata pracy po osiem godzin dziennie przez siedem dni w tygodniu. Może dla ciebie to nie oznacza bogactwa, Holmesy, ale dla mnie tak.

– Zgoda – przyznałam.

– I to wszystko zmieściło się w pudełku po cheeriosach.

– Konkretnie rzecz biorąc, coś koło połowy było w kartoniku po chrupkach pszenicznych.

– Wiesz, dlaczego uważam cię za dobrą koleżankę, Holmesy? Dlatego, że w ogóle powiedziałaś mi o tej forsie. Mam nadzieję, że sama też podzieliłabym się z tobą po połowie, gdybym wygrała na loterii, ale szczerze mówiąc, nie w pełni sobie ufam w tej kwestii. – Odgryzła kęs burgera, przełknęła większość i kontynuowała: – A ten cały prawnik nie będzie próbował odzyskać forsy?

– Nie sądzę – powiedziałam.

– Powinnyśmy iść do banku i wpłacić to wszystko.

– Davis mówił, żeby zaczekać na telefon – mruknęłam.

– Ufasz mu?

– Tak. Naprawdę.

– Cholerka, Holmesy, obie się zabujałyśmy. Ja w artyście, a ty w miliarderze. W końcu prowadzimy życie młodych dam, na jakie zawsze zasługiwałyśmy.

Kolacja kosztowała nas niecałe trzydzieści dolców, ale zostawiłyśmy Holly dwudziestodolarowy napiwek za to, że z nami wytrzymuje.

11

Następnego ranka, gdy oglądałam filmiki na komórce, ktoś zadzwonił.

– Halo?

– Czy to Aza Holmes? – zapytał męski głos.

– Tak.

– Mówi Simon Morris. Jak rozumiem, jest pani znajomą Davisa Picketta.

– Chwileczkę – powiedziałam.

Włożyłam pierwsze z brzegu buty, przeszłam obok oglądającej telewizję i jednocześnie poprawiającej sprawdziany mamy i wyszłam. Usiadłam na końcu ogrodu twarzą do domu.

– Dzień dobry – powiedziałam.

– Jak rozumiem, otrzymała pani od Davisa prezent.

– Owszem – odparłam. – Podzieliłam się z koleżanką. Czy to w porządku?

– Nie interesuje mnie, jak pani zarządza swoimi finansami. Pani Holmes, ponieważ zwykle jest tak, że kiedy nastolatka przychodzi do banku z grubym stosem banknotów studolarowych, pracownicy stają się podejrzliwi, porozmawiałem z jedną z naszych bankierek z Drugiego Banku w Indianapolis, by przyjęli pani wpłatę. Umówiłem panią w poniedziałek o piętnastej piętnaście w filii na rogu Osiemdziesiątej Szóstej i College Avenue. Zdaje się, że kończy pani szkołę o czternastej pięćdziesiąt pięć, więc powinna pani zdążyć.

– Skąd pan wie…

– Jestem człowiekiem dokładnym.

– Czy mogę zadać panu pytanie?

– Właśnie to pani zrobiła – zauważył chłodno.

– A więc zajmuje się pan sprawami Pickettów pod nieobecność

głowy rodziny?

– W istocie.

– A jeśli pan Pickett się gdzieś pojawi…

– Wtedy radości i smutki jego życia znów będą należały do niego. Do tego czasu część z nich przeszła na mnie. Czy mogę prosić o doprecyzowanie pytania?

– Trochę się martwię o Noaha.

– „Martwię”?

– Mam wrażenie, że jest bardzo smutny i nie może liczyć na niczyją opiekę. Czy oni nie mają żadnej innej rodziny?

– Żadnej, z którą byliby w dobrych stosunkach. Sąd przyznał małoletniemu Davisowi pełną zdolność do czynności prawnych, więc to on jest opiekunem brata.

– Nie chodzi o opiekuna prawnego. Chodzi o kogoś, kto, no wie pan, naprawdę by się nim zajmował. Davis nie jest rodzicem. Nie zostaną chyba sami na zawsze, prawda? A jeśli się okaże, że ich ojciec nie żyje albo coś?

– Pani Holmes, śmierć prawna a śmierć biologiczna to dwie różne rzeczy. Mam nadzieję, że Russell żyje zarówno w sensie prawnym, jak i biologicznym, lecz w sensie prawnym żyje z całą pewnością, ponieważ prawo stanu Indiana uważa obywatela za żywego, dopóki nie ma dowodów na jego biologiczną śmierć lub nie minęło siedem lat, odkąd ostatni raz dał znak życia. Kwestie prawne zatem…

– Nie mam na myśli kwestii prawnych – powtórzyłam. – Chodzi mi o to, kto się nim zaopiekuje.

– Ja mogę odpowiadać jedynie od strony prawnej. A od strony prawnej odpowiedź jest taka, że ja zarządzam sprawami finansowymi, administratorka domu domowymi, a opiekunem prawnym jest Davis. Pani troska jest godna podziwu, lecz zapewniam, że od strony prawnej wszystko jest w porządku. Jutro o piętnastej piętnaście. Proszę się zgłosić do Josephine Jackson. Czy ma pani jakieś inne pytania dotyczące swojej sytuacji?

– Chyba nie – wyjąkałam.

– W razie czego proszę do mnie dzwonić. Wszystkiego dobrego, pani Holmes.

*

Następnego dnia po lekcjach wszystko faktycznie było dobrze, dopóki Daisy i ja nie wyruszyłyśmy w drogę do banku. Ja prowadziłam, a Daisy gadała o tym, że jej ostatni tekst stał się hitem wśród fanów *Gwiezdnych wojen* i wszyscy wysyłają jej gratulacje; o tym, że całą noc nie spała, bo pisała wypracowanie o *Szkarłatnej literze*; o tym, że skoro „przechodzi na emeryturę" w Chuck E. Cheese's, może w końcu się wyśpi… Nic mi nie dolegało. Czułam się jak zupełnie normalna osoba, która nie dzieli ciała z demonem wciskającym jej do głowy niechciane myśli. Doszłam wręcz do wniosku, że przez ostatni tydzień czułam się lepiej. *Może lekarstwo działa*, zastanawiałam się, i nagle nie wiadomo skąd pojawiła się myśl: *To lekarstwo cię uśpiło i zapomniałaś dzisiaj zmienić plaster.*

Byłam praktycznie pewna, że zmieniłam go zaraz po tym, jak wstałam i umyłam zęby, ale myśl nie ustępowała. *Chyba go nie zmieniłaś. Nosisz plaster sprzed dwóch dni.* Nie, do licha, to nie jest plaster sprzed dwóch dni, bo zmieniłam go wczoraj podczas lunchu. *Na pewno?* Tak sadzę. *Tak sądzisz?* Jestem o tym przekonana. *A rana jest otwarta.* To była prawda. Nie zdążyła się jeszcze zasklepić. *A ty zostawiłaś ten sam plaster przez jakichś, Jezu, trzydzieści siedem godzin, pozwalając jej się jątrzyć pod tym ciepłym, wilgotnym starym opatrunkiem.* Zerknęłam na plaster. Wyglądał na nowy. *Nie zmieniłaś.* Sądzę, że zmieniłam. *Jesteś pewna?* Nie, ale skoro nie sprawdzam tego co pięć minut, to zrobiłam postęp. *Taaa, postęp ku infekcji.* Zmienię w banku. *Pewnie i tak jest za późno.* Nie bądź śmieszna. *Kiedy zakażenie trafi do krwiobiegu…* Przestań, to bez sensu, nawet nie ma zaczerwienienia czy opuchlizny. *Dobrze wiesz, że nie musi być…* Proszę, przestań, zmienię plaster w banku… *DOSKONALE WIESZ, ŻE MAM RACJĘ.*

– Czy ja byłam przed lunchem w łazience? – zapytałam cicho Daisy.

– Nie wiem – odparła. – Hm, przyszłaś do stołówki po nas, więc pewnie tak.

– Ale nic o tym nie mówiłam?

– Nie, nie powiedziałaś: „Cześć wszystkim, właśnie wracam z kibla".

Czułam się rozdarta między chęcią zjechania na pobocze

i zmiany plastra a obawą, że Daisy uzna mnie za wariatkę. Powtarzałam sobie, że wszystko jest OK, że to jedynie usterka w moim mózgu, że myśli to tylko myśli, ale kiedy ponownie zerknęłam na plaster, zobaczyłam na nim plamę. To musiała być krew. Krew albo ropa.

Zjechałam na parking przy gabinecie optometrycznym, zdjęłam plaster i spojrzałam na ranę. Była zaczerwieniona na brzegach, a na plastrze widniała zaschnięta krew, jakby od dłuższego czasu nie był zmieniany.

– Holmesy, jestem pewna, że poszłaś do łazienki. Zawsze chodzisz.

– To już nieważne. Wdało się zakażenie – powiedziałam.

– Wcale nie.

– Widzisz to czerwone? – Wskazałam zaczerwienione brzegi rany. – To zakażenie. Mam poważny problem.

Rzadko pokazuję komuś swój palec bez plastra, ale chciałam, żeby zrozumiała. To nie było to samo co przedtem. Nie martwiłam się bez powodu. Zaschnięta krew nie jest normalna, nawet jeśli pęknięcie się odnowiło. Oznacza, że nie zmieniałam plastra stanowczo za długo. Sytuacja była poważna. Z drugiej strony, czy nie wydawało mi się tak za każdym razem? Nie, tym razem naprawdę było inaczej. Gołym okiem dostrzegałam zakażenie.

– Twój palec wygląda dokładnie tak samo jak zawsze wtedy, kiedy się o niego martwisz.

Wycisnęłam na ranę trochę środka dezynfekującego, poczułam silny, piekący ból, rozpakowałam nowy plaster i owinęłam nim palec. Przez chwilę siedziałam zawstydzona, myśląc, że chciałabym być teraz sama. A jednocześnie byłam przerażona. Nie mogłam zapomnieć o zaczerwienieniu i opuchliźnie, o reakcji skóry na atak pasożytniczych bakterii. Nienawidziłam siebie. Nienawidziłam tego wszystkiego.

– Hej – odezwała się Daisy i położyła mi dłoń na kolanie. – Nie pozwalaj Azie być okrutną dla Holmesika, dobra?

Teraz było inaczej. Szczypanie płynu odkażającego ustąpiło, co oznaczało, że bakterie znów zaczęły się rozmnażać. Po cholerę w ogóle rozdrapywałam tę ranę? Dlaczego nie mogłam zostawić jej w spokoju? Dlaczego musiałam ciągle się ranić, i to w palec? Dłonie

to najbrudniejsze części ciała. Nie mogłam szczypać się w płatek ucha, w brzuch albo w kostkę? Prawdopodobnie właśnie się zabiłam z powodu głupiego dziecięcego rytuału, który nie dowodził nawet tego, czego próbowałam dowieść – bo to, co chciałam wiedzieć, było nieodgadnione – bo nie dało się uzyskać pewności w ż a d n e j sprawie.

Będzie lepiej, jeśli jeszcze raz odkazisz. A najlepiej parę razy.

Była piętnasta dwanaście. Musiałyśmy jechać do banku. Zdjęłam plaster, odkaziłam ranę i ponownie go założyłam. Była piętnasta trzynaście.

– Chcesz, żebym ja prowadziła? – zapytała Daisy.

Pokręciłam głową. Uruchomiłam Harolda. Wrzuciłam bieg wsteczny. A potem znów tryb parkowania.

Zdjęłam plaster, wycisnęłam trochę płynu do odkażania. Tym razem mniej szczypało. Może większość bakterii została zabita, a może znajdowały się już zbyt głęboko. Przeniknęły przez skórę do krwiobiegu. N*a wszelki wypadek sprawdź jeszcze raz. Czy opuchlizna się zmniejszyła?* Minęło dopiero osiem minut. Za wcześnie, by coś zauważyć. Stop, jest piętnasta piętnaście.

– Holmes – mruknęła Daisy. – Jest piętnaście po. Musimy jechać. Ja mogę prowadzić.

Znów pokręciłam głową, wrzuciłam wsteczny i tym razem udało mi się ruszyć.

– Chciałabym to zrozumieć – powiedziała mi Daisy. – Powinnam cię pocieszać czy martwić się razem z tobą? Czy jest cokolwiek, co sprawiłoby, że poczujesz się lepiej?

– Mam zakażenie – szepnęłam – i sama sobie to zrobiłam. Jak zawsze. Otworzyłam starą ranę i teraz mam za swoje. – Byłam rybą zarażoną przez pasożyta, która pływa blisko powierzchni, by zostać zjedzona.

*

Gdy w końcu dojechałyśmy do banku, stanęłam za plecami Daisy, a ona przedstawiła się kasjerce, która zaprowadziła nas do oszklonego boksu na tyłach. Chuda kobieta w czarnym kostiumie

włożyła nasze pieniądze do maszyny liczącej. Wypełniłyśmy stosik formularzy, po czym założono nam nowiutkie konta powiązane z kartami debetowymi, które miały przyjść pocztą za siedem do dziesięciu dni. Kobieta dała nam pięć tymczasowych czeków, których mogłyśmy używać do czasu nadejścia prawdziwych, i przestrzegła przed robieniem dużych zakupów przez co najmniej sześć najbliższych miesięcy, „dopóki nie nauczymy się żyć z taką sumą". Potem zaczęła mówić o tym, jak możemy ulokować pieniądze – o rachunkach oszczędnościowych przeznaczonych na studia, funduszach powierniczych, obligacjach, akcjach – a ja usilnie starałam się jej słuchać, ale w rzeczywistości mnie tam nie było. Byłam w swojej głowie i nacierająca fala myśli wrzeszczała na mnie, że nie zmieniając plastra przez ponad dobę, przypieczętowałam swój los, że już za późno, że gorąco i pieczenie koniuszka palca, które teraz czuję, oznacza, że to wszystko dzieje się naprawdę, bo zmysły nie kłamią. A może? TO się dzieje – myślałam, bo nie odważyłam się nadać nazwy temu przerażającemu i wszechogarniającemu czemuś.

*

W drodze na osiedle Daisy co rusz zapominałam, dlaczego stoję na światłach, więc popuszczałam hamulec Harolda, podnosiłam głowę i dopiero zauważałam: ojej, czerwone.

Wiele się słyszy o korzyściach płynących z szaleństwa. Na przykład doktor Singh przytoczyła mi kiedyś cytat z Poego: „Nikt jeszcze nie rozstrzygnął, czy obłęd jest, czy nie jest najwznioślejszą inteligencją"[6]. Pewnie chciała poprawić mi nastrój, ale w moim odczuciu zaburzenia psychiczne są zdecydowanie przereklamowane. Z moich – jakkolwiek ograniczonych – doświadczeń wynika, że szaleństwu nie towarzyszą żadne supermoce. Problemy umysłowe dodają mniej więcej tyle wzniosłej inteligencji co grypa. Inaczej byłabym błyskotliwym detektywem albo kimś w tym stylu, a tymczasem mogłam się zaliczyć do najmniej spostrzegawczych osób, jakie w życiu spotkałam. W drodze do domu Daisy, a potem do własnego, nie byłam

świadoma absolutnie niczego poza samą sobą.

Gdy tylko dotarłam do domu, poszłam do łazienki i obejrzałam skaleczenie. Opuchlizna wydawała się mniejsza. Ale kto wie, może po prostu światło w łazience było za słabe. Oczyściłam ranę wodą z mydłem, osuszyłam, odkaziłam płynem i przykleiłam nowy plaster. Wzięłam też swoje zwykłe lekarstwo, a kilka minut później podłużną tabletkę, którą miałam zażywać w chwilach paniki.

Trzymałam ją na języku, aż roztopiła się w płynną słodycz, po czym czekałam, aż zadziała. Byłam przekonana, że coś mnie zabije, i oczywiście miałam rację: każdego w końcu coś zabije i nigdy nie wiadomo, kiedy to nastąpi.

Po chwili moja głowa zrobiła się ciężka. Usiadłam na kanapie przed telewizorem, ale nie miałam siły go włączyć, więc siedziałam wpatrzona w pusty ekran.

Podłużna tabletka wywoływała we mnie wyjątkową senność, ale tylko od mostka nosa w górę. Reszta ciała wydawała się taka jak zawsze, niezborna i niewystarczająca pod tymi co zwykle względami, a mózg był zwiotczały i wyczerpany jak nogi biegacza po maratonie.

Mama wróciła do domu i klapnęła obok mnie.

– Ciężki dzień – mruknęła. – Lubię uczniów, ale ich rodzice czasem utrudniają mi pracę.

– Przykro mi – powiedziałam.

– A co u ciebie?

– W porządku. Nie mam gorączki, prawda?

Przytknęła grzbiet dłoni do mojego czoła.

– Chyba nie. Źle się czujesz?

– Pewnie po prostu jestem zmęczona.

Mama włączyła telewizor. Powiedziałam jej, że położę się i pouczę.

*

Przez chwilę próbowałam wkuwać historię, ale moja świadomość zachowywała się jak kamera z brudnym obiektywem, więc odłożyłam książkę i napisałam do Davisa.

Ja: Cześć.

On: Cześć.

Ja: Co u ciebie?

On: OK, a u ciebie?

Ja: OK.

On: Przenieśmy to niezręczne milczenie do realu.

Ja: Kiedy?

On: W czwartkową noc jest deszcz meteorów. Jeśli niebo będzie czyste, powinniśmy je zobaczyć.

Ja: Brzmi super. To do czwartku. Muszę spadać, mama przyszła.

Rzeczywiście zajrzała przez uchylone drzwi.
– Co tam? – zapytałam.
– Zrobimy razem kolację?
– Muszę się uczyć.
Weszła i przysiadła na skraju łóżka.
– Boisz się?
– Trochę.
– Czego?
– Złe pytanie. To zdanie nie ma dopełnienia. Po prostu się boję.
– Nie wiem, co powiedzieć, Azo. Widzę na twojej twarzy ból i chciałabym cię od niego uwolnić.
Nienawidziłam jej ranić. Nienawidziłam, kiedy przeze mnie czuła się bezradna.
Pogłaskała mnie po głowie.
– Wszystko w porządku – powiedziała. – Wszystko w porządku. Jestem tu. Nigdzie się nie wybieram. – Dalej mnie głaskała, a ja czułam, jak moje ciało się napina. – Może wystarczy dobrze się

wyspać – okłamała mnie w końcu, tak jak ja okłamałam Noaha.

---

6 Edgar Allan Poe, *Eleonora*, przeł. Stanisław Wyrzykowski.

12

W dzień poprzedzający deszcz meteorów zajechałam rano pod szkołę i zobaczyłam, że na miejscu Harolda stoi jaskrawopomarańczowy volkswagen garbus z Daisy za kierownicą. Opuściłam szybę.

– Czy pani Josephine przypadkiem nie mówiła, żebyśmy przez pół roku nic nie kupowały?

– Wiem, wiem – odparła. – Ale stargowałam go z dziesięciu tysięcy na osiem czterysta, więc w pewnym sensie wręcz zaoszczędziłam. Wiesz, jak nazywa się ten kolor? „Żwawy pomarańcz". Serio jest żwawy, nie?

– Nie szastaj forsą, dobra?

– Bez obaw, Holmesy. To auto z czasem tylko zyska na wartości. Liam będzie w przyszłości cennym kąskiem dla kolekcjonerów. Bo nazwałam go Liam, wiesz?

Uśmiechnęłam się. To był nasz prywatny żarcik, którego nikt inny by nie zrozumiał.

W drodze do budynku szkolnego Daisy podała mi grubą księgę zatytułowaną *Przewodnik po uczelniach.*

– Przy okazji kupiłam to, ale raczej nie będzie mi potrzebne, bo na bank idę na Indiana University. Zawsze wiedziałam, że studia są drogie, ale niektóre z tych szkół kasują prawie sto tysięcy rocznie. Niby co ci ludzie tam robią? Mają zajęcia na jachtach? Śpią w zamku i są obsługiwani przez skrzaty? Nawet Bogata Ja nie mogę sobie pozwolić na ekskluzywny college.

„Zwłaszcza jeśli przepuszczasz forsę na samochody", pomyślałam, ale zamiast powiedzieć to głośno, wróciłam do tematu Picketta.

– Masz jakiś pomysł, co mogą oznaczać „usta biegacza"?

– Holmesy – skarciła mnie. – Dostałyśmy nagrodę. Koniec

śledztwa.

– Niby tak – mruknęłam. Nim zdążyłam coś dodać, Daisy zobaczyła Mychala i pobiegła, by rzucić mu się w ramiona.

*

Przez cały ranek pochłaniałam przewodnik po uczelniach. Od czasu do czasu dzwonił dzwonek, a ja przenosiłam się do innej sali, siadałam w innej ławce i wracałam do trzymanego na kolanach tomu. Nigdy dotąd nie rozważałam studiowania gdzie indziej niż na Indiana University lub Purdue – mama studiowała na Indianie, a tata na Purdue – które wypadały tanio w porównaniu ze studiami w innych stanach.

Jednak gdy czytałam o setkach uczelni ocenionych pod każdym możliwym względem, od poziomu nauczania po jakość jedzenia w stołówce, wyobraźnia podsuwała mi obraz siebie w dwustuletnich gmachach jakiegoś małego college'u na wzgórzu, położonego na odludziu. Czytałam na przykład o szkole, w której można było siedzieć w czytelni w tych samych ławach, w których niegdyś uczyła się Alice Walker. Miałam świadomość, że pięćdziesiąt tysięcy to drobny ułamek czesnego, ale może udałoby mi się zdobyć stypendium? Miałam dobre stopnie i świetnie radziłam sobie w testach.

Puściłam wodze fantazji: widziałam siebie uczęszczającą na zajęcia z geografii politycznej i twórczości dziewiętnastowiecznych brytyjskich pisarek, w niewielkich salkach, gdzie wszyscy siedzą w kręgu. Słyszałam skrzypienie wysypanych żwirem ścieżek pod stopami w drodze do czytelni, w której uczyłam się z przyjaciółmi, a potem, jak przed obiadem w stołówce oferującej wszystko od płatków śniadaniowych po sushi, w uczelnianej kafejce dyskutujemy o filozofii, systemach władzy czy innych rzeczach, o których dyskutuje się na studiach.

Świetnie się bawiłam, rozważając możliwości – wschodnie czy zachodnie wybrzeże? Miasto czy prowincja? Czułam, że mogę trafić wszędzie, a wyobrażanie sobie wszystkich możliwych przyszłości, wszystkich Az, którymi mogłabym się stać, było cudownym

i przyjemnym wytchnieniem od życia z Azą, którą byłam obecnie.

Prawdziwą przerwę od czytania zrobiłam sobie dopiero podczas lunchu. Naprzeciwko mnie siedział Mychal, pracujący nad nowym projektem artystycznym, polegającym na pieczołowitym przenoszeniu wykresów falowych jakiejś piosenki na warstwę cienkiego przezroczystego papieru, a Daisy raczyła cały stół opowieścią o zakupie swojego samochodu, nie ujawniając ani słowem, skąd wzięła fundusze. Zjadłam kilka kęsów kanapki, po czym wyjęłam komórkę i napisałam do Davisa.

O której jutro?

On: Zapowiadają zachmurzenie, więc raczej nie zobaczymy meteorów.

Ja: Meteory nie są u mnie na pierwszym miejscu.

On: To może po szkole?

Ja: Uczę się z Daisy.

On: A o siódmej?

Ja: OK.

Po lekcjach zamknęłam się z Daisy w swoim pokoju, żeby się pouczyć przez parę godzin.

– Minęły dopiero trzy dni, odkąd odeszłam z Chuck E. Cheese's, ale już jestem w szoku, o ile łatwiejsza stała się nauka – zauważyła moja przyjaciółka, rozpakowując plecak.

Wyjęła nowiutki laptop i położyła go na moim biurku.

– Jezu, nie wydawaj wszystkiego naraz! – powiedziałam cicho, żeby mama nie usłyszała. Daisy spojrzała na mnie wymownie. – No co?

– Ty już miałaś samochód i komputer – wytknęła mi.

– Ja tylko mówię, żebyś nie wydała wszystkiego.

Przewróciła oczami. Raz jeszcze zapytałam „No co?", ale ona

zniknęła już w odmętach Internetu. Widziałam z łóżka ekran: przeglądała komentarze pod swoimi opowiadaniami. Ja próbowałam czytać na historię jeden z esejów Alexandra Hamiltona z *Federalisty*. Mieliłam słowa, ale ich nie rozumiałam, więc w nieskończoność wracałam do tego samego akapitu.

Daisy milczała przez kilka minut.

– Naprawdę próbuję cię nie oceniać, Holmesy – powiedziała w końcu – więc doprowadza mnie do lekkiego szału, kiedy ty oceniasz mnie.

– Ja cię nie…

– Wiem, że uważasz się za biedną i tak dalej, ale gówno wiesz o prawdziwej biedzie.

– Dobra, nie będę poruszać tego tematu – zgodziłam się.

– Jesteś tak skupiona na sobie – kontynuowała mimo to – że nawet bym się zdziwiła, gdybyś potrafiła myśleć o kimś innym. – Czułam, że robię się coraz mniejsza. – Wybacz, nie powinnam tego mówić. – Nie odpowiedziałam, więc nawijała dalej: – Nie twierdzę, że jesteś złą koleżanką czy coś w tym stylu. Ale masz pewne problemy i te problemy czasami odbijają się na wszystkich dookoła.

– Przyjęłam do wiadomości – mruknęłam.

– Nie chcę wyjść na wredną – powiedziała.

– Nie wyszłaś.

– Ale rozumiesz, o co mi chodzi? – zapytała.

– Tak.

Uczyłyśmy się w milczeniu przez kolejną godzinę. W końcu Daisy stwierdziła, że musi iść do domu na kolację.

– Przepraszam – powiedziałyśmy obie jednocześnie, gdy wychodziła, i roześmiałyśmy się.

Zdążyłam prawie zapomnieć o naszej rozmowie, gdy o osiemnastej pięćdziesiąt dwie przyszedł SMS od Davisa.

On: Jestem przed waszym domem, mam wejść?

Ja: Nie nie nie nie nieee zaraz wyjdę.

Mama wyjmowała naczynia ze zmywarki.

– Idę na kolację – poinformowałam ją, po czym chwyciłam kurtkę

i zatrzasnęłam za sobą drzwi, nim zdążyła o coś zapytać.

– Cześć – odezwał się Davis, gdy wsiadałam do auta.

– Cześć – odparłam.

– Jadłaś kolację?

– Nie jestem zbyt głodna, ale jeśli chcesz, możemy coś kupić po drodze.

– Nie trzeba – rzekł. – W sumie to nie znoszę jedzenia. Zawsze miałem wrażliwy żołądek.

– To tak jak ja – powiedziałam i nagle rozdzwonił się mój telefon. – To mama. Nic nie mów. – Odebrałam połączenie. – Cześć.

– Powiedz kierowcy tego czarnego SUV-a, żeby zawrócił i mi się przedstawił.

– Mamo!

– Albo go poznam, albo koniec waszych spotkań.

– Poznałaś go. Gdy mieliśmy po jedenaście lat.

– Jestem twoją matką, a on twoim… nazwij to, jak chcesz… więc chcę z nim porozmawiać.

– Dobra – mruknęłam i się rozłączyłam. – Słuchaj – zwróciłam się do Davisa – jeśli nie masz nic przeciwko temu, mama prosi, żebyśmy wpadli do domu. Chce z tobą pogadać.

– W porządku.

Coś w jego głosie uświadomiło mi, że jego mama nie żyje. Dobrze pamiętałam, jak dziwnie zachowywali się wszyscy, gdy rozmawiali o swoich ojcach w mojej obecności. Jakby ciągle się bali, że mi przypominają o tym, że mój nie żyje. Myśleli, że jeśli nie będą o tym wspominać, to zapomnę?

*

Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jaki mały jest nasz dom, póki nie spojrzałam na niego oczami Davisa. Linoleum w kuchni podwijające się na brzegach, pęknięcia w ścianach, meble starsze ode mnie, niedopasowane regały.

Na tle tego wszystkiego Davis wydawał się wielki i nie na miejscu. Był pierwszym facetem, jaki odwiedził nas od niepamiętnych czasów. Miał góra metr osiemdziesiąt wzrostu, ale kiedy tu wszedł,

sufity wydały mi się niskie. Było mi wstyd z powodu zakurzonych starych książek i ścian, na których zamiast dzieł sztuki wisiały rodzinne fotografie. Wiedziałam, że to nie są powody do wstydu – ale i tak go czułam.

– Miło panią zobaczyć – powiedział Davis i wyciągnął rękę do mamy. Mama go przytuliła. Usiedliśmy razem przy naszym kuchennym stole, przy którym prawie nigdy nie siadywał nikt z wyjątkiem mamy i mnie. Miałam wrażenie, że się tam nie mieścimy.

– Jak się miewasz, Davis? – zapytała mama.

– Wszystko w porządku. Pewnie pani słyszała, że zostałem tak jakby sierotą, ale poza tym nic złego się nie dzieje. A co u pani?

– Kto się teraz tobą opiekuje? – wypytywała dalej.

– Cóż, tak naprawdę wszyscy i nikt. Mamy administratorkę domu i prawnika, który zajmuje się finansami.

– Chodzisz do Aspen Hall, prawda? – Zamknęłam oczy i telepatycznie błagałam mamę, żeby go nie atakowała. – Aza nie jest dziewczyną z tamtej strony rzeki.

– Mamo… – wtrąciłam.

– I wiem, że możesz mieć na poczekaniu cokolwiek, czego zapragniesz, więc może ci się wydawać, że świat należy do ciebie, ale chyba rozumiesz, że nie jesteś upoważniony do…

– Mamo! – interweniowałam znowu.

Rzuciłam Davisowi przepraszające spojrzenie, którego nie dostrzegł, bo wpatrywał się w mamę. Zaczął coś mówić i musiał przerwać, bo oczy zaszły mu łzami.

– Nic ci nie jest? – zapytała mama.

Znów próbował się odezwać, lecz z jego gardła wydobył się jedynie zdławiony szloch.

– Davis, przepraszam, nie myślałam…

– To ja przepraszam – bąknął, czerwieniąc się.

Mama już wyciągała rękę poprzez stół, by w ostatniej chwili się powstrzymać.

– Chcę, żebyś był dobry dla mojej córki – powiedziała. – Mam tylko jedną.

– Musimy już iść – oznajmiłam.

Mama i Davis znów mierzyli się wzrokiem.

– Bądź z powrotem o jedenastej – rzuciła w końcu mama, a ja chwyciłam Davisa za przedramię i wypchnęłam za drzwi, rzucając mamie na odchodnym wymowne spojrzenie.

*

– Wszystko OK? – zapytałam, gdy byliśmy już bezpieczni w jego samochodzie.

– Tak – mruknął.

– Ona po prostu przesadnie się o mnie troszczy.

– Rozumiem – powiedział.

– Nie musisz się czuć zażenowany.

– Nie jestem zażenowany – odparł.

– Tylko co?

– Trudno to opisać.

– Mam czas.

– OK. Ona się myli, myśląc, że mogę mieć, co tylko chcę i kiedy tylko tego zechcę.

– A czego nie możesz mieć, choć chcesz? – zapytałam.

– Na przykład matki. – Wrzucił wsteczny bieg i wycofał samochód z podjazdu.

Nie wiedziałam, jak zareagować.

– Przykro mi – rzuciłam w końcu.

– Kojarzysz ten fragment z *Drugiego przyjścia Yeatsa*: „Najlepsi tracą wszelką wiarę, a w najgorszych / Kipi żarliwa i porywcza moc”[7]?

– Tak, czytaliśmy go na fakultecie.

– Myślę, że w gruncie rzeczy gorszy jest brak wszelkiej wiary. Bo wtedy po prostu płynie się z prądem, nie? Jest się jak banieczka na fali imperium[8].

– Niezłe porównanie.

– Skradłem je Robertowi Pennowi Warrenowi. Moje sentencje zawsze są kradzione. Brak mi wszelkiej wiary. – Przejechaliśmy na drugą stronę rzeki. Spojrzałam w dół i zobaczyłam Wyspę Piratów. – Twojej mamie przynajmniej zależy, wiesz? Większość dorosłych jest pusta w środku. Patrzysz, jak próbują się zapełnić

wódką, pieniędzmi, Bogiem, sławą, czy co tam czczą, a to wszystko psuje ich od wewnątrz, aż nie pozostaje nic z wyjątkiem wódki, pieniędzy czy Boga – tego, co miało ich ocalić. Taki właśnie jest mój ojciec. Tak naprawdę zniknął wiele lat temu. Może dlatego nie przejąłem się zbytnio tym, co się stało teraz. Chciałbym, żeby tu był, ale chcę tego od dawna. Dorośli myślą, że mają władzę, podczas gdy w rzeczywistości to władza ma ich.

– Pasożyt wierzy, że jest żywicielem – mruknęłam.

– Właśnie – przytaknął.

*

Weszliśmy do domu Pickettów. W rogu wielkiego stołu w jadalni stały dwa nakrycia. Między nimi migotała świeczka, a parter budynku skąpany był w delikatnym złotym blasku. Mój żołądek wywracał się do góry nogami i nie miałam najmniejszej ochoty na jedzenie, ale posłusznie ruszyłam za Davisem w tamtym kierunku.

– Wygląda na to, że Rosa zrobiła dla nas kolację – powiedział. – Powinniśmy z uprzejmości zjeść choć parę kęsów. Witaj, Roso – zwrócił się do niej. – Dzięki, że zostałaś dłużej.

Uścisnęła go mocno.

– Zrobiłam spaghetti. Wegetariańskie.

– Nie musiałaś – rzekł.

– Moje dzieci są dorosłe, więc ty i Noah jesteście jedynymi małymi chłopcami, jacy mi pozostali. Kiedy mi powiedziałeś, że masz spotkanie z nową dziewczyną…

– Po prostu dawną koleżanką – sprostował.

– Dawne koleżanki są najlepszymi kandydatkami na dziewczyny. Najedzcie się. Do zobaczenia jutro. – Raz jeszcze uścisnęła go i pocałowała w policzek. – Zanieś trochę na górę, żeby Noah nie umarł z głodu – dodała – i zmyj naczynia. Opróżnienie talerzy i włożenie ich do zmywarki nie jest takie trudne, Davis.

– Nie ma sprawy – rzucił.

– Masz dziwne życie – stwierdziłam, gdy usiedliśmy przy nakrytym dla dwojga stole z drem pepperem przede mną

i mountain dew przed nim.

– Pewnie tak. – Uniósł puszkę z napojem. – Za dziwność!

– Za dziwność. – Stuknęliśmy się puszkami i popiliśmy.

– Ona zachowuje się jak rodzic – zauważyłam.

– Cóż, zna mnie od małego. I troszczy się o nas. Ale też bierze za to pieniądze. Gdyby ich nie dostawała… miałaby inną pracę.

– Fakt – przyznałam. Jedną z charakterystycznych cech rodziców wydawało mi się to, że nikt im nie płaci, za to że kochają dzieci.

Zapytał, co w szkole, a ja opowiedziałam mu o kłótni z Daisy. Potem zapytałam, co w jego szkole, a on odpowiedział:

– Po staremu. Krąży plotka, że zabiłem nie tylko swojego ojca, ale i matkę… Pewnie nie powinienem się tym przejmować.

– Każdy by się przejął.

– Jakoś sobie radzę, ale martwię się o Noaha.

– Jak on się czuje?

– Wczoraj wieczorem wgramolił mi się do łóżka i płakał. Zrobiło mi się go tak żal, że pożyczyłem mu swojego Iron Mana.

– Przykro mi – powiedziałam.

– On po prostu… Bo ja wiem… Wydaje mi się, że przychodzi dzień, w którym sobie uświadamiasz, że ktoś, kto się tobą opiekuje, jest tylko człowiekiem, nie ma supermocy i nie może cię uchronić przed cierpieniem. To po pierwsze. Ale Noah zaczyna już chyba rozumieć, że osoba, którą uważał za superbohatera, może być raczej antybohaterem. A to nic przyjemnego. Ciągle ma nadzieję, że tata wróci do domu, by dowieść swojej niewinności, a ja nie wiem, jak mu powiedzieć, że ojciec bynajmniej nie jest niewinny.

– Czy słowa „usta biegacza” coś ci mówią? – zapytałam.

– Nie, ale policja już mnie o to pytała. Podobno były na telefonie taty.

– Tak.

– Mój ojciec robi wiele rzeczy, ale bieganie do nich nie należy. Uważa, że nie warto ćwiczyć, bo Tua otworzy wszystkim drzwi do wiecznego życia.

– Serio?

– Tak. Wierzy, że Malik zdoła wyodrębnić jakiś czynnik we krwi tuatary odpowiedzialny za jej długowieczność, po czym stopniowo uda mu się „wyleczyć świat ze śmierci” – rzekł, kreśląc w powietrzu

cudzysłów. – Dlatego zapisał majątek Tui. Chce zostać zapamiętany jako człowiek, który położył kres śmierci.

Zapytałam, czy Tua naprawdę dostanie w spadku wszystkie pieniądze jego ojca.

– Wszystko – sprostował Davis. – Firmę, dom, posiadłość. Noah i ja mamy zabezpieczoną sporą sumę na studia i tak dalej, ale nie będziemy bogaci.

– Jeśli macie pieniądze na studia i tak dalej, jesteście bogaci.

– Fakt. Poza tym tata nie jest nam nic winien. Chciałbym tylko, żeby, no wiesz, zachowywał się jak ojciec. Zawoził mojego brata do szkoły, pilnował, czy odrabia lekcje, nie znikał w środku nocy, by uciec przed aresztowaniem, i tak dalej.

– Przykro mi.

– Często to powtarzasz.

– Często to czuję.

Podniósł na mnie wzrok.

– Byłaś kiedyś zakochana?

– Nie. A ty?

– Nie. – Spojrzał na mój talerz. – Skoro żadne z nas nie zamierza nic jeść, chyba powinniśmy wyjść na dwór. Może chmury na chwilę się rozstąpią.

*

Włożyliśmy kurtki i wyszliśmy. Mocno wiało, więc szłam z głową wtuloną w ramiona, ale kiedy zerknęłam na Davisa, patrzył w niebo.

W oddali zobaczyłam dwa leżaki stojące na polu golfowym w pobliżu jednej z chorągiewek wskazujących dołek. Chorągiewka łopotała na wietrze, a w tle dobiegał szum autostrady, ale poza tym było bezgłośnie – chłód uciszył cykady i świerszcze. Położyliśmy się na leżakach, blisko siebie, lecz się nie dotykając, i przez chwilę patrzyliśmy w niebo.

– Nic z tego – mruknął Davis.

– Ale to i tak się dzieje, prawda? Meteory spadają. Po prostu my ich nie widzimy.

– Zgadza się.

– Więc jak by wyglądał taki deszcz?

– Co? – zdziwił się.

– Co byśmy widzieli, gdyby nie było chmur?

– Hm. – Wyjął komórkę i włączył jakąś apkę dla astronomów amatorów. – Tu, na północnym niebie, znajduje się gwiazdozbiór Smoka. Wygląda bardziej jak latawiec niż jak smok, ale tak czy owak, właśnie w tej okolicy byłoby widać meteory. Księżyca prawie dziś nie ma, więc pewnie moglibyśmy dostrzec pięć do dziesięciu meteorów na godzinę. Ziemia przechodzi właśnie przez pył pozostawiony przez kometę Giacobini-Zinner. Widok byłby przepiękny i romantyczny, gdybyśmy tylko nie mieszkali w ponurej Indianie.

– Jest przepiękny i romantyczny – zaoponowałam. – Po prostu my go nie widzimy.

Myślałam o tym, dlaczego mnie zapytał, czy kiedykolwiek byłam zakochana. „Zakochać się” to dziwne określenie, podobne do „zakopać się” – jakby się grzęzło w ruchomych piaskach i nie mogło temu zaradzić. Nie grzęźniesz tak w przyjaźni, gniewie czy nadziei. Tylko w miłości. Miałam ochotę mu powiedzieć, że chociaż nigdy nie byłam zakochana, wiem, jak to jest ugrzęznąć w uczuciu – nie tyle być nim otoczoną, ile zanurzoną w nim, tak jak w tej bożej miłości, o której opowiadała moja babcia. Kiedy wpadałam w spiralę myśli, byłam w niej zanurzona, wciągnięta przez nią. Byłam jej częścią. Chciałam też mu powiedzieć, że pomysł zanurzenia się w uczuciu pozwalał na opisanie czegoś, czego przedtem nie umiałam nazwać, stworzył nową formę. Ale nie wiedziałam, jak to powiedzieć na głos.

– Nie umiem wyczuć, czy to zwykłe milczenie, czy niezręczne – odezwał się w końcu Davis.

– Wiesz, co mnie zainteresowało w wierszu *Drugie przyjście*? Pamiętasz, co on mówi o rozszerzającej się spirali?

– „Kołując coraz szerszą spiralą” – zacytował.

– No, coś takiego. Ale naprawdę przerażające nie jest kołowanie coraz szerszą spiralą, tylko coraz węższą. Taką, która się zacieśnia. Bycie wciąganym w wir, który kurczy i kurczy twój świat, aż w końcu kręcisz się w miejscu, uwięziony w celi, która

ma dokładnie twoje rozmiary, a na koniec uświadamiasz sobie, że wcale nie znajdujesz się w celi. Ty j e s t e ś celą.

– Powinnaś napisać polemikę z Yeatsem – powiedział.

– Nie jestem poetką.

– Mówisz, jakbyś była. Gdybyś spisywała połowę tego, co mówisz, wyszedłby z tego lepszy wiersz, niż ja kiedykolwiek napisałem.

– Piszesz wiersze?

– Nie na serio. Nic dobrego.

– To znaczy co? – O wiele łatwiej rozmawiało mi się z nim w ciemnościach, gdy patrzyliśmy na to samo niebo, a nie na siebie. Czułam się, jakbyśmy nie mieli ciał. Jakbyśmy składali się z samych głosów.

– Jeśli kiedyś napiszę coś, z czego będę dumny, pozwolę ci to przeczytać.

– Lubię słabą poezję – powiedziałam.

– Błagam, nie zmuszaj mnie do pokazywania ci moich durnych wierszydeł. Czytanie cudzych wierszy jest jak oglądanie kogoś nago.

– Załóżmy więc, że chcę zobaczyć cię nago.

– To beznadziejne wierszyki.

– Chcę któryś usłyszeć.

– OK. Na przykład w zeszłym roku napisałem jeden pod tytułem *Ostatnie kaczki jesieni.*

– I brzmi on?…

– „Liście odeszły / na was też czas / na waszym miejscu / wziąłbym nogi za pas / lecz pech tak chciał / że idę sam / przez zimny świt / gdzie nie ma nic”.

– Całkiem fajny – stwierdziłam.

– Lubię krótkie wiersze o nietypowych rymach, bo takie właśnie jest życie.

– Takie jest życie? – próbowałam zrozumieć, o co mu chodzi.

– No. Rymuje się, ale nie w taki sposób, jakiego się po nim spodziewasz.

Spojrzałam na niego. Nagle zapragnęłam go dość mocno, by nie troszczyć się o to, dlaczego go pragnę ani czy naprawdę pragnę go ja, czy tylko coś, co jest we mnie. Wyciągnęłam rękę, dotknęłam jego zimnego policzka równie zimnymi palcami i zaczęłam go całować.

Kiedy zrobiliśmy przerwę na nabranie powietrza, poczułam jego dłonie na swojej talii.

– Ja… o… rany – wyjąkał Davis.

Uśmiechnęłam się zawadiacko. Podobał mi się napór jego ciała, dotyk dłoni na moich plecach.

– Masz jeszcze jakieś wiersze?

– Ostatnio próbuję pisać kuplety. O przyrodzie. Na przykład: „Żonkil więcej wie o lecie / niż róże o całym świecie".

– Ten też działa – powiedziałam i znów go pocałowałam. Czułam ucisk w piersi, dotyk jego chłodnych warg, dłonie przygarniające mnie mocniej przez warstwę ubrań.

Podobało mi się, że mamy na sobie tyle ciuchów. Od naszych oddechów Davisowi zaparowały okulary. Próbował je zdjąć, ale ja wcisnęłam mu je z powrotem na nos. Śmialiśmy się razem. Potem on zaczął mnie całować po szyi, a ja nagle pomyślałam: *Jego język był w moich ustach.*

Powtarzałam sobie, że mam się skupić na tej chwili, na cieple jego skóry, ale ten sam język czułam teraz na szyi, wilgotny, żywy, pełen mikrobów, a dłoń skradała się pod moją kurtką, macając zimnymi palcami gołą skórę. Wszystko w porządku, nic ci nie jest, po prostu się z nim całuj *musisz coś sprawdzić* wszystko OK, zachowuj się normalnie *sprawdź czy jego mikroby są w tobie* miliardy ludzi się całują i żyją *upewnij się czy jego mikroby permanentnie cię nie skolonizują* och przestań *może mieć campylobactera albo być nosicielem Escherichia coli jak to złapiesz będziesz musiała brać antybiotyki a wtedy zarazisz się Clostridium difficile i bęc po czterech dniach będziesz trupem* kurwa przestań po prostu go całuj *NA WSZELKI WYPADEK SPRAWDŹ.*

Odsunęłam się.

– Wszystko w porządku? – zapytał Davis.

Skinęłam głową.

– Po… po prostu muszę odetchnąć.

Usiadłam, odwróciłam się tyłem do niego, wyjęłam komórkę i wpisałam w wyszukiwarce „czy bakterie ludzi których całujesz zostają w tobie", po czym prześlizgiwałam się wzrokiem przez serię pseudonaukowych wyników, nim znalazłam opis jakichś rzeczywistych badań. Jeden pocałunek powoduje wymianę średnio

osiemdziesięciu milionów mikrobów, a „po upływie sześciu miesięcy mikrobiom ludzkich jelit wydaje się nieznacznie, lecz permanentnie zmodyfikowany”.

Jego bakterie zostaną we mnie na zawsze. Osiemdziesiąt milionów bakterii rozmnażających się, rosnących, dołączających do moich bakterii i produkujących nie wiadomo co.

Poczułam jego dłoń na ramieniu. Odwróciłam się gwałtownie, strącając ją. Brakowało mi tchu. Przed oczami miałam mroczki.

Nic ci nie jest. To nawet nie pierwszy chłopak, którego pocałowałaś *osiemdziesiąt milionów organizmów we mnie na zawsze* uspokój się *permanentnie zmieniających mój mikrobiom* to nieracjonalne *musisz coś zrobić proszę można to naprawić* proszę *idź do łazienki.*

– Co się stało?

– N…nic – wybąkałam. – Muszę iść do ubikacji.

Znów wyjęłam telefon, by raz jeszcze przeczytać opis badań, ale się powstrzymałam, zamknęłam klapkę i schowałam telefon do kieszeni. Czy oni pisali „nieznacznie zmodyfikowany”, czy „umiarkowanie zmodyfikowany”? Wyjęłam telefon i wyklikałam artykuł. „Nieznacznie”. OK. „Nieznacznie” to lepiej niż „umiarkowanie”. Ale p e r m a n e n t n i e. Cholera.

Mdliło mnie i czułam obrzydzenie, a jednocześnie wyobrażałam sobie, jak żałośnie muszę wyglądać w jego oczach. Wiedziałam, że moja szajba nie jest już jakimś tam dziwactwem, które sprowadza się do pękającej skóry na palcu. Teraz była czymś irytującym, tak jak dla Daisy i dla każdej osoby, która miała ze mną bliski kontakt.

Choć było zimno, spociłam się jak mysz. Zapięłam kurtkę pod samą szyję i ruszyłam do domu. Nie chciałam biec, ale liczyła się każda sekunda. Davis otworzył mi tylne drzwi i wskazał, gdzie mieści się toaleta dla gości. Zamknęłam się w środku i oparłam o obudowę umywalki. Rozpięłam kurtkę i gapiłam się na swoje odbicie w lustrze. Zdjęłam plaster, rozorałam skórę paznokciem, umyłam ręce i założyłam nowy plaster. Zajrzałam do szuflad pod umywalką w poszukiwaniu płynu do mycia ust, ale go nie znalazłam, więc tylko przepłukałam je zimną wodą.

W porządku? Na wszelki wypadek jeszcze raz. Nabrałam kolejny haust wody, przepłukałam, wyplułam. Wytarłam spoconą twarz

papierem toaletowym i wyszłam z powrotem w złoty blask posiadłości Davisa.

Dał mi znak, żebym usiadła, i otoczył mnie ramieniem. Nie chciałam się zbliżać do jego mikrobiomu, ale nie strąciłam jego ręki, by nie zostać uznana za wariatkę.

– Wszystko w porządku?

– Tak. Po prostu… trochę spanikowałam.

– Chodzi o coś, co zrobiłem? Czy powinienem…

– Nie. To nie twoja wina.

– Możesz mi śmiało powiedzieć.

– Naprawdę. Chyba… chyba wystraszyłam się całowania.

– Dobra. Na razie bez całowania. Nie ma sprawy.

– Kiedyś będzie – zauważyłam. – Nachodzą mnie te… spirale myślowe i nie potrafię się ich pozbyć.

– *Kołując coraz węższą spiralą* – powiedział.

– Ja… to… to nie mija – wyrzuciłam z siebie. – Lepiej, żebyś wiedział.

– Nie spieszy mi się.

Pochyliłam się do przodu i wbiłam wzrok w drewnianą podłogę.

– Chcę powiedzieć, że to mi nie przejdzie. Mam to, odkąd pamiętam, a nie mogę prowadzić normalnego życia, skoro wpadam w panikę, ilekroć próbuję kogoś pocałować.

– Wszystko w porządku, Azo. Serio.

– Może i mówisz szczerze, ale nie zawsze będziesz tak myślał.

– Teraz nie jest zawsze – rzekł. – Teraz jest teraz. Przynieść ci coś? Szklankę wody albo…

– Możemy… możemy pooglądać film albo coś w tym stylu?

– Jasne – powiedział. Wyciągnął rękę. Wstałam, udając, że jej nie widzę. – W rezydencji Pickettów mamy wszystko, co najważniejsze: wszystkie części *Gwiezdnych wojen* i *Star Treka*. Którą wybierasz?

– Szczerze mówiąc, nie przepadam za filmami o kosmosie – przyznałam.

– Świetnie. W takim razie obejrzymy *Star Trek IV: Powrót na Ziemię*, którego czterdzieści procent dzieje się na naszej planecie.

Spojrzałam na niego i uśmiechnęłam się, choć nie potrafiłam powstrzymać gonitwy myśli.

*

Zeszliśmy do piwnicy, postukałam w książkę F. Scotta Fitzgeralda i regał się otworzył. Usiadłam na jednym z pękatych rozkładanych foteli. Davis zjawił się po chwili z drem pepperem, włożył go do otworu obok mojej ręki i usiadł obok. Całe szczęście, że dzieliła nas poręcz.

– Jak to możliwe, że przyjaźnisz się z Daisy, skoro nie oglądasz space oper?

– Oglądamy je razem. Tyle tylko, że ja nie jestem ich fanką – odparłam.

On próbuje cię traktować jak normalną, a ty próbujesz mu odpowiadać jak normalna, ale oboje wiecie, że do normalności ci daleko. Normalni ludzie potrafią się całować, kiedy tego chcą. Normalni ludzie nie pocą się tak jak ty. Normalni ludzie wybierają swoje myśli jak kanały w telewizorze. Wszyscy tu obecni wiedzą, że jesteś stuknięta.

– Czytałaś któreś z jej opowiadań?

– W gimnazjum, kiedy zaczynała, przeczytałam kilka. Nie są za bardzo w moim guście. – Czułam, jak otwierają mi się gruczoły potowe nad górną wargą.

– Całkiem nieźle pisze. Powinnaś poczytać. W pewnym sensie występujesz w niektórych z nich.

– Spróbuję – powiedziałam cicho.

Davis w końcu wyjął komórkę, odpalił apkę i włączył film. Udawałam, że oglądam, a w rzeczywistości zapadałam się coraz głębiej w spiralę. Myślałam o obrazie Pettibona z wielobarwnym wirem, w który patrzy się, jakby było się w jego wnętrzu. Próbowałam dyskretnie oddychać na modłę doktor Singh, ale już po kilku minutach spociłam się na maksa, a on z całą pewnością to zauważył, bo widział ten film już setki razy, więc włączył go tylko po to, by patrzeć na mnie patrzącą w ekran. Czułam na sobie jego spojrzenie i wiedziałam, że zapięta kurtka mnie nie chroni, bo musiał zauważyć wąsik potu nad moją wargą.

Powietrze zgęstniało od napięcia. Davis zachodził w głowę, jak mnie uszczęśliwić. Jego myśli wirowały tak samo jak moje. Nie potrafiłam uszczęśliwić siebie, ale za to potrafiłam unieszczęśliwić

otaczających mnie ludzi.

*

Gdy film dobiegł końca, powiedziałam, że jestem zmęczona, licząc, że ten przymiotnik pozwoli mi znaleźć się tam, gdzie chciałam się znaleźć: we własnym łóżku. Davis zawiózł mnie do domu, odprowadził pod drzwi i cmoknął w spocone usta. Pomachałam mu, stojąc na wycieraczce. Wyjechał tyłem z podjazdu, a gdy zniknął, weszłam do garażu, otworzyłam bagażnik Harolda i wyjęłam telefon taty, bo miałam ochotę pooglądać jego zdjęcia.

Prześliznęłam się obok mamy śpiącej na kanapie przed telewizorem. Znalazłam w szufladzie biurka starą ładowarkę, podłączyłam komórkę taty i długo przeglądałam stare fotki poszatkowanego przez gałęzie nieba.

– Wiesz, że mamy to wszystko w komputerze – rozległ się zza moich pleców cichy głos mamy. Nie miałam pojęcia, że się obudziła.

– Wiem – mruknęłam. Odłączyłam komórkę od prądu i wyłączyłam.

– Rozmawiałaś z nim?

– Coś w tym stylu – odparłam.

– I co mówiłaś?

Uśmiechnęłam się.

– Powierzałam mu tajemnice.

– Ha! Ja też powierzam mu swoje. Nie piśnie słówka.

– Milczy jak grób – przyznałam.

– Azo, bardzo mi przykro, jeśli zraniłam uczucia Davisa. Napisałam do niego liścik z przeprosinami. Przesadziłam. Chcę jednak, żebyś zrozumiała…

Machnęłam lekceważąco ręką.

– Nic się nie stało. Muszę się przebrać. – Chwyciłam ciuchy i poszłam do łazienki.

Rozebrałam się, wytarłam ręcznikiem pot i stojąc bosymi stopami na posadzce, czekałam, aż moje ciało się schłodzi. Rozpuściłam włosy i patrzyłam w lustro. Nienawidziłam swojego ciała.

Brzydziłam się go: włosów, kropelek potu, tyczkowatości. Skóra naciągnięta na szkielet, ożywiony trup. Chciałam się wydostać – z tych mięśni i kości, ze swoich myśli – ale byłam w nich uwięziona, podobnie jak wszystkie bakterie, które mnie skolonizowały.

Pukanie do drzwi.

– Przebieram się! – odkrzyknęłam.

Zdjęłam plaster, sprawdziłam, czy nie ma na nim krwi ani ropy, wyrzuciłam go do kosza, wycisnęłam sobie na palec trochę płynu odkażającego i poczułam pieczenie rany.

Włożyłam spodnie od dresu i stary T-shirt mamy, po czym wyszłam z łazienki. Czekała na mnie pod drzwiami.

– Jesteś zdenerwowana? – zapytała.

– Nic mi nie jest – odpowiedziałam.

Poszłam do swojego pokoju, zgasiłam światło i położyłam się. Nie byłam zmęczona – po prostu nie miałam ochoty na rozmowę. Kiedy kilka minut później mama weszła do pokoju, udawałam, że śpię, byle tylko nie musieć z nią gadać. Stanęła nade mną i zaśpiewała tę starą piosenkę, którą od niepamiętnych czasów śpiewała zawsze, gdy nie mogłam spać.

Żołnierze w Anglii śpiewali ją na melodię noworocznej piosenki *Auld Lang Syne*. Leci tak: „Jesteśmy tu bo jesteśmy tu bo jesteśmy tu bo tak”. Początkowo śpiewała coraz wyżej, jakby brała oddech, a potem schodziła w dół. „Jesteśmy tu bo jesteśmy tu bo jesteśmy tu bo tak”.

Choć teoretycznie byłam prawie dorosła, a mama doprowadzała mnie do szału, nie potrafiłam przestać myśleć, póki jej kołysanka w końcu mnie nie uśpiła.

---

7 William Butler Yeats, *Drugie przyjście*. Ten i dalsze cytaty z tego wiersza w przekładzie Stanisława Barańczaka.

8 Robert Penn Warren, *Gubernator*, przeł. Bronisław Zieliński.

13

Mimo że rozsypałam się psychicznie w jego obecności, następnego ranka Davis przysłał mi SMS, zanim jeszcze zdążyłam wstać.

On: Masz ochotę na film dziś wieczorem? Nawet nie musi się dziać w kosmosie.

Ja: Nie mogę. Może kiedy indziej. Sorry, że spanikowałam, pociłam się i tak dalej.

On: Pocisz się jak każdy człowiek.

Ja: Zdecydowanie bardziej, ale nie chcę o tym gadać.

On: Ty naprawdę nie lubisz swego ciała.

Ja: Fakt.

On: A ja tak. Jest fajne.

Przebywanie z nim w tej niefizycznej przestrzeni sprawiało mi większą przyjemność. Musiałam jednak zabić deskami okna swojego „ja".

Ja: Ogólnie czuję się dość niepewnie i raczej nie mogę się z tobą spotykać. Ani z nikim innym. Przykro mi, po prostu nie mogę.

On: Tu się zgodzę. To straszna męczarnia. Ludzie będący w związkach nie gadają o niczym innym niż stan ich związku.

To jak diabelski młyn.

Ja: Co?

On: Kiedy siedzisz na diabelskim młynie, wszyscy wokół gadają wyłącznie o jeździe na diabelskim młynie, o widoku z diabelskiego młyna, o tym, czy się boją albo ile jeszcze razy się przejadą. Podobnie z randkowaniem. Każdy, kto chodzi na randki, nie gada o niczym innym. Nie interesuje mnie to.

Ja: W takim razie co cię interesuje?

On: Ty.

Ja: Nie wiem, co odpowiedzieć.

On: Nie musisz odpowiadać. Miłego dnia, Azo.

Ja: Nawzajem, Davis.

Następnego dnia po lekcjach miałam wizytę u doktor Singh. Siedziałam na sofie naprzeciwko niej i patrzyłam na obrazek z mężczyzną trzymającym sieć. Przez całą rozmowę gapiłam się na niego, bo nieubłagane spojrzenie doktor Singh było trudniejsze do zniesienia.

– Jak się miewasz?

– Średnio.

– Opowiedz, co się dzieje.

Kątem oka widziałam jej skrzyżowane nogi, czarne buty na niskim obcasie i podrygującą stopę.

– Jest taki chłopak – powiedziałam.

– I?

– Nie wiem. Jest ładny, fajny i go lubię, ale mój stan się nie poprawia, więc zastanawiam się, czy cokolwiek może mi pomóc, jeśli nie to.

– Nie wiem. A ty jak sądzisz?

Stęknęłam.

– Typowo psychiatryczna zagrywka.

– Skoro tak mówisz. Zmiana sytuacji osobistej, nawet pozytywna, potrafi wywołać lęk. Nic więc dziwnego, jeśli odczuwasz go, wchodząc w nowy związek. Co z natrętnymi myślami?

– Wczoraj się z nim całowałam i musiałam przerwać, bo cały czas myślałam, jakie to ohydne. Więc za dobrze nie jest.

– Jakie to ohydne?

– Że jego język ma swój własny mikrobiom, więc kiedy on wkłada mi go do ust, jego bakterie stają się częścią mojego mikrobiomu na resztę mojego życia. Dosłownie. W pewnym sensie jego język pozostanie w moich ustach, dopóki nie umrę, a wtedy jego mikroby zeżrą moje zwłoki.

– I dlatego przestałaś się z nim całować.

– Właśnie.

– To się zdarza. Więc część ciebie chciała się z nim całować, a druga część czuła ogromną obawę towarzyszącą bliskości z drugą osobą.

– Owszem, ale nie bałam się bliskości. Bałam się wymiany bakterii.

– Twój niepokój przybiera formę obawy przed wymianą bakterii.

Żachnęłam się na te terapeutyczne bzdury. Zapytała, czy wzięłam ativan. Odpowiedziałam, że nie miałam go przy sobie, gdy pojechałam do Davisa. Potem zapytała, czy codziennie biorę lexapro, a ja na to, że, hm, codziennie to nie. Zaczęła nawijać, że leki działają tylko wtedy, gdy się je zażywa, i że muszę być konsekwentna w swoich zmaganiach z problemem, a ja próbowałam jej tłumaczyć, że jest coś bardzo niepokojącego w przeświadczeniu, że można stać się sobą jedynie dzięki zażywaniu leku, który zmienia osobowość.

Kiedy na chwilę zapadła cisza, zapytałam:

– Dlaczego powiesiła tu pani ten obraz? O co chodzi z tym facetem niosącym sieć?

A ona na to:

– Czego nie mówisz, Azo? Co boisz się powiedzieć?

Pomyślałam o prawdziwym pytaniu – tym, które wciąż dźwięczało w tle mojej świadomości niczym dzwonienie w uszach. Trochę się go wstydziłam, a trochę się bałam, że wypowiedzenie

go na głos może okazać się groźne. Że to jedna z tych rzeczy, których nie wolno wypowiadać, jak imienia Voldemorta.

– Myślę, że mogę być fikcją – wyznałam.

– Jak to?

– Na przykład mówi pani, że zmiana okoliczności jest stresująca, tak?

Kiwnęła głową.

– Ale ja chciałabym wiedzieć, czy w ogóle istnieję jakaś „ja" niezależna od okoliczności. Czy w głębi mnie istnieje ktoś, kto jest prawdziwą, autentyczną osobą, tą samą niezależnie od tego, czy ma pieniądze, czy ich nie ma, czy ma chłopaka, czy go nie ma, czy chodzi do tej szkoły, czy do innej? Czy też jestem jedynie zbiorem okoliczności?

– Nie rozumiem, dlaczego miałoby cię to czynić fikcyjną.

– Nie mam władzy nad swoimi myślami, więc tak naprawdę nie są moje. Nie mam władzy nad tym, czy się pocę, czy dostanę raka albo rzekomobłoniastego zapalenia jelit i tak dalej, więc moje ciało też naprawdę nie jest moje. Nie ja o tym wszystkim decyduję, tylko jakieś zewnętrzne siły. Jestem tylko historią, którą opowiadają. Jestem okolicznościami.

Pokiwała głową.

– Czy potrafisz zrozumieć te zewnętrzne siły?

– Nie. Nie mam halucynacji – podkreśliłam. – Po prostu… po prostu nie jestem pewna swojej prawdziwości w ścisłym znaczeniu tego słowa.

Doktor Singh postawiła obie stopy na podłodze i pochyliła się naprzód z dłońmi na kolanach.

– To ciekawe – powiedziała. – Bardzo ciekawe. – Przez moment czułam dumę z tego, że przynajmniej raz nie skwitowała moich słów swoim tradycyjnym „to się zdarza". – To musi być straszne czuć, że twoje „ja" może nie być twoje. Prawie jakbyś była… uwięziona?

Przytaknęłam.

– Pod koniec *Ulissesa* – kontynuowała – jest taki moment, kiedy Molly Bloom wydaje się mówić wprost do autora. Mówi: „O, Jamesy, wydostań mnie stąd". Tak jak Molly, jesteś uwięziona wewnątrz „ja", które nie wydaje ci się w pełni twoje. Ale jednocześnie to „ja"

często wydaje ci się mocno zanieczyszczone.

Przytaknęłam.

– Przypisujesz swoim myślom zbyt wielką moc, Azo. To tylko myśli. One nie są tobą. Ty należysz do siebie, nawet jeśli twoje myśli do ciebie nie należą.

– Przecież człowiek to właśnie jego myśli. „Myślę, więc jestem", zgadza się?

– Niezupełnie. Pełna sentencja Kartezjusza powinna brzmieć: *Dubito, ergo cogito, ergo sum*. „Wątpię, więc myślę, więc jestem". Kartezjusz dociekał, czy naprawdę można wiedzieć, że coś jest prawdziwe, ale wierzył, że jego zdolność do wątpienia w rzeczywistość dowodzi, iż nawet jeśli ona nie jest prawdziwa, on jest. Jesteś równie prawdziwa jak każdy, a twoje wątpliwości czynią cię bardziej, a nie mniej prawdziwą.

*

Gdy tylko dotarłam do domu, wyczułam stres mamy związany z moją wizytą u doktor Singh, mimo że udawała spokojną i wyluzowaną.

– Jak było? – zapytała, nie podnosząc na mnie wzroku znad sprawdzianów.

– Chyba OK – powiedziałam.

– Jeszcze raz cię przepraszam za sposób, w jaki wczoraj rozmawiałam z Davisem – dodała. – Masz pełne prawo być na mnie zła.

– Ale nie jestem.

– Chodzi mi jedynie o to, żebyś była ostrożna, Azo. Czuję, że twój niepokój wzrasta. Widać to od twarzy po koniuszek palca.

Zacisnęłam pięść.

– To nie przez niego.

– A przez co?

– Bez powodu – wycedziłam i włączyłam telewizor.

Zabrała mi pilota i wyłączyła odbiornik.

– Wyglądałaś na uwięzioną wewnątrz swego umysłu, a kiedy nie wiem, co się tam dzieje, zaczynam się bać.

Przycisnęłam paznokieć do palca poprzez plaster, myśląc o tym, że bałaby się o wiele bardziej, gdyby w i e d z i a ł a, co się tam dzieje.

– Wszystko w porządku. Naprawdę.

– Wcale nie.

– Mamo, zdradź mi, co powinnam powiedzieć. Serio. Powiedz mi, jakich słów mam użyć, żeby cię uspokoić.

– Nie chcę, żebyś mnie uspokajała. Chcę, żebyś przestała cierpieć.

– Przykro mi, ale to tak nie działa. Przepraszam, muszę się uczyć na historię.

Wstałam, ale zanim zdążyłam wyjść z pokoju, mama znów się odezwała.

– Nawiasem mówiąc, pan Myers dzisiaj mi powiedział, że twoje wypracowanie o wymianie kolumbijskiej[9] było najlepsze, jakie czytał w ciągu wszystkich swoich lat pracy.

– Pracuje dopiero ze dwa lata – zauważyłam.

– Cztery, ale to i tak nieistotne – odparła. – Czeka cię świetlana przyszłość, Azo Holmes.

– Słyszałaś kiedyś o Amherst? – zapytałam.

– O czym?

– O Amherst. To college w Massachusetts. Świetny. Jest wysoko w rankingach. Chyba chciałabym tam pójść… o ile się dostanę.

Zaczęła coś mówić, ale urwała w pół słowa.

– Będziemy musiały sprawdzić, jak można zdobyć stypendium – powiedziała tylko.

– Albo Sarah Lawrence – kontynuowałam. – Też robi dobre wrażenie.

– Pamiętaj, że wiele szkół żąda opłat już za samo złożenie papierów, więc należy się dobrze zastanowić. Cały proces od początku do końca jest nieuczciwy. Każą ci płacić za to, żebyś mogła się dowiedzieć, że nie stać cię na studia. Musimy być realistkami, a realistycznie wygląda to tak, że powinnaś studiować blisko domu. Nie tylko ze względów finansowych. Nie sądzę, żebyś naprawdę chciała znaleźć się tak daleko od wszystkiego, co znajome.

– Taa… – mruknęłam.

– Dobra, rozumiem. Nie masz ochoty na rozmowę z matką. Tak

czy owak cię kocham. – Posłała mi całusa, po czym w końcu mogłam uciec do swojego pokoju.

Naprawdę musiałam się pouczyć na historię, ale gdy już skończyłam, nie czułam zmęczenia i myślałam o tym, żeby napisać do Davisa.

Wiedziałam, co chcę napisać, a przynajmniej, co kołacze mi się po głowie. Nie mogłam przestać myśleć o tej wiadomości: wyobrażałam sobie, jak ją piszę, wciskam przycisk i wiem, że nie mogę już tego cofnąć, a potem spocona, z szybko bijącym sercem czekam na odpowiedź.

Wyłączyłam światło, przewróciłam się na bok i zamknęłam oczy, ale myśl nie przechodziła. W końcu sięgnęłam po telefon, włączyłam go i napisałam:

Kiedy mówiłeś, że lubisz moje ciało, co miałeś na myśli?

Przez kilka sekund wpatrywałam się w ekran, czekając, aż pokażą się kropeczki. Nie pokazały się, więc odłożyłam komórkę na stolik nocny. Świadomość, że zrobiłam to, czego żądał mój mózg, uspokoiła mnie. Prawie już spałam, gdy telefon pisnął.

On: No, że mi się podoba.

Ja: A co?

On: Podoba mi się, jak twoje ramiona obniżają się w stronę obojczyka.

On: I twoje nogi. Krzywizna łydek.

On: I dłonie. Podobają mi się twoje długie palce i nadgarstki, kolor skóry na nich, żyły pod spodem.

Ja: A ja lubię twoje ręce.

On: Są chude.

Ja: Wydają się silne. Nie masz mi tego za złe?

On: Bynajmniej.

Ja: Krzywizna moich łydek? Nigdy jej nie zauważyłam.

On: Jest fajna.

Ja: I to wszystko?

On: Podoba mi się twój tyłek. I to bardzo. Nie masz mi tego za złe?

Ja: Nie.

On: Myślę o założeniu bloga poświęconego twojemu tyłkowi.

Ja: No, teraz trochę odjechałeś.

On: I o pisaniu fanfików, w których twój niesamowity tyłek zakochuje się w twoich pięknych oczach.

Ja: Ty to potrafisz zepsuć romantyczny nastrój. Co pisałeś wcześniej?

On: Że podoba mi się twoje ciało. Twój brzuch, twoje nogi, włosy. Po prostu. Całe. Ciało.

Ja: Serio?

On: Serio.

Ja: Co jest ze mną, że esemesowanie mnie nie przeraża, a całowanie tak?

On: Nic. Chcesz wpaść w poniedziałek po szkole? Obejrzeć film albo coś?

Odczekałam chwilę.

Jasne – napisałam w końcu.

---

9 Wymiana kolumbijska – proces mieszania się organizmów żywych Starego i Nowego Świata, zapoczątkowany przez dotarcie Kolumba do Ameryki.

14

W poniedziałek na parkingu przed szkołą opowiedziałam Daisy o SMS-ach, całowaniu i osiemdziesięciu milionach mikrobów.

– Kiedy tak to ujmujesz, całowanie wydaje się dość obrzydliwe – przyznała. – Z drugiej strony, może jego mikroby są lepsze od twoich? Może dzięki nim stajesz się zdrowsza?

– Może.

– Może dzięki jego mikrobom zdobędziesz supermoce. Była normalną dziewczyną, aż pocałował ją miliarder i wtedy stała się… MIKROBIANKĄ, Królową Mikrobów! – Spojrzałam na nią z politowaniem. – Sorry. Chyba nie pomogłam.

– Pewnie z czasem się przyzwyczaję, co? – zapytałam. – Jeśli pocałujemy się ileś razy i nie stanie się nic złego, będzie mniej strasznie. Bo nie mam powodu się bać, że on naprawdę zarazi mnie campylobacterem. Chyba – dodałam po chwili.

Zaczęła coś mówić, ale zobaczyła, że przez parking idzie ku niej Mychal.

– Wszystko będzie dobrze, Holmesy! Widzimy się na lunchu! Buźka! – zawołała.

I pobiegła. Zarzuciła Mychalowi ręce na szyję i dramatycznym gestem pocałowała go w usta, unosząc jedno kolano, jakby grała w jakimś filmie.

*

Zaraz po lekcjach pojechałam do posiadłości Davisa. Żelazna brama była zamknięta i musiałam nacisnąć dzwonek.

– Rezydencja Pickettów – usłyszałam w domofonie głos Lyle’a.

– Dzień dobry, tu Aza Holmes, koleżanka Davisa – powiedziałam.

Nie odpowiedział, ale brama zaczęła się otwierać. Wróciłam

do Harolda i wjechałam na teren posiadłości. Lyle siedział w swoim wózku golfowym obok domu.

– Dzień dobry – pozdrowiłam go.

– Davis i Noah są na basenie – poinformował mnie. – Podwieźć panią?

– Mogę się przejść.

– Proszę wsiadać – rzekł beznamiętnie, jakby mnie nie usłyszał. Wskazał miejsce na wózku obok siebie. Usiadłam, a on wolniutko ruszył w stronę basenu. – Jak sobie radzi Davis? – zapytał.

– Chyba dobrze.

– Strasznie łatwo go zranić. Ich obu.

– Hm – odparłam.

– Musi pani o tym pamiętać. Czy pani kiedyś kogoś straciła?

– Tak – powiedziałam.

– Więc wie pani, jak to jest.

Davis i Noah siedzieli obok siebie na tym samym leżaku, pochyleni do przodu i wpatrzeni w kafelki. Myślałam o słowach Lyle'a: „Wie pani, jak to jest". W gruncie rzeczy nie wiedziałam. Każda strata jest inna. Nigdy się nie wie, co czuje druga osoba, tak jak dotykanie cudzego ciała nie jest tym samym co jego posiadanie.

Gdy Davis usłyszał wózek, obrócił głowę w naszą stronę, skinął mi i wstał.

– Cześć – odezwałam się.

– Cześć. Słuchaj, potrzebuję kilku minut. Mam coś do obgadania z bratem. Lyle, może oprowadziłbyś Azę? Pokażesz jej laboratorium? Za chwilę do was dołączę.

Skinęłam głową i wsiadłam z powrotem do wózka. Lyle wyjął telefon.

– Malik, masz parę minut, żeby oprowadzić przyjaciółkę Davisa? OK, zaraz będziemy.

Ruszył wzdłuż pola golfowego, wypytując mnie, jak się uczę i czym się zajmują moi rodzice. Powiedziałam, że mama jest nauczycielką.

– Ojciec z wami nie mieszka?

– Nie żyje.

– Oj. Przepraszam.

Skręciliśmy w bitą drogę wiodącą przez zagajnik

do prostokątnego oszklonego budynku o płaskim dachu. Szyld na fasadzie głosił: LABORATORIUM.

Lyle odprowadził mnie do drzwi, otworzył je, po czym się pożegnał. Drzwi zamknęły się za mną. Zobaczyłam Malika pochylonego nad mikroskopem. Sprawiał wrażenie, jakby nie usłyszał, że wchodzę. Znajdowałam się w wielkiej hali z długim czarnym stołem podobnym do tych w sali chemicznej. Pod stołem mieściły się szafki, a na nim leżało mnóstwo różnego sprzętu, w tym szklane naczynia laboratoryjne, butelki z jakimiś cieczami oraz sporo przedmiotów, których nie rozpoznawałam. Podeszłam bliżej i przyglądałam się okrągłemu urządzeniu z probówkami w środku.

– Przepraszam – odezwał się w końcu Malik – ale te komórki krótko żyją poza organizmem, a Tua waży zaledwie trzy czwarte kilo, więc staram się nie pobierać jej więcej krwi, niż to konieczne. To wirówka. – Podszedł do urządzenia, wyjął probówkę z czymś, co wyglądało na krew, po czym umieścił ją ostrożnie w stojaku. – Interesuje się pani biologią?

– Chyba tak – odparłam.

Malik spojrzał na odrobinę krwi na dnie probówki.

– Wie pani, że tuatara może przenosić pasożyty, ale nigdy nie zapada na roznoszone przez nie choroby? Tua na przykład jest nosicielem salmonelli.

– Niewiele wiem o tuatarach.

– Jak większość ludzi. Szkoda, bo są zdecydowanie najciekawszym gatunkiem gadów. Prawdziwym oknem na świat odległej przeszłości.

Nie odrywałam wzroku od krwi tuatary.

– Nam, ludziom, trudno sobie wyobrazić, jak doskonale im idzie. Żyją już na świecie około tysiąca razy dłużej niż my. Proszę pomyśleć! Gdyby rodzaj ludzki miał przetrwać tak długo jak one, miałby za sobą dopiero jedną dziesiątą pierwszego procenta swojej historii.

– Brzmi niewiarygodnie – przyznałam.

– Zdecydowanie. Dlatego pan Pickett uwielbia Tuę. Za jej oszałamiający sukces. Za to, że mając czterdzieści lat, prawdopodobnie przeżyła dopiero ćwierć życia.

– Dlatego zapisał jej cały majątek?

– Wyobrażam sobie gorszych właścicieli jego fortuny – odparł Malik. Ja ze swej strony miałam z tym pewien problem. – Ale tym, co najbardziej mnie fascynuje i czym zajmuję się naukowo, jest tempo ich ewolucji molekularnej. Przepraszam, jeśli panią zanudzam.

Szczerze mówiąc, słuchałam go z przyjemnością. Był tak podekscytowany, jakby naprawdę lubił swoją pracę. Niewielu dorosłych ma w sobie taką pasję.

– Nie – powiedziałam. – To ciekawe.

– Miała pani biologię w liceum?

– Mam.

– W takim razie wie pani, czym jest DNA.

Skinęłam głową.

– A wie pani, że DNA mutuje? Dzięki temu mamy taką różnorodność form życia.

– Tak.

– W takim razie proszę zobaczyć. – Podszedł do mikroskopu podłączonego do komputera i wyświetlił obraz owalnej plamki. – To komórka tuatary. O ile nam wiadomo, te zwierzęta nie zmieniły się zbytnio w ciągu ostatnich dwustu milionów lat. Wyglądają tak samo jak ich skamieliny. I wszystko robią powoli. Powoli dojrzewają. Rosną do trzydziestego roku życia. Powoli się rozmnażają. Składają jaja raz na cztery lata. Mają bardzo wolną przemianę materii. Ale choć wszystko robią wolno i nie zmieniły się zbytnio przez dwieście milionów lat, mają szybsze tempo ewolucji molekularnej niż jakiekolwiek inne znane nam zwierzę.

– To znaczy, że szybciej ewoluują?

– Na poziomie molekularnym. Zmieniają się szybciej niż ludzie, lwy czy muszki owocowe. A to rodzi najróżniejsze pytania. Czy wszystkie zwierzęta mutowały kiedyś w takim tempie? Co spowolniło mutację molekularną? Jak to możliwe, że samo zwierzę tak nieznacznie się zmienia, skoro jego DNA mutuje tak szybko?

– A pan zna odpowiedzi?

Roześmiał się.

– Ależ skąd! Jestem bardzo daleki od ich poznania. Najlepsze w nauce jest właśnie to, że w miarę uczenia się tak naprawdę nie

otrzymuje się odpowiedzi, tylko coraz lepsze pytania.

Usłyszałam za sobą dźwięk otwieranych drzwi.

– Obejrzymy film? – dobiegł mnie głos Davisa.

Podziękowałam Malikowi za lekcję.

– Jestem do usług – odparł. – Może następnym razem przełamie się pani, żeby ją pogłaskać.

Uśmiechnęłam się.

– Raczej nie.

Nie przytuliliśmy się z Davisem, nie pocałowaliśmy ani nic z tych rzeczy. Po prostu szliśmy razem ubitą ścieżką.

– Noah miał dziś kłopoty w szkole – odezwał się w końcu Davis.

– Co się stało?

– Podobno znaleźli u niego marihuanę.

– Jezu. Strasznie mi przykro. Wezwali policję?

– Nie, nie mieszają policji do takich spraw.

Miałam ochotę mu powiedzieć, że w naszej szkole policja zdecydowanie miesza się do takich spraw, ale milczałam.

– Zawiesili go w prawach ucznia.

Było tak zimno, że z moich ust wydobywały się obłoczki pary.

– Może to i dobrze dla niego.

– Nie wiem. Już dwa razy był zawieszany i jakoś mu to nie pomogło. Pomyśl, który trzynastolatek przynosi zioło do szkoły? To wygląda, jakby chciał zostać przyłapany.

– Przykro mi – powtórzyłam.

– Potrzebuje ojca – mruknął Davis. – Choćby i gównianego. A ja nie umiem… do diabła, nie mam pojęcia, co z nim zrobić. Lyle próbował mu przemówić do rozumu, ale Noah gada monosylabami: tak, spoko, luz, OK. Wiem, że tęskni za ojcem, ale nic na to nie poradzę. Lyle mu go nie zastąpi. Ja też nie. Tak czy owak, musiałem odreagować, a ty jesteś jedyną osobą, z którą mogę porozmawiać.

To „jedyną” przejechało po mnie niczym walec. Czułam, jak pocą mi się dłonie.

– Obejrzyjmy film – powiedziałam w końcu.

*

– Zastanawiałem się, jakie filmy o kosmosie mogłyby ci się spodobać – rzekł Davis, gdy byliśmy już w sali kinowej. – I pomyślałem o jednym takim, który jest głupkowaty, ale zarazem mocno odjechany. Jeśli ci się nie spodoba, masz prawo wybrać dziesięć następnych filmów, jakie będziemy oglądać. Zgoda?

– Nie ma sprawy.

Film nosił tytuł *Jupiter: Intronizacja* i rzeczywiście był zarazem głupkowaty i odjechany. Po kilku minutach oglądania ujęłam Davisa za rękę. Było znośnie, a nawet przyjemnie. Lubiłam jego dłonie i to, jak splatał palce z moimi, kreśląc kciukiem kółka na miękkiej skórze.

Gdy film osiągnął jeden ze swoich niezliczonych punktów kulminacyjnych, zaśmiałam się z jakiegoś idiotyzmu.

– Podoba ci się? – zapytał.

– Tak – odparłam. – Jest strasznie głupi, ale świetny.

Czułam, że na mnie patrzy, więc zerknęłam na niego.

– Nie wiem, czy dobrze oceniam sytuację – rzekł i uśmiechnął się do mnie w taki sposób, że naszła mnie ogromna chęć na pocałowanie go. Trzymanie się za ręce było fajne, choć w przeszłości miałam z tym problem, więc może i całowanie tym razem mogło się udać.

Przechyliłam się przez szeroką poręcz i cmoknęłam go w usta. Podobało mi się ciepło jego warg. Chciałam więcej. Uniosłam dłoń do jego policzka i naprawdę zaczęłam go całować. Czułam, jak rozchyla usta, i po prostu chciałam z nim być, tak jak chciałby tego ktoś normalny. Chciałam, żeby kręciło mi się w głowie, jak wtedy, gdy dostawałam od niego SMS-y. Jego pocałunki sprawiały mi przyjemność. Umiał to robić.

Potem jednak zaczęłam myśleć o jego ślinie w moich ustach. Odsunęłam się tak delikatnie, jak tylko mogłam.

– Wszystko OK?

– Tak, jasne – powiedziałam. – Chcę tylko… – Zastanawiałam się, co powiedziałaby normalna osoba. Może gdybym umiała mówić i robić to, co mówią i robią normalni ludzie, Davis dałby się nabrać, a może nawet z czasem naprawdę stałabym się normalna.

– Zwolnić? – podpowiedział.

– Właśnie – przytaknęłam. – Zwolnić.

– Nie ma sprawy. – Wskazał gestem ekran. – Czekałem na tę scenę. Spodoba ci się. Jest odjechana.

W pewnym wierszu Edny St. Vincent Millay, który telepie się we mnie, odkąd przeczytałam go po raz pierwszy, jest taki fragment: „Z ciemnego wzgórza pod moje drzwi / Wiatr przywiał płatki dwa, cztery, trzy / I kolejne, kolejne, kolejne". Pierwsze cztery płatki da się zliczyć, ale potem język nas zawodzi i możemy jedynie próbować przetrwać zamieć.

Podobnie było z zacieśniającą się spiralą moich myśli. Myślałam o jego bakteriach we mnie. O prawdopodobieństwie, że jakaś ich część jest groźna. Myślałam o *Escherichia coli, campylobacterze* i *Clostridium difficile*, które z powodzeniem mogły stanowić integralną część mikrobiomu Davisa.

Przyszła czwarta myśl. A po niej kolejne, kolejne, kolejne.

– Muszę iść do łazienki – powiedziałam. – Zaraz wracam.

Wyszłam z piwnicy. Przez okna dobiegało słabnące światło dnia, barwiąc białe ściany na delikatny róż.

– Aza? – odezwał się znad gry wideo Noah.

Odwróciłam się od niego i weszłam do łazienki. Umyłam twarz i spojrzałam w lustro. Długo obserwowałam, jak oddycham, i myślałam o tym, jak wyłączyć tamten monolog, znaleźć przycisk, który go wyciszy.

Potem wyjęłam z kieszeni kurtki płyn do odkażania rąk i wycisnęłam sobie trochę do ust. Zakrztusiłam się na moment, przepłukałam usta, przełknęłam.

*

– Oglądacie *Jupiter: Intronizację*? – zapytał Noah, gdy wyszłam.

– Mhm.

– Głupoty. – Odwróciłam się, by odejść. – Azo? – odezwał się znowu.

Podeszłam i usiadłam obok niego na kanapie.

– Nikt nie chce go znaleźć – powiedział.

– Twojego taty?

– Nie umiem myśleć o niczym innym. To… to jest… Myślisz, że

on naprawdę mógłby tak zniknąć i nie przysłać nam nawet SMS-a? A może próbuje się skontaktować, a my po prostu nie znaleźliśmy sposobu, żeby to usłyszeć?

Było mi go potwornie żal.

– Może – odparłam. – Albo czeka, aż wszystko przycichnie.

– Tak – podchwycił. – Tak, to ma sens. Dzięki. – Już miałam wstać, gdy znów zaczął: – Ale czy nie mógłby przysłać e-maila? Nie namierzyliby go, gdyby skorzystał z publicznego wi-fi. Albo mógłby nam wysłać SMS z jakiegoś anonimowego telefonu.

– Może się boi – podpowiedziałam. Próbowałam mu pomóc, choć kto wie, czy tylko nie pogarszałam sytuacji.

– Ale będziesz dalej szukać, co?

– Tak – odparłam. – Jasne, Noah.

Sięgnął z powrotem po konsolę do gier, co uznałam za znak, że mogę wrócić do piwnicy.

*

Davis zatrzymał film w połowie bitwy kosmicznej. Kiedy obrócił się do mnie, jego okulary odbijały jasne światło zastygłej eksplozji. Usiadłam obok niego.

– Wszystko OK? – zapytał.

– Naprawdę mi przykro – odpowiedziałam.

– Czy jest coś, co powinienem robić ina…

– Nie, to nie ma nic wspólnego z tobą. Po prostu… Nie potrafię teraz o tym mówić.

Kręciło mi się w głowie. Starałam się odwracać od niego twarz, by nie wyczuł zapachu płynu odkażającego z moich ust.

– W porządku – stwierdził. – Podoba mi się to. Podoba mi się, że robimy wszystko po swojemu.

– Wcale tak nie myślisz.

– Właśnie że myślę. – Gapiłam się na zastygły ekran, pragnąc, by Davis wznowił projekcję. – Słyszałem, jak rozmawiasz z Noahem.

Wciąż czułam w ustach jego ślinę. Ulga wywołana odkażeniem słabła. *Może powinnaś wypić więcej*. Co za brednie. Miliony ludzi się całują i nic im nie jest. *Wiesz, że poczujesz się lepiej, jeśli wypijesz*

jeszcze trochę.

– On potrzebuje pomocy – powiedziałam. – Psychologa albo kogoś w tym stylu.

– Potrzebuje ojca.

Po co w ogóle zaczęłaś się z nim całować? Mogliście normalnie spędzić wieczór, a ty wszystko spieprzyłaś. Teraz rozmawiamy o Noahu, nie o mnie. *Jego bakterie krążą w tobie. Masz je na języku. Nawet czysty spirytus by ich nie zabił.*

– Puścić dalej film?

Skinęłam głową. Przez kolejną godzinę siedzieliśmy obok siebie, blisko, ale bez dotykania. A spirala się zacieśniała.

15

Po powrocie do domu położyłam się do łóżka, ale nie mogłam zasnąć. Pisałam do niego SMS-y, gapiłam się na nie i kasowałam bez wysyłania. W końcu odłożyłam komórkę i wyjęłam laptopa. Zastanawiałam się, co się stało z internetowym życiem Davisa. Dokąd poszedł, gdy przestał się udzielać w mediach społecznościowych.

Zdecydowana większość wyników Google'a odnosiła się do jego ojca: „Dyrektor Pickett Engineering ujawnia, że nie zostawi swoim dzieciom ani grosza" i tak dalej. Od czasu jego zniknięcia Davis nie zamieszczał nic na Instagramie, Facebooku, Twitterze ani blogu, a poszukiwanie jego nicków, dallgoodman i davisnotdave02, dawało jedynie wyniki dotyczące innych ludzi.

Zaczęłam więc szukać podobnych nicków: dallgoodman02, davisnotdave, davisnotdavid, a potem kombinować z różnymi adresami www. Po ponad godzinie, gdy minęła już północ, w końcu przyszło mi do głowy, by wklepać frazę: „liście odeszły, na was też czas".

Pojawił się jeden wynik – blog użytkownika o nazwie isnotid02. Założono go przed dwoma miesiącami i podobnie jak poprzedni blog Davisa, zawierał głównie cytaty z cudzych dzieł, po których następowały krótkie, tajemnicze impresje. Miał jednak również zakładkę „Poezja". Weszłam na stronę główną i przewinęłam do samego dołu, by zacząć od pierwszego wpisu.

„Mogę trzema słowami podsumować wszystko, czego nauczyłem się o życiu: toczy się dalej"

Robert Frost

Minęły dwa tygodnie, odkąd zaczął się ten bałagan. Moje życie

właściwie się nie pogorszyło. Tylko zmniejszyło. Wystarczy długo patrzeć w górę, a poczujesz, jak mikroskopijny jesteś. Istnienie znacznie się różni od nieistnienia. Ale z miejsca, z którego patrzą na nas gwiazdy, praktycznie nie ma różnicy między formami życia, między mną a świeżo skoszoną trawą, na której leżę. Oboje jesteśmy czymś zdumiewającym, czymś najbliższym cudu w całym znanym wszechświecie.

„a wtedy – Deska w dnie Rozumu
trzasnęła – zaczęłam spadać”[10]
Emily Dickinson

Droga Mleczna liczy około stu miliardów gwiazd – mniej więcej po jednej na każdego człowieka, jaki kiedykolwiek żył. Myślałem dziś o tym pod niebem. Było wyjątkowo ciepło i widok najlepszy, o jakim można marzyć w tych stronach. Kiedy patrzę w górę, z jakiegoś powodu zawsze wydaje mi się, że spadam.

Wcześniej słyszałem, jak mój brat płacze w swoim pokoju. Długo stałem przed jego drzwiami. Musiał wiedzieć, że tam jestem, bo próbował zdławić szloch, gdy pod moimi stopami zaskrzypiały deski. A ja tylko stałem, wpatrzony w drzwi, nie mając odwagi ich otworzyć.

„Nawet cisza ma swoją opowieść”
Jacqueline Woodson

Najgorsze w całkowitej samotności jest to, że myślisz o czasach, w których pragnąłeś, żeby wszyscy zostawili cię w spokoju. Kiedy to robią, zostajesz sam i okazujesz się dla siebie okropnym towarzystwem.

„Świat jest kulą: im dalej płyniecie, tym bliżej jesteście domu”[11]
Terry Pratchett

Czasem otwieram Google Maps i przybliżam różne miejsca, w których on mógłby się znajdować. Wczoraj wieczorem przyszedł S. i wytłumaczył nam, co będzie dalej. Co się stanie, jeśli go znajdą, a co,

jeśli nie. W pewnej chwili powiedział: „Rozumiecie, że nie mówię teraz o osobie fizycznej, tylko o osobie prawnej". Ta osoba prawna krąży nad nami, nawiedza nasz dom. Osoba fizyczna jest gdzieś na tej mapie.

„Jestem zakochany w świecie"
Maurice Sendak

Zawsze mówimy, że żyjemy pod gwiazdami. Oczywiście tak nie jest – nie istnieje góra ani dół, a gwiazdy otaczają nas zewsząd. Ale przyjemnie jest myśleć, że żyjemy pod nimi. Język tak często gloryfikuje ludzi – tylko o nich mówimy „ktoś"; pozostałe zwierzęta to „coś" – ale przynajmniej umieszcza nam gwiazdy nad głową.

W końcu pojawiła się jakaś „ona".

„Prologiem przeszłość jest"[12]
William Shakespeare

Patrzenie na przeszłość – albo na osobę z mojej przeszłości – bywa dla mnie co najmniej bolesne. Ogarnia mnie wówczas melancholia i pragnę odzyskać przeszłość niezależnie od ceny. Nieważne, że nie może wrócić ani że nigdy naprawdę nie istniała w takiej formie, w jakiej ją pamiętam. Chcę jej i już. Chcę, żeby wszystko było takie, jak w mojej pamięci: by było całością. Ale ona z jakiegoś powodu nie przypomina mi o przeszłości. Odczuwam ją w czasie teraźniejszym.

Następny wpis pochodził z tamtej nocy, gdy Davis dał mi pieniądze, i mniej więcej potwierdzał, że „ona" to ja.

„Obudź się, droga! Obudź! Dosyć spałaś.
Obudź się, droga!"
William Shakespeare

Zastanawiam się, czy wszystkiego nie spieprzyłem. Ale gdybym postąpił inaczej, pewnie zadawałbym sobie podobne pytanie. Życie to seria wyborów między pytaniami.

„Wyspa pełna jest rozgłosów”
William Shakespeare

Dręczy mnie myśl o tym, czy podobałbym jej się, gdybym nie był tym, kim jestem. To brzmi paradoksalnie: mam na myśli sytuację, w której to samo ciało i ta sama dusza zostałyby przeniesione do innego, gorszego życia. Ale oczywiście wtedy to nie byłbym ja, lecz ktoś inny. Przeszłość to sidła, które już cię pochwyciły. Koszmar, z którego próbuję się zbudzić, jak mawiał Dedalus.

W końcu dotarłam do najnowszego wpisu:

„A moim sługą jest ten syn ciemności”
William Shakespeare

Więcej niż raz zauważyła, że deszcz meteorów spada za kurtyną chmur, nawet jeśli my go nie widzimy. Kogo obchodzi, czy potrafi się całować? Umie patrzeć przez chmury.

Dopiero po przeczytaniu wszystkich wpisów zauważyłam, że te dotyczące mnie zaczynają się cytatami z Burzy. Czułam się trochę tak, jakbym podglądała jego prywatne zapiski, ale przecież blog był ogólnodostępny, a czytanie go przypominało spędzanie czasu z Davisem, tyle że nie wzbudzało takiego lęku.
Przeszłam do zakładki „Poezja”. Pierwszy wiersz brzmiał:

Matka wychodziła
Tak cicho
Że ledwie zauważyłem jej zniknięcie

Inny:

Nigdy nie pozwól, by prawda przysłaniała ci piękno
Uczył e.e. cummings.
„Cud co gwiazdy prowadzi po oddzielnych orbitach[13]*”,*
Pisał o miłości i tęsknocie.

Pewnie dzięki temu miał wiele kobiet
I tylko po to powstał ten wiersz.
Ale grawitacja różni się od sympatii:
Tylko jedna z nich jest stała, nigdy obie.

I na koniec wiersz napisany w dniu pierwszego wpisu na blogu, dwa tygodnie po zniknięciu ojca:

Przez całe życie targał mnie ze sobą –
Podnosił, taszczył tu i tam, mówił
Chodź, fajnie będzie nam.
Nigdy nie było.
Nie znasz ciężaru ojca,
Póki cię od niego nie uwolni.

Gdy czytałam wiersz po raz kolejny, pisnął telefon.

Davis: Cześć.

Ja: Cześć.

On: Czytasz mój blog?

Ja: Może… Masz coś przeciwko?

On: Nie, cieszę się, że to ty. Statystyki pokazują, że ktoś z Indianapolis jest na stronie od 30 minut. Zaniepokoiłem się.

Ja: Dlaczego?

On: Nie chcę, żeby ktoś opublikował w gazecie moje okropne wiersze.

Ja: Nikt by tego nie zrobił. I przestań twierdzić, że są okropne.

On: Jak go znalazłaś?

Ja: Wpisałam w wyszukiwarkę „liście odeszły, na was też czas”. Nikt inny by tego nie wpisał.

On: Nie chcę wyjść na paranoika, po prostu lubię tam pisać i nie chciałbym musieć tego kasować.

On: Miło było się z tobą dziś spotkać.
Ja: Nawzajem.

Zobaczyłam kropeczki sygnalizujące, że Davis coś pisze, ale nic nie przyszło, więc po chwili sama napisałam.

Ja: Chcesz wejść na FaceTime?

On: Jasne.

Lekko drżącymi palcami wcisnęłam przycisk rozpoczynający rozmowę wideo. Pojawiła się twarz Davisa, szara w widmowym blasku dochodzącym z jego telefonu. Uniosłam palec do ust i szepnęłam:
– Ciii…
Spoglądaliśmy na siebie w milczeniu, ledwo rozpoznawalni w słabym świetle, bliżsi sobie niż kiedykolwiek mogliśmy być w prawdziwym życiu.
Patrząc na jego twarz patrzącą na moją, uświadomiłam sobie, że oświetlenie, które pozwala mi go zobaczyć, w większości pochodzi ze sprzężenia zwrotnego: ekrany rzucały na każde z nas światło pochodzące z sypialni drugiego. Widziałam go dzięki temu, że on widział mnie. Zdjęta strachem i podnieceniem wywołanym jego widokiem w tej ziarnistej srebrnej poświacie, miałam wrażenie, że wcale nie siedzę w swojej sypialni ani on w swojej. Byliśmy razem w jakimś odrealnionym miejscu, niemal jakbyśmy znajdowali się nawzajem wewnątrz swoich świadomości, tak blisko, jak nigdy nie udałoby nam się w prawdziwym życiu z prawdziwymi ciałami.
Pasujemy do siebie. Serio – napisał chwilę po tym, jak się rozłączyliśmy.
Nie wiem dlaczego, ale mu uwierzyłam.

10 Emily Dickinson, *Czułam – przez Mózg przechodził Pogrzeb,* przeł. Stanisław Barańczak.

11 Terry Pratchett, *Nacja*, przeł. Jerzy Kozłowski.

12 Ten i trzy kolejne cytaty: William Shakespeare, *Burza*, przeł. Leon Ulrich.

13 E. E. Cummings, *Noszę twe serce z sobą,* przeł. Stanisław Barańczak.

16

Przez jakiś czas znajdowaliśmy sposoby, żeby być razem – nie co dzień się spotykając, ale co wieczór pisząc do siebie lub rozmawiając przez kamerkę. Nauczyliśmy się żyć na diabelskim młynie bez rozmawiania o diabelskim młynie. Niekiedy zapadałam się głębiej w spiralę, ale pomagało zmienianie plastra, ćwiczenia oddechowe, tabletki i cała reszta. Przynajmniej do pewnego stopnia.

Życie toczyło się dalej: czytałam książki, odrabiałam zadania domowe, pisałam sprawdziany, oglądałam z mamą telewizję, spotykałam się z Daisy, gdy nie była umówiona z Mychalem, po raz kolejny studiowałam przewodnik po uczelniach i wyobrażałam sobie całą gamę obiecywanych przez nie przyszłości.

Aż w końcu, pewnego wieczoru, stęskniona za czasami, gdy przesiadywałam z Daisy w Applebee's, z nudów zabrałam się do czytania jej opowiadań ze świata *Gwiezdnych wojen.*

Najnowsze, *Gorący towar*, opublikowała tydzień wcześniej. Ze zdumieniem zobaczyłam, że ma tysiące kliknięć. Ona naprawdę była na swój sposób sławna.

Akcja fanfika, którego narratorką jest Rey, rozgrywa się na Tatooine, gdzie nierozłączne gołąbeczki Rey i Chewbacca zatrzymali się, by odebrać jakiś towar od dwuipółmetrowego olbrzyma o imieniu Kalkino. Towarzyszy im niebieskowłosa dziewczyna o imieniu Ayala, którą Rey nazywa „swoją najlepszą przyjaciółką i największym utrapieniem".

Spotykają się z Kalkinem na zawodach ścigaczy, gdzie olbrzym oferuje im dwa miliony kredytów za zawiezienie na Utpau czterech skrzyń.

– Mam złe przeczucia – powiedziała Ayala.

Przewróciłam oczami. Ona zawsze miała złe przeczucia, a im

bardziej się martwiła, tym bardziej pogarszała sytuację. Miała kręgosłup moralny osoby, która nigdy nie zaznała głodu, i zawsze kręciła nosem na sposób, w jaki Chewie i ja zarabialiśmy na chleb, jakby zupełnie nie zauważała, że nasza praca dostarcza jej pożywienia i dachu nad głową. Chewie miał wobec niej dług, bo wiele lat wcześniej ojciec Ayali zginął, ratując mu życie, a Chewie postępował honorowo, nawet gdy było mu to nie w smak. Ayala zawdzięczała swoje wysokie standardy moralne prostemu faktowi, że nigdy nie musiała walczyć o przetrwanie.

– To nie w porządku – mruknęła. Sięgnęła do szopy błękitnych włosów, wyrwała kosmyk i owinęła sobie wokół palca. Nerwowy nawyk, ale wszystkie jej nawyki takie były.

Czytałam, czując coraz silniejszy ucisk w żołądku. Ayala była okropna. Zakłóciła Chewiemu i Rey romantyczne chwile na pokładzie Sokoła Millennium jakimś głupim pytaniem o hipernapęd, „na które odpowiedź znałaby nawet w miarę rozsądna pięciolatka". Uszkodziła ładunek, otwierając jedną ze skrzyń i odsłaniając baterie, które emitowały tyle energii, że omal nie rozsadziły statku. „Ayala nie była złą osobą, była jedynie bezużyteczna" – napisała w pewnym miejscu Daisy.

Opowiadanie kończyło się triumfalnym dowiezieniem baterii na miejsce. Ponieważ jednak straciły część energii, gdy Ayala otworzyła skrzynię, odbiorcy zorientowali się, że zuchwali przewoźnicy widzieli ładunek, i wyznaczyli nagrodę za ich głowy – a może raczej powinnam napisać: za nasze głowy – co oznaczało, że w przyszłotygodniowym odcinku napięcie sięgnie zenitu.

Pod spodem widniały dziesiątki komentarzy. Najnowszy głosił: „UWIELBIAM NIENAWIDZIĆ AYALI. DZIĘKI, ŻE JĄ REAKTYWOWAŁAŚ". Daisy odpisała: „Dzięki!".

Czytałam opowiadania od najnowszego wstecz i poznawałam kolejne przypadki torpedowania przez Ayalę wysiłków Chewiego i Rey. Jedyny raz zrobiłam coś pozytywnego, gdy z nerwów zwymiotowałam na Hutta o imieniu Yantuh, na moment odwracając jego uwagę, co pozwoliło Chewiemu chwycić blaster i uratować nas przed nieuchronną śmiercią.

*

Czytałam do późna, a potem długo myślałam o tym, co powiedzieć Daisy następnego ranka. Moje myśli krążyły po sypialni jak sępy, miotając się między wściekłością a niepokojem. Rano obudziłam się w fatalnym stanie – nie tylko zmęczona, ale i przerażona. Widziałam siebie taką, jaką widziała mnie Daisy: bezmyślną, bezradną, bezużyteczną. Jedno wielkie „bez".

Jadąc do szkoły z głową ćmiącą od niewyspania, nie mogłam przestać myśleć o tym, jak w dzieciństwie bałam się potworów. Wiedziałam, że nie są prawdziwe, ale jednocześnie miałam świadomość, że nieprawdziwe rzeczy także potrafią ranić. Wiedziałam, że wytwory wyobraźni mają znaczenie i że mogą zabić. Teraz, po przeczytaniu opowiadań Daisy, czułam się podobnie: jakby coś niewidzialnego czaiło się, by mnie pochwycić.

Myślałam, że wścieknę się na sam jej widok, ale kiedy zobaczyłam ją siedzącą na schodach przed szkołą w ciepłej kurtce i machającą do mnie rękawiczką, poczułam, że… że zasłużyłam sobie na to wszystko. Że Daisy po prostu musiała wymyślić Ayalę, żeby ze mną wytrzymać.

Podniosła się.

– Wszystko OK, Holmesy?

Skinęłam głową. Nie byłam w stanie mówić. Gardło miałam ściśnięte, jakbym zaraz miała się rozpłakać.

– Co się dzieje? – zapytała.

– Zmęczona jestem – wykręciłam się.

– Holmesy, nie zrozum mnie źle, ale wyglądasz, jakbyś wracała z teatru, w którym grałaś upiora w nawiedzonym domu, i rozglądała się za jakąś amfą do kupienia.

– Z całą pewnością nie zrozumiem tego źle.

Otoczyła mnie ramieniem.

– Oczywiście mimo to jesteś wspaniała. Nawet gdybyś nie wiem jak się starała, nie zdołasz się odrzeć ze wspaniałości. Mówię tylko, że musisz się porządnie wyspać. Zajmij się sobą, dobra? – Kiwnęłam głową i wyśliznęłam się spod jej ramienia. – Kiedy myśmy ostatnio ze sobą porządnie gadały? Może wpadnę do ciebie po szkole?

Już miałam odmówić, ale pomyślałam o Ayali, która zawsze

odmawiała. Nie chciałam być podobna do swojej fikcyjnej odpowiedniczki.

– Spoko.

– Wieczorem uczę się z Mychalem, ale po lekcjach powinnam mieć jakieś sto czterdzieści dwie minuty, jeśli pojedziemy prosto do ciebie. Czyli dokładnie tyle, ile trwa *Atak klonów*.

– Uczysz się z Mychalem? – zapytałam.

Nagle za moimi plecami pojawił się Mychal.

– Czytamy sobie na głos *Sen nocy letniej* – wyjaśnił.

– Serio?

– A co? – zdziwiła się Daisy. – Nie moja wina, że jesteśmy tacy słodcy. Ale najpierw Yoda z mieczem świetlnym u ciebie. Zgoda?

– OK.

*

Sześć godzin później leżałyśmy obok siebie na podłodze, wsparte na poduszkach z kanapy, i patrzyłyśmy, jak Anakin Skywalker i Padmé w ekstremalnie zwolnionym tempie zakochują się w sobie. Daisy uważała *Atak klonów* za najbardziej niedoceniany film z serii. Moim zdaniem był głupkowaty, ale lubiłam patrzeć, jak ona go ogląda. Dosłownie poruszała ustami przy każdej linijce dialogu.

Głównie jednak patrzyłam w ekran swojego telefonu. Przeglądałam artykuły o zniknięciu Picketta i szukałam czegoś związanego z biegaczami albo ich ustami. Chciałam dotrzymać obietnicy danej Noahowi, ale nie mogłam znaleźć żadnej poważnej poszlaki.

– Chciałabym lubić Jar Jara, bo wszyscy go nienawidzą, ale on naprawdę jest okropny – odezwała się Daisy. – Parę lat temu uśmierciłam go w fanfiku. Cudowne uczucie. – Poczułam ucisk w żołądku. Wbiłam wzrok w telefon. – Co oglądasz? – zapytała.

– Sprawdzam, czy nie pojawiło się nic nowego w sprawie Picketta. Noah strasznie się tym wszystkim przejmuje, a ja… po prostu chciałabym mu jakoś pomóc.

– Dziewczyno, dostałyśmy już nagrodę. Sprawa zamknięta. Twój problem polega na tym, że nie zauważasz swoich zwycięstw.

– Jasne – mruknęłam.

– Davis dał nam forsę, żebyśmy przestały węszyć. Więc przestańmy.

– Jasne – powtórzyłam. Wiedziałam, że Daisy ma rację, ale nie musiała okazywać mi tego w tak wredny sposób.

Myślałam, że to koniec rozmowy. Niestety kilka sekund później Daisy zatrzymała film.

– Słuchaj, to nie jest bajka, w której biedna dziewczyna bez grosza przy duszy wzbogaca się i uświadamia sobie, że prawda znaczy więcej niż bogactwo, więc dowodzi swojego heroizmu poprzez powrót do biedy, rozumiesz? Wszystkim jest lepiej, odkąd Pickett zniknął. Daj sobie z tym spokój.

– Nikt nie chce ci zabrać forsy – rzuciłam cicho.

– Uwielbiam cię, Holmesy, ale bądź rozsądna.

– Rozumiem – mruknęłam.

– Obiecujesz?

– No. Obiecuję.

– Pamiętaj: łamiemy serca, lecz nie łamiemy obietnic – powiedziała.

– Twierdzisz, że to twoja dewiza, ale dziewięćdziesiąt dziewięć procent czasu spędzasz z Mychalem – wytknęłam jej.

– Teraz akurat siedzę z tobą i Jar Jar Binksem – zauważyła.

Wróciłyśmy do oglądania filmu. Gdy się skończył, Daisy ścisnęła mnie za ramię, powiedziała „Buźka!” i popędziła do Mychala.

17

Wieczorem tego samego dnia dostałam SMS od Davisa.

On: Jesteś w domu?

Ja: Tak. Chcesz pogadać na FaceTimie?

On: Jest szansa na zobaczenie cię w realu?

Ja: Może i jest, ale w realu nie jestem taka fajna.

On: Ja cię lubię w realu. Teraz?

Ja: OK.

On: Ubierz się ciepło. Jest zimno, a niebo bezchmurne.

Wzięłam Harolda i pojechaliśmy do posiadłości Pickettów. Harold nie przepada za chłodem i zdawało mi się, że słyszę, jak ściska się jego mechaniczne serce, ale nie zawiódł mnie. Kochane autko.

Mimo zimowej kurtki i rękawiczek zmarzłam w drodze z podjazdu do domu Davisa. Kiedy pogoda jest ładna, niewiele się o niej myśli, ale gdy robi się tak zimno, że widzisz swój oddech, nie da się tego zignorować. To pogoda, a nie ty, decyduje, czy o niej myślisz.

Drzwi wejściowe otworzyły się przede mną. Davis siedział obok Noaha na kanapie, grając z nim w tę samą co zawsze grę z flotą kosmiczną.

– Cześć – powiedziałam.

– Cześć – rzucił Davis i wstał.

– Siema – mruknął Noah.

– Słuchaj, stary – rzekł do niego Davis. – Skoczę z Azą na krótki spacer, dobra? Niedługo wracam. – Wyciągnął rękę i zmierzwił bratu włosy.

– Spoko – mruknął Noah.

*

– Przeczytałam opowiadania Daisy – zaczęłam, gdy wyszliśmy z domu. Trawa na polu golfowym wciąż była idealnie przystrzyżona, choć jedyny golfista w rodzinie zniknął kilka miesięcy temu.

– Niezłe, co?

– Pewnie tak – odparłam. – Skupiłam się na tym, jaka okropna jest Ayala.

– Nie jest taka zła. Tylko nerwowa.

– Powoduje sto procent problemów w tych historyjkach.

Szturchnął mnie czule ramieniem.

– Ja tam ją nawet polubiłem, ale nie jestem obiektywny.

*

Obeszliśmy dookoła całą posiadłość i w końcu zatrzymaliśmy się przy basenie. Davis wcisnął coś na komórce i dach się otworzył. Usiedliśmy obok siebie na leżakach. Patrzyłam, jak woda z basenu paruje w zimnym powietrzu, a Davis odchylił się do tyłu i spoglądał w gwiazdy.

– Nie rozumiem, dlaczego on tak bardzo zamknął się w sobie, skoro ma do dyspozycji całą tę nieskończoność – rzekł.

– Kto?

– Noah. – Sięgnął do kieszeni kurtki, wyjął coś i obracał w dłoni. Początkowo myślałam, że to długopis, ale kiedy tak poruszało się rytmicznie w jego palcach niczym karty w palcach magika, uświadomiłam sobie, że to Iron Man. – Nie oceniaj mnie. To był kiepski tydzień.

– Po prostu Iron Man nie wydaje mi się aż takim superboha…

– Łamiesz mi serce, Azo. Widzisz Saturna? – Używając Iron Mana jako wskaźnika, opowiedział mi, jak można odróżnić planetę od gwiazdy i gdzie leżą poszczególne konstelacje. Dodał, że nasza galaktyka, podobnie jak wiele innych, jest wielką spiralą. – Wszystkie gwiazdy, które teraz widzimy, są częścią tej ogromnej spirali.

– Czy ona ma jakiś środek?

– Tak. Cała galaktyka obraca się wokół olbrzymiej czarnej dziury. Ale bardzo powoli. Nasz Układ Słoneczny potrzebuje około dwustu dwudziestu pięciu milionów lat, by okrążyć galaktykę.

Zapytałam, czy spirale galaktyk są nieskończone, a on odpowiedział, że nie. Potem zapytał o moje spirale.

Opowiedziałam mu o matematyku Kurcie Gödlu, który strasznie się bał, że go otrują, więc nie potrafił się zmusić do zjedzenia niczego, co nie zostało przygotowane przez jego żonę. Pewnego razu żona zachorowała i musiała iść do szpitala, więc Gödel przestał jeść. Z pewnością wiedział, że ryzyko zagłodzenia się jest większe niż ryzyko zostania otrutym, po prostu nie mógł jeść i zagłodził się na śmierć. Miał siedemdziesiąt jeden lat. Żył z demonem siedemdziesiąt jeden lat i w końcu z nim przegrał.

– Boisz się, że to samo stanie się z tobą? – zapytał Davis.

– To takie dziwne wiedzieć, że ma się szajbę, i nie móc nic w tej sprawie zrobić – odparłam. – To nie tak, że wydajesz się sobie zdrowy. Wiesz, że masz problem. Ale nie potrafisz znaleźć sposobu na jego naprawienie. Bo nie masz pewności. Jeśli jesteś Gödelem, po prostu nie możesz mieć pewności, że twoje jedzenie nie jest zatrute.

– Boisz się, że cię to spotka? – zapytał znowu.

– Boję się wielu rzeczy.

Rozmawialiśmy długo, a gwiazdy przemieszczały się nad naszymi głowami.

– Chcesz popływać? – zapytał w końcu Davis.

– Trochę zimno.

– Basen jest ogrzewany – powiedział. Wstał i zdjął koszulkę, a potem dżinsy. Przyglądałam mu się. Przyjemnie było patrzeć, jak zdejmuje spodnie. Był chudy, ale podobało mi się jego ciało – drobne, lecz mocno zarysowane mięśnie pleców, nogi pokryte gęsią

skórką. Drżał w chłodnym powietrzu, więc szybko wskoczył do wody. – Super! – zawołał.

– Nie mam stroju kąpielowego.

– Stanik i majtki to praktycznie to samo co bikini – zauważył.

Zaśmiałam się, zdjęłam kurtkę i wstałam.

– Mógłbyś się odwrócić?

Obrócił się do emitującego słabe światło terrarium, gdzie w swoim sztucznym lesie czyhała przyszła miliarderka.

Ściągnęłam dżinsy i zdjęłam bluzkę. Czułam się naga, choć niezupełnie tak było. Mimo to opuściłam ręce wzdłuż tułowia i powiedziałam:

– Dobra, możesz spojrzeć.

Ześliznęłam się do ciepłego basenu obok Davisa, który pod wodą objął mnie w talii, ale nie próbował całować.

Spojrzałam na terrarium za jego plecami. Tym razem udało mi się dostrzec siedzącą na gałęzi tuatarę, przyglądającą nam się jednym ze swych czerwono-czarnych oczu.

– Tua nas obserwuje – powiedziałam.

– Zboczona – wymamrotał i odwrócił się, by spojrzeć na tuatarę. Na jej zielonej skórze rosło coś w rodzaju żółtego mchu. W półotwartym pysku widać było zęby. Nagle machnęła ogonem przywodzącym na myśl miniaturowego krokodyla. Davis podskoczył, przycisnął się do mnie, po czym parsknął śmiechem. – Nienawidzę jej.

*

Po wyjściu omal nie zamarzliśmy. Nie mieliśmy ręczników, więc chwyciliśmy ubrania w ręce i pobiegliśmy do domu. Noah wciąż siedział na kanapie i grał w tę samą grę. Minęłam go i wbiegłam po marmurowych schodach.

Ubraliśmy się i przeszliśmy do pokoju Davisa. Davis postawił Iron Mana na stoliku przy łóżku, po czym przykląkł, by mi pokazać, jak działa teleskop. Wpisał w pilota jakieś współrzędne i teleskop sam zaczął zmieniać położenie. Kiedy się zatrzymał, Davis pochylił się i spojrzał w okular, po czym zrobił miejsce dla mnie.

– To Tau Ceti – powiedział. Niestety zbliżenie nie wystarczało do zobaczenia niczego z wyjątkiem ciemności i jednego drgającego kręgu białego światła. – Odległa o dwanaście lat świetlnych, podobna do naszego Słońca, lecz nieco mniejsza. Dwie z jej planet mogą się nadawać do zamieszkania. Prawdopodobnie nie ma tam żadnego życia, ale mogłoby być. To moja ulubiona gwiazda. – Zastanawiałam się, co takiego wyjątkowego może w niej być. Wyglądała jak każda inna. – Lubię na nią patrzeć i myśleć o tym, jak nasze Słońce wygląda dla kogoś w układzie Tau Ceti – wyjaśnił Davis. – Teraz widzą nasze światło sprzed dwunastu lat. W tamtym świetle moja mama pożyje jeszcze trzy lata. Dom dopiero wybudowano i rodzice wciąż się kłócą o wygląd kuchni. W tamtym świetle ty i ja jesteśmy dziećmi. Wszystko, co najlepsze i najgorsze, wciąż mamy przed sobą.

– Nadal mamy przed sobą wszystko, co najlepsze i najgorsze – zauważyłam.

– Oby nie – odparł. – Mam szczerą nadzieję, że najgorsze jest już za mną.

Oderwałam wzrok od dwunastoletniego światła Tau Ceti i spojrzałam na Davisa. Ujęłam go za rękę. Część mnie chciała mu wyznać miłość, ale druga część nie była pewna, czy to właściwe słowo. Nasze serca były złamane w tych samych miejscach. To przypominało miłość, lecz może niezupełnie nią było.

Śmierć członka rodziny jest okropnym przeżyciem. Wiedziałam, co ma na myśli Davis, gdy mówi o szukaniu pociechy w dwunastoletnim świetle. Za trzy lata znajdzie sobie inną gwiazdę, oddaloną o kilka lat więcej. Kiedy czas i ją dogoni, poszuka dalszej, a potem jeszcze dalszej, bo nie można pozwolić, by światło dogoniło teraźniejszość. Inaczej się zapomina.

Dlatego lubiłam oglądać zdjęcia taty. To było dokładnie to samo. Zdjęcia to tak naprawdę światło i czas.

– Powinnam iść – powiedziałam cicho.

– Zobaczymy się w weekend?

– OK.

– Może tym razem posiedzimy u ciebie? – zapytał.

– Jasne – zgodziłam się. – Jeśli nie przeszkadza ci marudzenie mojej mamy.

Zapewnił, że nie. Przytuliliśmy się na pożegnanie. Gdy wychodziłam, Davis znów klęczał przy teleskopie.

*

Po powrocie do domu powiedziałam mamie, że Davis chciałby do nas wpaść w weekend.

– Chodzicie ze sobą? – zapytała.

– Chyba tak – odparłam.

– Traktuje cię jak równą sobie?

– Tak.

– Słucha ciebie w tym samym stopniu, w jakim ty słuchasz jego?

– Nie jestem zbyt dobra w prowadzeniu rozmowy. Ale owszem, słucha mnie. Jest naprawdę fajny. Poza tym w pewnym momencie po prostu musisz mi zaufać, wiesz?

Westchnęła.

– Jedyne, czego pragnę, to cię uchronić. Przed zranieniem, przed stresem i tak dalej. – Przytuliłyśmy się. – Wiesz, że cię kocham.

Uśmiechnęłam się.

– Wiem, mamo. O to zdecydowanie nie musisz się martwić.

drgającego kręgu białego światła. – Odległa o dwanaście lat świetlnych, podobna do naszego Słońca, lecz nieco mniejsza. Dwie z jej planet mogą się nadawać do zamieszkania. Prawdopodobnie nie ma tam żadnego życia, ale mogłoby być. To moja ulubiona gwiazda. – Zastanawiałam się, co takiego wyjątkowego może w niej być. Wyglądała jak każda inna. – Lubię na nią patrzeć i myśleć o tym, jak nasze Słońce wygląda dla kogoś w układzie Tau Ceti – wyjaśnił Davis. – Teraz widzą nasze światło sprzed dwunastu lat. W tamtym świetle moja mama pożyje jeszcze trzy lata. Dom dopiero wybudowano i rodzice wciąż się kłócą o wygląd kuchni. W tamtym świetle ty i ja jesteśmy dziećmi. Wszystko, co najlepsze i najgorsze, wciąż mamy przed sobą.

– Nadal mamy przed sobą wszystko, co najlepsze i najgorsze – zauważyłam.

– Oby nie – odparł. – Mam szczerą nadzieję, że najgorsze jest już za mną.

Oderwałam wzrok od dwunastoletniego światła Tau Ceti i spojrzałam na Davisa. Ujęłam go za rękę. Część mnie chciała mu wyznać miłość, ale druga część nie była pewna, czy to właściwe słowo. Nasze serca były złamane w tych samych miejscach. To przypominało miłość, lecz może niezupełnie nią było.

Śmierć członka rodziny jest okropnym przeżyciem. Wiedziałam, co ma na myśli Davis, gdy mówi o szukaniu pociechy w dwunastoletnim świetle. Za trzy lata znajdzie sobie inną gwiazdę, oddaloną o kilka lat więcej. Kiedy czas i ją dogoni, poszuka dalszej, a potem jeszcze dalszej, bo nie można pozwolić, by światło dogoniło teraźniejszość. Inaczej się zapomina.

Dlatego lubiłam oglądać zdjęcia taty. To było dokładnie to samo. Zdjęcia to tak naprawdę światło i czas.

– Powinnam iść – powiedziałam cicho.

– Zobaczymy się w weekend?

– OK.

– Może tym razem posiedzimy u ciebie? – zapytał.

– Jasne – zgodziłam się. – Jeśli nie przeszkadza ci marudzenie mojej mamy.

Zapewnił, że nie. Przytuliliśmy się na pożegnanie. Gdy wychodziłam, Davis znów klęczał przy teleskopie.

*

Po powrocie do domu powiedziałam mamie, że Davis chciałby do nas wpaść w weekend.

– Chodzicie ze sobą? – zapytała.

– Chyba tak – odparłam.

– Traktuje cię jak równą sobie?

– Tak.

– Słucha ciebie w tym samym stopniu, w jakim ty słuchasz jego?

– Nie jestem zbyt dobra w prowadzeniu rozmowy. Ale owszem, słucha mnie. Jest naprawdę fajny. Poza tym w pewnym momencie po prostu musisz mi zaufać, wiesz?

Westchnęła.

– Jedyne, czego pragnę, to cię uchronić. Przed zranieniem, przed

stresem i tak dalej. – Przytuliłyśmy się. – Wiesz, że cię kocham.

Uśmiechnęłam się.

– Wiem, mamo. O to zdecydowanie nie musisz się martwić.

*

Gdy już położyłam się do łóżka, zajrzałam na blog Davisa.

„Wątp, czy gwiazdy lśnią na niebie;
Wątp o tym, czy słońce wschodzi”[14]
William Shakespeare

Słońce oczywiście się nie porusza – to znaczy porusza się, ale nie wokół nas. Nawet Shakespeare wierzył w oczywistości, które okazały się nieprawdziwe. Któż wie, w jakie kłamstwa wierzymy ja lub ty. Któż wie, w co nie powinniśmy wątpić.

Dziś, pod rozgwieżdżonym niebem, zapytała mnie: „Dlaczego wszystkie wpisy o mnie zaczynasz cytatami z »Burzy«? Czy to dlatego, że jesteśmy rozbitkami?”.

Tak. Jesteśmy rozbitkami.

Przeczytałam to i na wszelki wypadek kliknęłam „odśwież”. Miałam nosa – pojawił się kolejny wpis, wrzucony przed kilkoma minutami.

„W muzyce klasycznej istnieje wyrażenie »Wyjść na łąkę«. Tak określa się wieczory, których nie da się opisać inaczej: chwile, gdy znikały ściany, pulpity, nawet instrumenty. Nie było sufitu, nie było podłogi – wszyscy wyszliśmy na łąkę. To opisuje pewien stan ducha”
Tom Waits

Wiem, że ona teraz to czyta. (Cześć!) Miałem dziś wrażenie, że wyszliśmy na łąkę, tyle że bez muzyki. Najlepsze rozmowy to te, których treści później nie pamiętasz, ale pamiętasz, jak się czułeś. Było tak, jakbyśmy wcale nie leżeli przy basenie. Jakbyśmy byli w jakimś miejscu, którego nie można odwiedzić fizycznie: miejscu bez

sufitu, bez ścian, bez podłogi i bez instrumentów.

Zamiast tym miłym akcentem zakończyć wieczór, postanowiłam podręczyć się lekturą kolejnych opowiadań o Ayali.

Nie rozumiałam, jak Davis może ją lubić. Była okropna – całkowicie skupiona na sobie i wiecznie irytująca. W scenie opisującej jakieś przyjęcie Rey mówiła: „Oczywiście kiedy w pobliżu jest Ayala, nie ma co mówić o prawdziwej imprezie, bo impreza jest wtedy, gdy ludzie się bawią".

W końcu zamknęłam stronę z opowiadaniami, ale nie mogłam się zmusić, żeby wyłączyć komputer i iść spać. Zamiast tego wylądowałam na Wikipedii, poczytałam trochę o fanfikach i *Gwiezdnych wojnach*, a potem z przyzwyczajenia zajrzałam do starych dobrych artykułów o ludzkim mikrobiomie oraz badaniach nad tym, jak składniki mikrobiomu kształtują, a niekiedy zabijają człowieka.

Trafiłam między innymi na takie zdanie: „Mózgi ssaków otrzymują stały strumień interoceptywnych danych z przewodu pokarmowego, który łączy się z innymi informacjami interoceptywnymi z wnętrza ciała oraz informacjami kontekstualnymi ze środowiska, po czym wysyłają zintegrowaną odpowiedź do komórek docelowych wewnątrz przewodu pokarmowego poprzez coś, co powszechnie nazywa się osią jelitowo-mózgową, choć lepsze byłoby określenie »jelitowo-mózgowy cykl informacyjny«".

Wiem, że takie zdania nie napełniają większości ludzi grozą, ale ja zamarłam. Oni pisali, że moje bakterie mają wpływ na moje myślenie – może nie bezpośredni, lecz poprzez informacje, które każą jelitom wysyłać do mózgu. *Może to wcale nie ty w tej chwili myślisz. Może twoje myśli są zainfekowane.* Nie powinnam była tego czytać. Powinnam była pójść spać. *Za późno.*

Sprawdziłam, czy spod drzwi nie dobiega światło. Najwyraźniej mama już spała, więc wymknęłam się do łazienki. Zmieniłam plaster i dokładnie przyjrzałam się staremu. Miał na sobie krew. Niewiele, ale jednak. Był lekko zaróżowiony.

Nie ma infekcji. Krwawię, bo rana się nie zasklepiła. *Skąd wiesz, że nie ma*? Nie ma i już. *Jesteś pewna? Oczyszczałaś ją dziś rano?*

Pewnie tak. Zawsze to robię. *Jesteś pewna?* Idź do diabła!

Umyłam ręce, przykleiłam nowy plaster, ale byłam już kompletnie rozbita. Cichutko otworzyłam apteczkę. Wyjęłam nowy środek odkażający do rąk o zapachu aloesu. Wypiłam łyk. Potem drugi. Zakręciło mi się w głowie. Nie możesz tego robić, to czysty spirytus. Rozchorujesz się. *Lepiej wypij jeszcze trochę.* Wylałam kilka kropel na język. Dość. Jesteś już czysta. *Jeszcze jeden łyk.* Popiłam. Bulgotało mi w jelitach, bolał żołądek.

Kiedy pozbywasz się zdrowych bakterii, możesz złapać Clostridium difficile. Bądź ostrożna. Super. Najpierw każesz mi pić, a potem straszysz.

Wróciłam do pokoju i leżałam na kołdrze, spocona, lepka, nieruchoma jak trup. Nie mogłam zebrać myśli. Picie płynu do rąk nie uczyni cię zdrowszą, idiotko. *One potrafią rozmawiać z twoim mózgiem. One mogą mu powiedzieć, co ma myśleć, a ty nie możesz. Więc kto tu rządzi?* Proszę, przestań.

Próbowałam wyłączyć tę myśl, ale byłam jak pies na smyczy, który może się oddalać tylko dopóty, dopóki szarpnięcie za gardło nie pociągnie go z powrotem. Mój brzuch burczał coraz głośniej.

Nic nie pomagało. Nawet poddanie się dręczącej myśli przyniosło tylko chwilową ulgę. Wróciłam do pytania, które zadała mi doktor Singh kilka lat temu, kiedy zaczęłam mieć te problemy: „Czy czujesz, że możesz stanowić zagrożenie dla siebie?”. Ale jakie zagrożenie i dla której siebie? Byłam zagrożeniem, ale nie potrafiłam sprecyzować, dla kogo lub czego. W tej wielkiej abstrakcji mieszały się podmioty i dopełnienia, a wszystkie słowa pochłaniało coś niewysłowionego. *Ty to my. Ty to ty. Ty to ona, ono, oni. Królestwo za „ja”.*

Czułam, że się sobie wymykam, tyle że to też metafora. Osuwam się gdzieś. Nie potrafię opisać tego wrażenia inaczej niż jako uczucie, że ja to nie ja. Że ukuto mnie w kuźni cudzej duszy. Proszę, wypuśćcie mnie. Ktokolwiek pisze tę historię, niech mnie uwolni. Zrobię wszystko, by się wydostać.

Nie ma ucieczki. Dwa, trzy, cztery płatki. I kolejne, kolejne, kolejne.

14 William Shakespeare, *Hamlet*, przeł. Józef Paszkowski.

18

Mama zbudziła mnie o szóstej pięćdziesiąt.

– Przespałaś budzik? – zapytała.

Uchyliłam powieki. W pokoju wciąż było ciemno.

– Nic mi nie jest – powiedziałam.

– Na pewno?

– Na pewno.

Wygramoliłam się z łóżka. Trzydzieści dwie minuty później byłam w szkole. Nie wyglądałam idealnie, ale dawno już przestałam się starać robić wrażenie na społeczności liceum White River.

Daisy siedziała samotnie na schodach.

– Wyglądasz, jakbyś wciąż spała – zauważyła, gdy do niej podeszłam.

Nad naszymi głowami wisiały chmury. Był to jeden z tych dni, kiedy istnienie słońca nie wydaje się pewne.

– Miałam długą noc. A co u ciebie?

– Wszystko OK, nie licząc tego, że ostatnio zbyt rzadko widuję się ze swoją najlepszą koleżanką. Skoczymy po południu do Applebee's?

– Spoko – powiedziałam.

– Musiałam pożyczyć mamie samochód. Mogę pojechać z tobą?

*

Przetrwałam lunch, tradycyjne polunchowe spotkanie z mamą ubolewającą nad moimi podkrążonymi oczami, historię i statystykę. W każdej sali wysysające duszę światło jarzeniówek rzucało na wszystko chorobliwy poblask i dzień wlókł się potwornie, póki wreszcie nie oswobodził mnie ostatni dzwonek. Dowlokłam się do Harolda, klapnęłam na fotel kierowcy i czekałam na Daisy.

Ostatniej nocy niewiele spałam. Nie potrafiłam pozbierać myśli. Płyn do odkażania to praktycznie czysty spirytus. Nie można go tak po prostu pić. Pewnie powinnam zadzwonić do doktor Singh, ale wtedy musiałabym połączyć się z rejestracją i tłumaczyć obcej osobie ze swojej szajby. Poza tym nie mogłam znieść myśli o tym, że doktor Singh oddzwoni i tym współczującym tonem zapyta, czy łykam codziennie lekarstwo. A przecież ono i tak nie działa. Nic nie działa. Trzy różne leki, pięć lat terapii behawioralno-poznawczej i co?

Wzdrygnęłam się na dźwięk otwieranych drzwiczek.

– Wszystko OK? – zapytała Daisy.

– Tak – powiedziałam i uruchomiłam Harolda. Wyprostowałam się, wycofałam auto z parkingu i czekałam w kolejce do wyjazdu z terenu szkoły.

– Nawet się zbytnio nie postarałaś, żeby zmienić mi imię. – Mój głos zabrzmiał trochę piskliwie. Cóż, ważne, że w ogóle go z siebie wydobyłam.

– Co?

– Ayala, Aza. Początek alfabetu, koniec i z powrotem. Ma natręctwa. Ma moją osobowość. Każdy, kto to czyta, wie, że tak naprawdę chodzi o mnie. Mychal. Davis. Pewnie każda osoba w szkole.

– Azo – zdumiała się Daisy – ty chyba nie…

– Och, nie pieprz.

– Zaczęłam je pisać, gdy miałyśmy po jedenaście lat, a ty nigdy nie przeczytałaś ani jednego.

– Nie prosiłaś.

– Właśnie że prosiłam. I to nie raz. Na początku. Potem zmęczyły mnie twoje puste zapewnienia. Poza tym czy naprawdę musiałam cię prosić? Mogłaś na trzy sekundy oderwać się od wiecznego rozczulania się nad sobą i pomyśleć o innych. Wprowadziłam Ayalę chyba w siódmej klasie. To było wredne, ale w tej chwili jest już samodzielną postacią. Nie tobą, rozumiesz? – Wciąż posuwałyśmy się przez parking w żółwim tempie. – Słuchaj, uwielbiam cię i wiem, że to nie twoja wina, ale twoje lęki naprawdę przyciągają katastrofy.

W końcu udało mi się wyjechać ze szkoły i ruszyć wzdłuż

Meridian Street w stronę autostrady. Daisy oczywiście nawijała dalej. Jak zawsze.

– Przepraszam, wystarczy? Powinnam była już dawno uśmiercić Ayalę. Ale chyba masz rację. W ten sposób radzę sobie z… Bo widzisz, Holmesy, ty naprawdę jesteś męcząca!

– Jasne. Przez ostatnie miesiące nasza przyjaźń nie przyniosła ci nic oprócz pięćdziesięciu tysięcy dolarów i chłopaka. Masz rację, jestem okropna. Jak to mnie nazwałaś w tej swojej historyjce? Bezużyteczna. Jestem bezużyteczna.

– Azo, ona nie jest tobą! Ty po prostu jesteś… potwornie skupiona na sobie. Wiem, że masz problemy psychiczne i tak dalej, ale one sprawiają, że… no wiesz.

– Właśnie że nie wiem. Że co?

– Mychal powiedział kiedyś, że przypominasz musztardę. W małych ilościach jesteś świetna, ale w dużych… – Milczałam. – Przepraszam. Niepotrzebnie to mówiłam.

Zatrzymałyśmy się na czerwonym świetle. Gdy zapaliło się zielone, mocno dodałam gazu. Czułam, jak płoną mi policzki. Nie wiedziałam, czy zbiera mi się na płacz, czy na krzyk. A Daisy wciąż gadała.

– Wiesz, co mam na myśli. Jak mają na imię moi rodzice?

Nie odpowiedziałam. Nie znałam odpowiedzi. Wzięłam głęboki oddech, starając się uspokoić dudniące serce. Nie potrzebowałam Daisy, by wiedzieć, jaka jestem beznadziejna.

– Gdzie pracują? Kiedy ostatnio u mnie byłaś, pięć lat temu? Podobno jesteśmy najlepszymi koleżankami, Holmesy, a ty nawet nie wiesz, czy mam jakieś zwierzę w domu. Nie masz pojęcia o moim życiu, bo jesteś tak patologicznie niezainteresowana, że nawet nie wiesz, czego nie wiesz.

– Masz kota – próbowałam zgadywać.

– Nie wiesz kompletnie nic. Twoje życie jest tak cholernie łatwe. Może twoja mama i ty jesteście biedne, skoro tak twierdzisz, ale przynajmniej masz jakąś bazę. Masz samochód, laptopa i tak dalej. I uważasz, że to normalne. Uważasz, że to normalne mieć dom, własny pokój i mamę, która pomaga ci w nauce. Nie uważasz się za uprzywilejowaną, ale masz wszystko. Nie wiesz, jak to wygląda u mnie, i nie pytasz. Mieszkam w pokoju ze swoją denerwującą

ośmioletnią siostrą, której imienia nawet nie znasz. Krytykujesz mnie za to, że kupiłam samochód, zamiast oszczędzać na studia, a o niczym nie masz pojęcia. Chcesz, żebym była bezinteresowną bohaterką, która jest zbyt dobra, by przyjąć pieniądze, ale to wszystko są bzdury! Bieda nie czyni człowieka lepszym ani nic z tych rzeczy. Bieda to syf. Nie znasz mojego życia. Nie zadałaś sobie trudu, by je poznać, więc nie waż się mnie oceniać!

– Ma na imię Elena – powiedziałam cicho.

– Uważasz, że jest ci ciężko, i jestem pewna, że z twojego punktu widzenia naprawdę tak jest. Nie zrozumiesz, że ze mną jest inaczej, bo twoje przywileje są dla ciebie jak tlen. Myślałam, że forsa uczyni nas równymi. Zawsze próbowałam ci dorównać. Myślałam, że jeśli będę pisać na smartfonie tak szybko, jak ty na komputerze, zbliżymy się do siebie, ale zamiast tego czułam… że jesteś, no nie wiem, rozpieszczona? Masz to wszystko od zawsze i nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo ułatwia ci to życie, bo nigdy nie myślisz o życiu innych osób.

Czułam, że zaraz zwymiotuję. Wjechałyśmy na autostradę. Huczało mi w głowie: nienawidziłam siebie, nienawidziłam Daisy, myślałam, że ona ma rację, że się myli, że zasłużyłam sobie na to wszystko i że nie zasłużyłam.

– Myślisz, że mnie jest łatwo?

– Nie mówi…

Obróciłam się do niej.

– Przestań gadać. Jezu, od dziesięciu lat nie zamyka ci się gęba. Przykro mi, że spotkania ze mną nie są fajne, bo za bardzo utknęłam w swojej głowie, ale wyobraź sobie, jakie to uczucie naprawdę utknąć w swojej głowie i nie móc się wydostać, nie mieć ani chwili wytchnienia od tego. Używając pomysłowej analogii Mychala, wyobraź sobie, że nie jesz nic oprócz musztardy, że cały czas masz ją wokół siebie, i jeśli tak bardzo mnie nienawidzisz, to przestań mnie prosić o…

– Holmes!!! – krzyknęła, ale było za późno. Zdążyłam jedynie zauważyć, że samochody przed nami zwolniły, a ja wciąż przyspieszam. Nie miałam nawet czasu na wciśnięcie hamulca, nim uderzyłyśmy w jadącego przed nami SUV-a. Chwilę później coś trzasnęło w nas z tyłu. Pisk opon, klakson. Kolejne, słabsze

uderzenie. A potem cisza.

Próbowałam złapać oddech. Słabo mi szło, bo każda próba bolała.

Zaklęłam. Z moich ust wydobyło się jedynie nieartykułowane „aaagh”. Chciałam otworzyć drzwi i zobaczyłam, że wciąż mam zapięty pas. Spojrzałam na Daisy, która wpatrywała się we mnie.

– Wszystko OK?

Uświadomiłam sobie, że stękam przy każdym wydechu. W uszach mi dzwoniło.

– Tak – wychrypiałam. – A z tobą?

Od bólu kręciło mi się w głowie. Na skraju pola widzenia skradała się ciemność.

– Chyba też.

Walczyłam o oddech. Świat zwęził się do rozmiarów tunelu.

– Zostań w samochodzie, Holmesy – powiedziała Daisy. – Jesteś ranna. Masz telefon? Musimy zadzwonić na 911.

Telefon. Rozpięłam pas i pchnięciem otworzyłam drzwi. Próbowałam wstać, ale ból wbił mnie z powrotem w fotel Harolda. Do diabła, Harold! Kobieta w stroju bizneswoman przyklękła przy mnie. Mówiła, żebym się nie ruszała. Nic z tego. Podniosłam się. Ból na chwilę mnie zamroczył, ale gdy czarne plamki się rozproszyły, mogłam oszacować straty.

Przód i tył Harolda były tak zgniecione, że wyglądał jak odczyt z sejsmografu, nie licząc części pasażerskiej, która pozostała nienaruszona. Harold nigdy mnie nie zawodził – nawet wtedy, gdy ja zawodziłam jego. Wspierając się o bok auta, dowlokłam się do bagażnika i próbowałam go otworzyć. Nie dało się. Zaczęłam uderzać pięściami w karoserię.

– Kurwa, nie! Boże, nie, nie! – wrzeszczałam. – Skasowałam go! Skasowałam!

– Chyba żartujesz. – Daisy pojawiła się obok mnie. – Rozpaczasz nad jakimś cholernym samochodem? To tylko auto, Daisy! Omal nie zginęłyśmy, a ty się przejmujesz autem?

Dalej waliłam w bagażnik, aż spadła tablica rejestracyjna, ale wciąż nie dało się go otworzyć.

– Opłakujesz s a m o c h ó d?

Widziałam zasuwkę, ale nie mogłam jej otworzyć, a ilekroć próbowałam, zamraczał mnie ból żeber. W końcu jakimś cudem

zamek ustąpił i pokrywa uniosła się na tyle, że mogłam wcisnąć rękę do środka i wymacać telefon taty. Miał strzaskany ekran.

Wcisnęłam przycisk „power”, ale pod gałęziami popękanego szkła ekran jedynie zaświecił mętnym szarym światłem. Powlokłam się z powrotem do fotela kierowcy i klapnęłam, opierając czoło o kierownicę.

Wiedziałam, że zdjęcia zostały skopiowane i że tak naprawdę nic nie przepadło. Ale to był jego telefon! Tata go trzymał, rozmawiał przez niego. Robił mi nim zdjęcia.

Głaskałam kciukiem rozbity ekran i płakałam, póki ktoś nie położył mi dłoni na ramieniu.

– Jestem Franklin. Strażak. Miałaś wypadek. Spróbuj się nie ruszać. Pogotowie już jedzie. Jak masz na imię?

– Aza. Nic mi nie jest.

– Postaraj się siedzieć bez ruchu, Azo. Wiesz, jaki dziś dzień?

– To telefon mojego taty – powiedziałam. – On z niego dzwonił i…

– Samochód też jest jego? Martwisz się, że tata się rozgniewa? Azo, wykonuję tę pracę od dawna i przysięgam, że tata nie będzie wściekły. Będzie szczęśliwy, że jesteś cała.

Czułam się, jakby coś rozdzierało mnie od środka. Supernowa wszystkich moich jaźni jednocześnie eksplodowała i zapadała się jednocześnie. Płacz bolał, ale nie płakałam od tak dawna, że gdy już zaczęłam, wcale nie miałam ochoty przestać.

– Gdzie cię boli? – zapytał strażak.

Wskazałam prawą stronę klatki piersiowej. Podeszła jakaś kobieta i zaczęła rozmawiać z Franklinem o tym, czy potrzebują deski ortopedycznej. Próbowałam powiedzieć, że mam zawroty głowy, po czym poczułam, że się osuwam, choć nie bardzo było gdzie.

*

Obudziłam się przypięta do deski, ze wzrokiem wbitym w dach karetki pogotowia. Jakiś facet przyciskał mi do twarzy maskę tlenową, gdzieś daleko wyły syreny, a w uszach wciąż dzwoniło. Potem spadałam, spadałam, spadałam. Ocknęłam się na szpitalnym

korytarzu. Leżałam na łóżku. Mama pochylała się nade mną, a z jej zaczerwienionych oczu spływał makijaż.

– O Boże, córeczko, jak się czujesz?

– Nic mi nie jest – powiedziałam. – Złamałam żebro czy coś w tym stylu. Ale telefon taty się stłukł.

– To nic. Mamy skopiowaną całą zawartość. Zadzwonili do mnie i powiedzieli, że jesteś ranna, ale nie powiedzieli, czy… – Urwała i znów się rozpłakała, osuwając się w ramiona Daisy, którą dopiero teraz zauważyłam. Miała czerwone wybrzuszenie na obojczyku.

Odwróciłam się od nich i patrzyłam na jaskrawe fluorescencyjne światło nad swoim łóżkiem. Po twarzy spływały mi łzy.

– Nie mogę stracić także ciebie – odezwała się w końcu mama.

Przyszła jakaś kobieta i zabrała mnie na tomografię. Trochę mi ulżyło, że na chwilę oddalę się od mamy i Daisy, odsunę od siebie strach i poczucie, że jestem taką okropną córką i koleżanką.

– Wypadek samochodowy? – zapytała kobieta, przepychając moje łóżko obok wykaligrafowanego na ścianie słowa ŻYCZLIWOŚĆ.

– Tak.

– Pasy ratują życie, ale potrafią zranić – zauważyła.

– Pewnie tak. Będę musiała brać antybiotyki?

– O to musisz zapytać swoją lekarkę. Przyjdzie, gdy skończymy badanie.

Podali mi przez kroplówkę coś, co sprawiło, że poczułam się, jakbym sikała w majtki, przepuścili mnie przez cylinder tomografu i w końcu oddali rozedrganej mamie. Nie mogłam wyrzucić z pamięci jej łamiącego się głosu, gdy mówiła, że nie może stracić także mnie. Czułam jej zdenerwowanie, gdy przechadzała się w tę i we w tę, wymieniając SMS-y z wujostwem z Teksasu, robiła długie wydechy przez zaciśnięte usta, ocierała chusteczką rozmazany makijaż.

Daisy ten jeden raz nie gadała zbyt wiele.

– Jeśli chcesz jechać do domu, to nie ma sprawy – powiedziałam do niej w pewnym momencie.

– A chcesz, żebym pojechała? – zapytała.

– To zależy od ciebie – odparłam. – Serio.

– Zostanę – oznajmiła i siedziała cicho, popatrując to na mnie,

to na mamę i z powrotem na mnie.

19

– Mam dwie wiadomości: dobrą i złą – oznajmiła kobieta w granatowym kombinezonie zaraz po wejściu do sali. – Zła wiadomość: masz uszkodzoną wątrobę. Dobra wiadomość: nieznacznie. Będziemy cię bacznie obserwować przez kilka następnych dni, żeby się upewnić, że krwawienie się nie nasili, a przez kilka tygodni będziesz odczuwała ból, ale od razu zapiszę ci środek na uśmierzenie, żeby zminimalizować dyskomfort. Pytania?

– Więc córka wyzdrowieje? – zapytała mama.

– Tak. Jeśli krwawienie się nasili, potrzebna będzie operacja, jednak zdaniem radiologa jest to bardzo mało prawdopodobne. To najłagodniejsze uszkodzenie wątroby, jakie mogło się zdarzyć. W tych okolicznościach pani córka miała sporo szczęścia.

– Wyzdrowieje – mruknęła do siebie mama.

– Jak już mówiłam, przez kilka dni będziemy ją obserwować, a potem jeszcze przez jakiś tydzień będzie musiała leżeć. Za mniej więcej sześć tygodni powinna znów być sobą.

Mama rozpłynęła się we łzach wdzięczności, a ja mieliłam w głowie sformułowanie „znów być sobą”.

– Muszę brać antybiotyki? – zapytałam.

– Nie. Gdyby konieczna okazała się operacja, wówczas owszem, ale na razie nie ma takiej potrzeby.

Przeszył mnie dreszcz ulgi. Brak antybiotyków to brak zwiększonego ryzyka złapania *Clostridium difficile*. Teraz tylko musiałam się stąd jak najszybciej wydostać.

Zapytała, czy biorę jakieś leki. Powiedziałam. Zapisała je sobie w notesie.

– Niedługo ktoś przyjdzie i zawiezie cię na górę, a tymczasem dostaniesz coś przeciwbólowego.

– Jak to „na górę”? – zapytałam.

– Jak już mówiłam, musisz tu zostać na kilka dni, żeby…

– Co? Nie ma mowy! Nie mogę zostać w szpitalu!

– Kochanie – wtrąciła mama – to konieczne…

– Nie! Naprawdę nie mogę. Naprawdę… gdzie jak gdzie, ale w szpitalu absolutnie nie mogę dziś zostać. Błagam, niech nas pani wypuści do domu.

– To niewskazane.

Jezu. Słuchaj, nic się nie dzieje. Większość osób przyjętych do szpitala wychodzi z niego zdrowsza, niż przyszła. W zasadzie prawie wszyscy. Zarażenia *Clostridium difficile* są powszechne jedynie wśród pacjentów po operacjach. A ty nie dostaniesz nawet antybiotyków. *Nie, nie, nie, nie, nie*!

– Tak.

– Pasy ratują życie, ale potrafią zranić – zauważyła.

– Pewnie tak. Będę musiała brać antybiotyki?

– O to musisz zapytać swoją lekarkę. Przyjdzie, gdy skończymy badanie.

Podali mi przez kroplówkę coś, co sprawiło, że poczułam się, jakbym sikała w majtki, przepuścili mnie przez cylinder tomografu i w końcu oddali rozedrganej mamie. Nie mogłam wyrzucić z pamięci jej łamiącego się głosu, gdy mówiła, że nie może stracić także mnie. Czułam jej zdenerwowanie, gdy przechadzała się w tę i we w tę, wymieniając SMS-y z wujostwem z Teksasu, robiła długie wydechy przez zaciśnięte usta, ocierała chusteczką rozmazany makijaż.

Daisy ten jeden raz nie gadała zbyt wiele.

– Jeśli chcesz jechać do domu, to nie ma sprawy – powiedziałam do niej w pewnym momencie.

– A chcesz, żebym pojechała? – zapytała.

– To zależy od ciebie – odparłam. – Serio.

– Zostanę – oznajmiła i siedziała cicho, popatrując to na mnie, to na mamę i z powrotem na mnie.

19

– Mam dwie wiadomości: dobrą i złą – oznajmiła kobieta w granatowym kombinezonie zaraz po wejściu do sali. – Zła wiadomość: masz uszkodzoną wątrobę. Dobra wiadomość:

nieznacznie. Będziemy cię bacznie obserwować przez kilka następnych dni, żeby się upewnić, że krwawienie się nie nasili, a przez kilka tygodni będziesz odczuwała ból, ale od razu zapiszę ci środek na uśmierzenie, żeby zminimalizować dyskomfort. Pytania?

– Więc córka wyzdrowieje? – zapytała mama.

– Tak. Jeśli krwawienie się nasili, potrzebna będzie operacja, jednak zdaniem radiologa jest to bardzo mało prawdopodobne. To najłagodniejsze uszkodzenie wątroby, jakie mogło się zdarzyć. W tych okolicznościach pani córka miała sporo szczęścia.

– Wyzdrowieje – mruknęła do siebie mama.

– Jak już mówiłam, przez kilka dni będziemy ją obserwować, a potem jeszcze przez jakiś tydzień będzie musiała leżeć. Za mniej więcej sześć tygodni powinna znów być sobą.

Mama rozpłynęła się we łzach wdzięczności, a ja mieliłam w głowie sformułowanie „znów być sobą".

– Muszę brać antybiotyki? – zapytałam.

– Nie. Gdyby konieczna okazała się operacja, wówczas owszem, ale na razie nie ma takiej potrzeby.

Przeszył mnie dreszcz ulgi. Brak antybiotyków to brak zwiększonego ryzyka złapania *Clostridium difficile*. Teraz tylko musiałam się stąd jak najszybciej wydostać.

Zapytała, czy biorę jakieś leki. Powiedziałam. Zapisała je sobie w notesie.

– Niedługo ktoś przyjdzie i zawiezie cię na górę, a tymczasem dostaniesz coś przeciwbólowego.

– Jak to „na górę"? – zapytałam.

– Jak już mówiłam, musisz tu zostać na kilka dni, żeby…

– Co? Nie ma mowy! Nie mogę zostać w szpitalu!

– Kochanie – wtrąciła mama – to konieczne…

– Nie! Naprawdę nie mogę. Naprawdę… gdzie jak gdzie, ale w szpitalu absolutnie nie mogę dziś zostać. Błagam, niech nas pani wypuści do domu.

– To niewskazane.

Jezu. Słuchaj, nic się nie dzieje. Większość osób przyjętych do szpitala wychodzi z niego zdrowsza, niż przyszła. W zasadzie prawie wszyscy. Zarażenia *Clostridium difficile* są powszechne

jedynie wśród pacjentów po operacjach. A ty nie dostaniesz nawet antybiotyków. Nie, nie, nie, nie, nie!

*

Trudno było o miejsce bardziej wpychające mnie w zacieśniającą się spiralę niż czwarte piętro szpitala w Carmel w stanie Indiana.

Gdy zabrali mnie na górę, Daisy pojechała do domu, a mama została. Leżała na rozkładanym krześle przodem do mnie.

Nocą, gdy zasnęła, czułam na sobie jej oddech. Uchylone usta, rozmazane zamknięte oczy, mikroby z jej płuc na moim policzku. Nie mogłam obrócić się na bok, bo mimo leków bolało mnie jak diabli, a kiedy odwracałam głowę, mama dmuchała mi we włosy i te opadały na twarz, więc dałam spokój.

Poruszyła się i spojrzała mi w oczy.

– Wszystko OK?

– Tak – powiedziałam.

– Boli?

Kiwnęłam głową.

– Sekou Sundiata napisał w jednym z wierszy, że najważniejszą częścią ciała nie są płuca, serce czy mózg. Najważniejsza jest ta część, która boli. – Położyła dłoń na moim nadgarstku i znów zasnęła.

Ja nie mogłam spać, choć nafaszerowali mnie morfiną czy czymś. Słyszałam pikanie aparatury w sąsiednich salach, było nie dość ciemno, co rusz pojawiali się obcy ludzie z dobrymi intencjami, by pobrać mi krew albo zbadać ciśnienie, a co najgorsze, wiedziałam: wiedziałam, że *Clostridium difficile* właśnie wnika do mojego ciała. Że unosi się w powietrzu. Przeglądałam na telefonie historie pacjentów, którzy przyszli do szpitala na operację woreczka żółciowego albo kamieni nerkowych, a wyszli jako ludzkie wraki.

Problem z *Clostridium* jest taki, że każdy je ma. Czai się w organizmie i tylko czeka, by wymknąć się spod kontroli, przejąć dowodzenie i zacząć atakować twoje wnętrze. Czasem dzieje się to samoistnie, a czasem dlatego, że do twojego ciała dostało się

cudze *Clostridium*, które jest nieco inne od twojego, zaczyna się z nim mieszać i bum!

Kiedy mój mózg kombinował, jak sobie z tym poradzić, czułam drobne ukłucia w kończynach. Kroplówka popiskiwała. Nie miałam pojęcia, kiedy ostatnio zmieniałam plaster na palcu. *Clostridium difficile* unosiło się wokół mnie i we mnie. Mogło przeżyć miesiące poza ciałem, czekając na nowego żywiciela. Wszystkie duże zwierzęta na Ziemi razem wzięte – ludzie, krowy, pingwiny, rekiny i tak dalej – ważą ponad miliard ton. Wszystkie bakterie na Ziemi razem wzięte ważą czterysta miliardów ton. Przytłaczają nas.

Z jakiegoś powodu po głowie zaczęła mi krążyć piosenka *Nie mogę przestać myśleć o tobie*. Im dłużej ją analizowałam, tym dziwniej się czułam. Na przykład refren: „Nie mogę, nie mogę, nie mogę, nie mogę przestać myśleć o tobie" zapewne miał być słodki i romantyczny i odnosić się do tego, że cały czas się o kimś myśli, ale nie ma nic romantycznego ani słodkiego w tym, że jakiś chłopak myśli o tobie tak, jak ty myślisz o *Clostridium difficile*. Nie możesz przestać myśleć. Usiłujesz znaleźć coś, czego mogłabyś się chwycić w tym rozszalałym morzu myśli. Spirala się zacieśnia. Daisy cię nienawidzi i ma rację. Pokryty mikrobami język Davisa na twojej szyi. Ciepły oddech mamy. Szpitalna koszula przyklejająca się do spoconych pleców. I gdzieś głęboko jakaś ja krzycząca *zabierz mnie stąd zabierz mnie stąd zabierz zrobię wszystko.* A myśli krążą i krążą w zacieśniającej się spirali, usta biegacza, głupota Ayali, Azy i Holmesy, trzech moich niedających się pogodzić jaźni, moje skupienie na sobie, brud w moich trzewiach, *myśl o czymkolwiek oprócz siebie, obrzydliwa narcyzko.*

Wyjęłam telefon i napisałam do Daisy.

Przepraszam, że nie byłam dobrą koleżanką. Nie mogę przestać o tym myśleć.

Odpisała od razu:

Daj spokój. Jak się czujesz?

Ja: Naprawdę interesuje mnie twoje życie i przykro mi, że tego

nie okazywałam.

Daisy: Holmesy, uspokój się, wszystko jest OK, przepraszam za kłótnię, pogodzimy się, wszystko będzie dobrze.

Ja: Po prostu mi przykro. Nie potrafię jasno myśleć.

Daisy: Przestań przepraszać. Dostałaś leki na podlizywanie się czy jak?

Nie odpisałam, ale nie mogłam przestać myśleć o niej, o Ayali, a zwłaszcza o wszystkich tych szkodnikach we mnie i wokół mnie. Wiedziałam, że samo przejmowanie się tym jest egoistyczne i godne pożałowania. Jak mogłam na podstawie czyichś prawdziwych infekcji wymyślać bajki na temat własnej? Przycisnęłam palec paznokciem kciuka, by się upewnić, że ta chwila jest rzeczywista. Niestety. Nie mogłam od siebie uciec. Nie potrafiłam się całować, nie potrafiłam prowadzić samochodu, nie potrafiłam nawet funkcjonować w prawdziwym, namacalnym, wypełnionym ludźmi świecie. Co mi przyszło do głowy, żeby w ogóle fantazjować o studiowaniu na jakiejś odległej uczelni, gdzie płaci się fortunę za mieszkanie w akademiku pełnym nieznajomych, ze wspólnymi łazienkami i stołówkami, bez żadnej prywatnej przestrzeni, w której można dawać upust swemu szaleństwu? Będę musiała uczyć się na miejscu, o ile kiedykolwiek moje myśli wyprostują się na tyle, żebym mogła kontynuować edukację. Będę mieszkała w domu z mamą, a później sama. Nigdy nie uda mi się funkcjonować normalnie w dorosłości. Trudno sobie wyobrazić, żebym zrobiła jakąś karierę zawodową. Na rozmowie w sprawie pracy zapytają mnie: „Jaka jest pani największa słabość?”, a ja odpowiem, że prawdopodobnie większość dnia będę spędzać terroryzowana przez myśli, które nie dają się odpędzić, opętana przez pozbawionego imienia i kształtu demona, więc jeśli to stanowi dla państwa problem, proszę mnie nie zatrudniać.

Myśli to po prostu inny rodzaj bakterii, które cię kolonizują. Myślałam o mózgowo-jelitowej osi informacyjnej. *Może już cię tu nie ma. Teraz więzieniem rządzą więźniowie*. Nie jestem osobą, tylko

rojem. Nie pszczołą, lecz ulem.

Nie mogłam znieść oddechu matki na mojej twarzy. Pociły mi się dłonie. Czułam, jak moje „ja” wymyka mi się. *Wiesz, co z tym zrobić.*

– Możesz się odwrócić? – szepnęłam, ale odpowiedziała tylko kolejnym oddechem.

Po prostu wstań.

Chwyciłam telefon, by napisać do Daisy, ale litery na ekraniku rozmazywały mi się przed oczami. Byłam w szponach paniki. Nagle przy drzwiach dostrzegłam środek do odkażania rąk. *To jedyny sposób* nie bądź głupia gdyby to działało alkoholicy byliby najzdrowszymi ludźmi na świecie *musisz tylko odkazić dłonie i usta* do kurwy nędzy błagam myśl o czymś innym *wstawaj* NIENAWIDZĘ BYĆ UWIĘZIONA WEWNĄTRZ CIEBIE *jesteś mną* gówno prawda j*esteś nami gówno prawda chcesz się poczuć lepiej i wiesz jak to zrobić* porzygam się tylko *będziesz czysta będziesz miała pewność* nigdy nie ma pewności *wstawaj* nawet nie jesteś osobą tylko głęboko zaburzonym tokiem myślenia *przecież chcesz wstać* lekarka kazała leżeć, inaczej grozi mi operacja *wstawaj i pchaj ten cholerny stojak z kroplówką do drzwi* błagam *wyciśnij sobie piankę do odkażania na ręce, dobrze je wyczyść, a potem wyciśnij jeszcze trochę, weź do ust i przepłucz te brudne zęby i dziąsła*. Ale tam jest alkohol, a ja mam uszkodzoną wątrobę *CHCESZ UMRZEĆ PRZEZ CLOSTRIDIUM DIFFICILE* nie, ale to nieracjonalne *WIĘC WSTAWAJ I DOPCHAJ TEN CHOLERNY STOJAK DO ODKAŻACZA WISZĄCEGO NA TEJ CHOLERNEJ ŚCIANIE IDIOTKO*. Błagam, daj mi spokój. Zrobię wszystko. Nie będę z tobą walczyć. Możesz sobie wziąć to ciało. Nie chcę go. *Wstawaj natychmiast*. Nie. *Pójdziesz po ten odkażacz*. Cogito, ergo non sum. Pocę się *już jesteś zarażona* nic nie boli tak jak to *już jesteś zarażona* Boże, błagam, przestań *nigdy się nie uwolnisz* nigdy się nie uwolnisz *nigdy nie odzyskasz siebie* nigdy nie odzyskasz siebie *czy chcesz na to umrzeć* czy chcesz na to umrzeć *bo tak się stanie* tak się stanie *tak się stanie* tak się stanie.

Zmusiłam się do wstania. Przez chwilę przeszywał mnie taki ból, że omal nie zemdlałam. Chwyciłam przewód od kroplówki i powłócząc nogami, zrobiłam kilka kroków. Usłyszałam, jak mama się porusza. Nieważne. Nacisnęłam dźwignię dozownika, wtarłam sobie piankę w dłonie. Nacisnęłam ponownie i wzięłam garść

pianki do ust.

– Co robisz, Azo? – usłyszałam głos mamy. Byłam cholernie zażenowana, ale zrobiłam to ponownie. Musiałam. – Azo, przestań!

Usłyszałam, jak wstaje, i wiedziałam, że kończy mi się czas, więc szybko wcisnęłam sobie do ust trzecią garść. Zachłysnęłam się. Chwyciły mnie mdłości i zwymiotowałam, czując w żebrach oślepiający ból. Mama podtrzymywała mnie za ramię. Jasnoniebieska koszula szpitalna była cała zarzygana na żółto.

Z głośnika za moimi plecami dobiegł głos.

– Pielęgniarka Wallace.

– Moja córka wymiotuje. Chyba wypiła odkażacz do rąk.

Wiedziałam, jaka jestem obrzydliwa. Wiedziałam. Nie miałam wątpliwości. Nie zostałam opętana przez demona. Byłam demonem.

20

Nazajutrz budzisz się na szpitalnym łóżku, wpatrzona w sufit. *Czy już po wszystkim*?, zastanawiasz się.

– Szpitalne jedzenie wyglądało kiepsko, więc sama zrobiłam ci śniadanie – oznajmia twoja matka. – Cheeriosy.

Patrzysz na swoje ciało, bezkształtne pod białą jak kreda pościelą.

– Cheeriosów się nie robi – mówisz, a ona się śmieje.

Na stoliku obok łóżka dostrzegasz ostentacyjnie wielki bukiet kwiatów w kryształowym wazonie.

– Od Davisa – wyjaśnia matka.

Bliżej, nad twoim bezkształtnym ciałem, unosi się tacka z jedzeniem. Przełykasz ślinę. Patrzysz na cheeriosy pływające na powierzchni mleka. Czujesz ból. Przez głowę przebiega ci myśl: *Bóg jeden wie, co wciągnęłaś w płuca podczas snu.*

To nie koniec.

Leżysz, właściwie nie myśląc, jedynie szukając słów na opisanie swego bólu, jakby ich znalezienie mogło cię od niego uwolnić. Jeśli zdołasz uczynić coś rzeczywistym, jeśli możesz to zobaczyć, poczuć, dotknąć tego, możesz to również zabić.

To jak pożar mózgu. Jak gryzoń, który zżera cię od środka. Nóż w trzewiach. Spirala. Wir. Czarna dziura.

Słowa, których używa się, by to opisać – rozpacz, strach, lęk, obsesja – nie wyrażają jego grozy. Może metaforę wynaleziono w odpowiedzi na ból. Może musieliśmy nadać kształt niejasnemu, wszechogarniającemu bólowi, który wymyka się myślom i zmysłom.

Przez chwilę wydaje ci się, że jest lepiej. Przez jakiś czas twoje myśli podążają właściwym tokiem, który ma ręce, nogi i głowę. Wiesz, że naprawdę są twoje. A potem czujesz przypływ mdłości, pięść zaciskającą się w klatce piersiowej, zimny pot, gorące czoło *już*

to złapałaś masz to w sobie wygania wszystko inne przejmuje władzę zabije cię i wygryzie się na zewnątrz i słabym głosem, przytłumionym przez nienazwaną grozę, z trudem wydobywasz z siebie konieczne słowa:

– Mam problem, mamo. Poważny problem.

21

Fabuła tej opowieści wygląda tak: po osunięciu się w całkowite szaleństwo zaczynam wyłapywać tropy pozwalające na rozwiązanie dawno odłożonej na półkę zagadki zniknięcia Russella Picketta. W swojej zawziętej obsesyjności ignoruję wszelkie zagrożenia, w tym groźbę utraty fortuny, która spadła Daisy i mnie z nieba. Koncentruję się na tajemnicy i głęboko wierzę, że jej rozwiązanie jest Dobrem Największym, że zdania twierdzące są z natury lepsze od pytających i że znajdując odpowiedź mimo swego szaleństwa, znajdę zarazem sposób, by z tym szaleństwem żyć. Zostaję wielkim detektywem nie pomimo, lecz z racji takiego funkcjonowania mojego mózgu.

Nie jestem pewna, z kim podążam w tej narracji ku zachodzącemu słońcu – z Davisem czy Daisy. Tak czy owak, widzicie mnie oświetloną od tyłu, ciemną sylwetkę otoczoną ośmiominutowym światłem naszej rodzimej gwiazdy, trzymającą kogoś za rękę.

Gdzieś po drodze dociera do mnie, że mam nad sobą władzę, że moje myśli są – jak lubi mówić doktor Singh – tylko myślami. Dociera do mnie, że życie jest moją własną opowieścią, że jestem wolna, mam moc, jestem kapitanem własnej świadomości i tak dalej…

Tyle że nie. Nie tak się to odbyło.

Nie stałam się zawzięta, nie mówiłam zdaniami twierdzącymi i nie odeszłam ku zachodowi. Przeciwnie, przez długi czas widziałam bardzo niewiele naturalnego światła.

Rzeczywistość była nieubłaganie i przeraźliwie monotonna: leżałam na szpitalnym łóżku i cierpiałam. Bolały mnie żebra, mózg, myśli. Wypuścili mnie dopiero po ośmiu dniach.

Najpierw wzięli mnie za alkoholiczkę. Myśleli, że napiłam się

pianki do dezynfekcji z powodu zawartego w niej alkoholu. Prawda była o tyle bardziej kuriozalna i tak niewiarygodna, że nikt w nią nie wierzył, póki nie skontaktowali się z doktor Singh. Kiedy przyjechała do szpitala, przystawiła krzesło do brzegu łóżka i usiadła przy mnie.

– Wydarzyły się dwie rzeczy – zaczęła. – Po pierwsze, nie bierzesz leku zgodnie z zaleceniami.

Powiedziałam jej, że brałam lek prawie codziennie, co wydawało mi się prawdą, ale nią nie było.

– Miałam wrażenie, że po nim mi się pogarsza – wyznałam w końcu.

– Azo, jesteś inteligentną młodą kobietą. Z pewnością nie sądzisz, że picie środka dezynfekującego do rąk przy uszkodzonej wątrobie stanowi postęp na twojej drodze do zdrowia psychicznego. – Gapiłam się na nią w milczeniu. – Z pewnością wytłumaczono ci, że picie antyseptyku jest niebezpieczne. Nie tylko z powodu alkoholu, lecz także dlatego, że zawiera substancje chemiczne, które po połknięciu mogą zabić. – Powiedziała to z takim naciskiem, że mogłam jedynie przytaknąć. – Po drugie, w wyniku wypadku przeżyłaś silną traumę, z którą każdemu trudno byłoby się uporać. – Wpatrywałam się w nią dalej. – Musimy ci zmienić lek na taki, który będzie działał lepiej, który będziesz tolerować i który będziesz brać.

– Żaden nie działa – zauważyłam.

– Żaden dotychczas nie zadziałał – poprawiła mnie.

*

Przychodziła każdego ranka, a po południu odwiedzała mnie inna lekarka, by ocenić stan mojej wątroby. Obie wizyty stanowiły ulgę, bo tylko podczas nich moja nadopiekuńcza matka musiała na chwilę opuszczać salę.

Ostatniego dnia doktor Singh usiadła przy łóżku i położyła mi rękę na ramieniu. Nigdy przedtem mnie nie dotykała.

– Zdaję sobie sprawę, że warunki szpitalne z pewnością nie pomagały ci w walce z lękiem.

– Fakt – przyznałam.

– Czy czujesz, że stanowisz dla siebie zagrożenie?

– Nie – odparłam. – Po prostu strasznie się boję i mam dużo natrętnych myśli.

– Czy wczoraj spożywałaś antyseptyk? – zapytała.

– Nie.

– Nie jestem tu po to, by cię osądzać, Azo. Ale mogę ci pomóc jedynie wówczas, gdy jesteś ze mną szczera.

– Jestem szczera. Nie spożywałam – zapewniłam ją.

Zwłaszcza że zdjęli ze ściany pojemnik z nim i wynieśli z sali.

– A myślałaś o nim?

– Tak.

– Nie musisz się bać tej myśli. Myśl to nie działanie.

– Nie mogę przestać myśleć o zarażeniu się Clostridium. Chcę po prostu mieć pewność, że nie…

– Picie antyseptyku nie pomoże.

– A co pomoże?

– Czas. Terapia. Łykanie lekarstw.

– Czuję, że wokół mnie zaciska się pętla. Chcę się uwolnić, ale im bardziej walczę, tym jest ciaśniej. Spirala się zacieśnia, rozumie pani?

Spojrzała mi prosto w oczy. Myślałam, że się rozpłacze czy coś.

– Azo – powiedziała stanowczo – musisz to przetrwać.

*

Nawet gdy już wypuścili mnie do domu, doktor Singh odwiedzała nas dwa razy w tygodniu i sprawdzała, jak sobie radzę. Przeszłam na inne lekarstwo, a mama pilnowała, żebym je brała każdego ranka. Poza tym mogłam wstawać jedynie do łazienki, żeby nie odnowiło się uszkodzenie wątroby.

Opuściłam dwa tygodnie w szkole. Czternaście dni życia skróciło się do jednego zdania, bo nie potrafię opisać tego, co się w tym czasie działo. Wciąż bolało – w sposób, jakiego nie da się zdefiniować nawet w przybliżeniu. Było nudno. Przewidywalnie. Jakby się chodziło po labiryncie, o którym się wie, że nie

ma wyjścia. Dość łatwo jest powiedzieć, jak było, ale nie da się powiedzieć, CO to było.

Daisy i Davis próbowali mnie odwiedzać, ale chciałam być sama. Leżałam w łóżku. Nie czytałam ani nie oglądałam telewizji, bo żadna z tych czynności nie potrafiła dostatecznie skupić mojej uwagi. Po prostu leżałam, niemal w katatonii, a mama nieustannie krążyła nade mną, co kilka minut przerywając ciszę jakimś pytaniem udającym zdanie oznajmujące. Z każdym dniem jest lepiej. Dobrze się czujesz. Poprawia ci się. Bombardowała mnie deklaracjami.

Przez pewien czas nawet nie włączałam telefonu, co spotkało się z aprobatą doktor Singh. Kiedy w końcu go włączyłam, poczułam niewyjaśniony strach. Chciałam znaleźć tam mnóstwo wiadomości i zarazem tego nie chciałam.

Okazało się, że jest ich ponad trzydzieści – nie tylko od Daisy i Davisa, choć od nich też, ale i od Mychala, innych kolegów i koleżanek, a nawet od paru nauczycieli.

*

Wróciłam do szkoły w poniedziałek na początku grudnia. Nie byłam pewna, czy nowy lek działa, ale przynajmniej nie zastanawiałam się, czy go brać. Czułam się gotowa, jakbym wróciła do świata – jakbym była sobą, choć niekoniecznie „znów”.

Przywiozła mnie mama. Harold poszedł do kasacji, a poza tym i tak bałabym się prowadzić.

– Podekscytowana czy zdenerwowana? – zapytała, trzymając na kierownicy obie dłonie, jedną na godzinie dziesiątej, drugą na drugiej.

– Zdenerwowana – odparłam.

– Wszyscy rozumieją, co się stało, Azo. Będą cię w stu procentach wspierać i życzyć ci zdrowia, a jeśli nie, to dam im popalić.

Uśmiechnęłam się lekko.

– Chcesz powiedzieć, że wszyscy wiedzą. Wiedzą, że zwariowałam, czy co to tam było.

– Ależ, kochanie – zaprotestowała – ty nie zwariowałaś!

Ty zawsze byłaś wariatką!

Roześmiałam się, a ona na moment zdjęła dłoń z kierownicy i ścisnęła mój nadgarstek.

Daisy czekała na mnie na schodach. Mama zaparkowała, wysiadłam. Żebra wciąż trochę bolały pod ciężarem plecaka. Było zimno, ale słońce, choć dopiero co wzeszło, świeciło tak jasno, że musiałam mrużyć oczy. Minęło sporo czasu, odkąd tak długo przebywałam na zewnątrz.

Daisy wyglądała inaczej. Jej twarz jakby pojaśniała. Chwilę mi zajęło, nim zrozumiałam, że obcięła włosy. Teraz sięgały jej nieco poniżej podbródka. Wyglądała naprawdę nieźle.

– Mogę cię objąć bez uszkodzenia ci wątroby?

– Ładny fryz – odpowiedziałam i przytuliłyśmy się.

– Dzięki, ale obie wiemy, że tak naprawdę wyglądam fatalnie.

– Słuchaj – zaczęłam – naprawdę mi przykro.

– Mnie też, ale wybaczyłyśmy już sobie i możemy żyć szczęśliwie na wieki wieków.

– Serio – nie ustępowałam. – Strasznie się czuję z…

– Ja też – przerwała mi. – Musisz przeczytać moje nowe opowiadanie. To długie na piętnaście tysięcy słów przeprosiny rozgrywające się na postapokaliptycznej wersji Jedhy. Chcę ci powiedzieć, Holmesik, że owszem, jesteś wyczerpująca, i owszem, kumplowanie się z tobą jest trudne. Ale jednocześnie jesteś najbardziej fascynującą osobą, jaką w życiu znałam, i wcale nie przypominasz musztardy. Przypominasz pizzę, a to największy komplement, jaki można usłyszeć z moich ust.

– Najmocniej cię przepraszam, Daisy, że nie byłam…

– Jezu, Holmes, ty to naprawdę potrafisz się na siebie gniewać. Jesteś moją ulubioną osobą. Chcę być pochowana obok ciebie. Będziemy miały wspólny nagrobek z napisem „Holmesy i Daisy: wszystko robiły razem oprócz świństw”. A tak w ogóle, jak się czujesz? – Wzruszyłam ramionami. – Mam nawijać dalej? – Skinęłam głową. – Zauważyłaś, że ludzie czasem mówią: „Och, ona naprawdę uwielbia brzmienie własnego głosu”? No więc ja uwielbiam brzmienie swojego. Mam radiowy głos. – Odwróciła się i ruszyła po schodach w górę, do rzędu wykrywaczy metalu. – Wiem, o co chcesz mnie zapytać: „Czy nadal chodzisz z Mychalem?

Gdzie twój samochód? Co się stało z twoimi włosami?”. Odpowiedzi brzmią: nie, sprzedany, musiałam obciąć, bo Elena celowo przykleiła mi do nich trzy kawałki zużytej gumy do żucia, gdy spałam. To były długie dwa tygodnie, Holmesik. Mam rozwijać temat?

Przytaknęłam.

– Z rozkoszą – ciągnęła, gdy przeszłyśmy przez wykrywacze. – No więc z Mychalem rzecz sprowadza się do mojej potrzeby bycia młodą, dziką i wolną. Przeżyłam bliskie spotkanie ze śmiercią i pomyślałam: „Czy naprawdę chcę marnować młodość na Związek przez duże Z?”. Mówię: „Spotykajmy się z innymi ludźmi”, a on mówi: „Nie”, a ja na to: „Proszę”, a on: „Chcę być w związku monogamicznym”, a ja: „Nie chcę, żeby ciężar tego… tego czegoś zdominował moje życie”, a on: „Nie jestem czymś”, no i zerwaliśmy ze sobą. Myślę, że technicznie rzecz biorąc, to on mnie w końcu rzucił, ale była to jedna z tych spraw, w których potrzeba trzyosobowego panelu sędziowskiego, żeby ustalił, kto zawinił. Jeśli chodzi o auto – kontynuowała – okazuje się, że samochody są drogie w utrzymaniu, a w dodatku mogą zrobić krzywdę, więc zwrócili mi forsę, bo minęło mniej niż sześćdziesiąt dni od zakupu. Przez resztę życia zamierzam dojeżdżać wszędzie Uberem, bo wtedy czujesz się, jakbyś była właścicielką wszystkich samochodów, a poza tym jako osoba bogata zasługuję na to, by mnie wożono. Mam mówić dalej?

Dotarłyśmy do mojej szafki. Ze zdumieniem stwierdziłam, że pamiętam szyfr. Wokół mnie tłoczyło się tyle ludzkich ciał, że z trudem wierzyłam w to, co się dzieje. Otworzyłam szafkę. Nie odrobiłam żadnych zadań. Byłam do tyłu ze wszystkich przedmiotów. Korytarz był potwornie zatłoczony i głośny.

– Mów – odpowiedziałam.

– Nie ma sprawy. Mogę tak przez cały dzień. To kolejny powód, dla którego przebywanie razem jest nam pisane: ty jesteś doskonała w milczeniu. No więc z Eleną sprawa była taka, że kochana siostrzyczka celowo przykleiła mi gumę do włosów, kiedy spałam. „Skąd się wzięła guma w moich włosach?”, pytam rano, a ona na to: „Ha, ha!”. „Eleno, nie rozumiesz, na czym polega dowcip. Uprzykrzanie komuś życia nie jest zabawne. Uważałabyś

za zabawne, gdybym złamała ci nogę?”, pytam, a ona znowu: „Ha, ha!”. Więc zrobiłam sobie ten ekscentryczny fryz, i uwierz mi, zapłaciłam za niego z pieniędzy odłożonych na studia Eleny. Bo wyobraź sobie, że starzy kazali mi założyć dla niej fundusz na studia. Z innych spraw – ciągnęła – cała historia z Mychalem sprawiła, że atmosfera przy naszym stole stała się trochę ciężka, więc urządzimy sobie dwuosobowy piknik na dworze. Wiem, że jest trochę chłodno, ale siedzenie obok Mychala w stołówce jest o wiele chłodniejsze. Jesteś gotowa iść teraz na biologię i zrobić z niej totalną miazgę? Przez czterdzieści siedem minut bezkrwawy trup fakultetu biologicznego będzie kwilił u twoich stóp. Rany, ile się zmieniło, odkąd straciłaś rozum! Czy jestem niegrzeczna?

– Problem w tym, że nie mogę stracić rozumu – odparłam. – Nie mogę nawet od niego uciec.

– To całkiem tak jak z moim dziewictwem. To kolejny powód, dla którego mój związek z Mychalem był skazany na porażkę. On nie chce uprawiać seksu, dopóki się nie zakocha, a ja owszem, wiem, że dziewictwo to mizoginistyczny i opresyjny wymysł społeczny, ale i tak chcę je stracić, a on mi tu wybrzydza, jakbyśmy byli w powieści Jane Austen. Chciałabym, żeby faceci nie mieli tych wszystkich uczuć, nad którymi muszę się pochylać jak jakiś cholerny psychiatra. – Podeszła ze mną do drzwi mojej sali, otworzyła je i zaprowadziła mnie do ławki. Usiadłam. – Wiesz, że cię uwielbiam, nie? – Kiwnęłam głową. – Przez całe życie myślałam, że jestem gwiazdą niezwykle poważnego romansu, a wychodzi na to, że od początku grałam w kumplowskiej komedii. Idę na matmę. Miło cię znowu widzieć, Holmesik.

*

Na nasz piknik przyniosła resztki pizzy. Usiadłyśmy pod jedynym dużym dębem na dziedzińcu, w połowie drogi na boisko piłkarskie. Było tak zimno, że siedziałyśmy szczelnie owinięte zimowymi kurtkami, z kapturami na głowach, a moje dżinsy dosłownie zesztywniały na zmrożonej ziemi.

Nie miałam rękawiczek, więc przez większość czasu trzymałam

ręce w rękawach. Pogoda zdecydowanie nie sprzyjała piknikom.

– Dużo myślałam o Picketcie – odezwała się Daisy.

– Serio?

– Serio. Jak cię nie było, zachodziłam w głowę, jakie to dziwne tak zostawić bez pożegnania własne dzieci. Szczerze mówiąc, prawie było mi go żal. Pomyśl, jak bardzo musi być coś nie tak z kimś, kto nawet nie zadaje sobie trudu kupienia gdzieś telefonu na kartę i napisania do dzieciaków, że wszystko z nim OK.

Mnie osobiście bardziej było żal trzynastolatka, który każdego ranka budzi się z myślą, że może dziś coś się zmieni. A potem co wieczór gra w gry wideo, żeby przyćmić tępy ból świadomości, że jego własny ojciec mu nie ufa lub nie kocha go wystarczająco, by nawiązać kontakt. Ojciec, który zamiast dzieciom, zapisał cały majątek tuatarze.

– Bardziej mi żal Noaha niż Picketta – powiedziałam.

– Zawsze mu współczułaś – zauważyła. – Choć nie potrafisz współczuć najlepszej koleżance.

Spojrzałam na nią, a ona się zaśmiała. Wiedziałam jednak, że nie żartuje.

– Więc czym się zajmują twoi rodzice? – zapytałam.

Znów się roześmiała.

– Tata pracuje w Muzeum Stanowym. Jest ochroniarzem. Lubi tę pracę, bo interesuje się historią Indiany, ale przez większość czasu musi pilnować, żeby nikt nie dotykał kości mastodonta i tak dalej. Mama pracuje w pralni chemicznej w Broad Ripple.

– Powiedziałaś im już o forsie?

– Taa… Właśnie dlatego kazali mi założyć fundusz dla Eleny. Tata powiedział: „Ona zrobiłaby dla ciebie to samo, gdyby miała pieniądze”. Jasne.

– Nie byli wściekli?

– Że przyniosłam do domu pięćdziesiąt tysięcy dolców? Nie, Holmesy, nie byli wściekli.

Czułam, jak pod rękawem mojej kurtki coś sączy się z ranki na palcu. Wiedziałam, że będę musiała zmienić plaster przed historią. Odbębnić ten cały irytujący rytuał. Ale na razie przyjemnie mi było siedzieć tu z Daisy i patrzeć na parę wydobywającą się z moich ust.

– A co z Davisem?

– Nie rozmawiałam z nim – odparłam. – Z nikim nie rozmawiałam.

– Czyli było naprawdę źle.

– Owszem – przyznałam.

– Przykro mi – powiedziała.

– To nie twoja wina.

– Miałaś… masz myśli samobójcze?

– Myślałam tylko, że nie chcę dłużej być taka.

– I nadal tak?…

– Nie wiem. – Zrobiłam długi, powolny wydech i patrzyłam, jak para znika w zimowym powietrzu. – Może jestem jak nasza rzeka. Nieżeglowna.

– Przegapiłaś morał tej historii, Holmesik. Morał jest taki, że mimo wszystko wybudowano tu miasto. Trzeba sobie radzić z tym, co się ma. Mieli tę gównianą rzekę i udało im się wybudować nad nią znośne miasto. Może nie rewelacyjne, ale znośne. Nie jesteś rzeką. Jesteś miastem.

– Więc nie jestem zła?

– Zgadza się. Jesteś na czwórkę z plusem. Jeśli komuś udaje się wybudować miasto na czwórkę z plusem w miejscu, którego geografia zasługuje na tróję z minusem, to naprawdę sukces.

Roześmiałam się. Daisy położyła się na ziemi i dała mi znak, żebym zrobiła to samo. Patrzyłyśmy w niebo, głowami niemal dotykając pnia samotnego dębu. Ponad parą dochodzącą z naszych ust kłębiły się szare chmury, a bezlistne gałęzie przecinały się na ich tle.

Nie wiem, czy kiedykolwiek wspomniałam Daisy, jak bardzo lubię patrzeć na poszatkowane niebo. Czy położyła się właśnie w tym miejscu i w tym momencie, bo wiedziała, że to mi się spodoba? Myślałam o tym, że nawet jeśli gałęzie są oddalone od siebie, moje oko ma złudzenie, że się dotykają, podobnie jak gwiazdy Kasjopei były daleko od siebie, ale jakimś sposobem blisko mnie.

– Chciałabym to rozumieć – powiedziała Daisy.

– Nie przejmuj się – odparłam. – Tak naprawdę nikt nikogo nie rozumie. Wszyscy jesteśmy uwięzieni wewnątrz siebie.

– A ty siebie nienawidzisz? Nienawidzisz być sobą?

– Nie ma żadnej „mnie”, której mogłabym nienawidzić. Po prostu kiedy zaglądam w głąb, nie widzę konkretnej osoby, tylko kłębowisko myśli, zachowań, okoliczności. I wielu z nich wcale nie odczuwam jako swoich. To nie jest coś, czego ja pragnę, co ja myślę czy robię. A kiedy szukam Prawdziwej Mnie, nigdy jej nie znajduję. To jak z matrioszkami, wiesz? Z tymi lalkami, które są wydrążone, a gdy jedną otwierasz, znajdujesz w środku mniejszą lalkę, otwierasz ją i znajdujesz kolejną, aż wreszcie dokopujesz się do najmniejszej i ta już nie jest wydrążona. Tyle że w moim przypadku chyba nie ma się do czego dokopać. Lalki są coraz mniejsze, ale wciąż w środku znajduję kolejną.

– To mi przypomina taką historyjkę, którą opowiada moja mama – mruknęła Daisy.

– Jaką? – Słyszałam, jak szczękają jej zęby, ale żadna z nas nie chciała przestać patrzeć na poszatkowane niebo.

– Jakiś naukowiec miał wykład o historii Ziemi przed wielką publicznością. Wyjaśniał, że Ziemia powstała miliardy lat temu z chmury kosmicznego pyłu i że przez jakiś czas była bardzo gorąca, ale potem ostygła na tyle, że mogły powstać oceany. W oceanach pojawiło się życie, najpierw jednokomórkowe, z czasem bardziej złożone i zróżnicowane, aż wreszcie, jakieś dwieście pięćdziesiąt tysięcy lat temu, wyewoluował człowiek, który z czasem zaczął produkować coraz to lepsze narzędzia, aż w końcu doszedł do statków kosmicznych i tak dalej. Opowiadał to wszystko – kontynuowała – a na końcu spytał, czy ktoś chciałby coś powiedzieć. Wtedy jakaś staruszka siedząca na końcu sali podniosła rękę i stwierdziła: „Wszystko pięknie, panie naukowcu, ale prawda jest taka, że Ziemia to płaski talerz spoczywający na grzbiecie ogromnego żółwia”. Naukowiec chciał się trochę zabawić, więc zapytał: „No dobrze, ale na czym w takim razie spoczywa żółw?”. A staruszka na to: „Na grzbiecie drugiego żółwia”. Naukowiec, już trochę zniecierpliwiony: „A tamten żółw?”. A staruszka: „Nic pan nie rozumie. Pod nim jest kolejny żółw i tak aż do końca”.

Roześmiałam się.

– I tak aż do końca.

– Żółwie aż do cholernego końca, Holmesy. Próbujesz znaleźć

tego, który jest na samym dole, ale to nie tak działa.

– Żółwie aż do końca – powtórzyłam, czując coś w rodzaju duchowego olśnienia.

rzeka. Nieżeglowna.

– Przegapiłaś morał tej historii, Holmesik. Morał jest taki, że mimo wszystko wybudowano tu miasto. Trzeba sobie radzić z tym, co się ma. Mieli tę gównianą rzekę i udało im się wybudować nad nią znośne miasto. Może nie rewelacyjne, ale znośne. Nie jesteś rzeką. Jesteś miastem.

– Więc nie jestem zła?

– Zgadza się. Jesteś na czwórkę z plusem. Jeśli komuś udaje się wybudować miasto na czwórkę z plusem w miejscu, którego geografia zasługuje na tróję z minusem, to naprawdę sukces.

Roześmiałam się. Daisy położyła się na ziemi i dała mi znak, żebym zrobiła to samo. Patrzyłyśmy w niebo, głowami niemal dotykając pnia samotnego dębu. Ponad parą dochodzącą z naszych ust kłębiły się szare chmury, a bezlistne gałęzie przecinały się na ich tle.

Nie wiem, czy kiedykolwiek wspomniałam Daisy, jak bardzo lubię patrzeć na poszatkowane niebo. Czy położyła się właśnie w tym miejscu i w tym momencie, bo wiedziała, że to mi się spodoba? Myślałam o tym, że nawet jeśli gałęzie są oddalone od siebie, moje oko ma złudzenie, że się dotykają, podobnie jak gwiazdy Kasjopei były daleko od siebie, ale jakimś sposobem blisko mnie.

– Chciałabym to rozumieć – powiedziała Daisy.

– Nie przejmuj się – odparłam. – Tak naprawdę nikt nikogo nie rozumie. Wszyscy jesteśmy uwięzieni wewnątrz siebie.

– A ty siebie nienawidzisz? Nienawidzisz być sobą?

– Nie ma żadnej „mnie”, której mogłabym nienawidzić. Po prostu kiedy zaglądam w głąb, nie widzę konkretnej osoby, tylko kłębowisko myśli, zachowań, okoliczności. I wielu z nich wcale nie odczuwam jako swoich. To nie jest coś, czego ja pragnę, co ja myślę czy robię. A kiedy szukam Prawdziwej Mnie, nigdy jej nie znajduję. To jak z matrioszkami, wiesz? Z tymi lalkami, które są wydrążone, a gdy jedną otwierasz, znajdujesz w środku mniejszą lalkę, otwierasz ją i znajdujesz kolejną, aż wreszcie dokopujesz się

do najmniejszej i ta już nie jest wydrążona. Tyle że w moim przypadku chyba nie ma się do czego dokopać. Lalki są coraz mniejsze, ale wciąż w środku znajduję kolejną.

– To mi przypomina taką historyjkę, którą opowiada moja mama – mruknęła Daisy.

– Jaką? – Słyszałam, jak szczękają jej zęby, ale żadna z nas nie chciała przestać patrzeć na poszatkowane niebo.

– Jakiś naukowiec miał wykład o historii Ziemi przed wielką publicznością. Wyjaśniał, że Ziemia powstała miliardy lat temu z chmury kosmicznego pyłu i że przez jakiś czas była bardzo gorąca, ale potem ostygła na tyle, że mogły powstać oceany. W oceanach pojawiło się życie, najpierw jednokomórkowe, z czasem bardziej złożone i zróżnicowane, aż wreszcie, jakieś dwieście pięćdziesiąt tysięcy lat temu, wyewoluował człowiek, który z czasem zaczął produkować coraz to lepsze narzędzia, aż w końcu doszedł do statków kosmicznych i tak dalej. Opowiadał to wszystko – kontynuowała – a na końcu spytał, czy ktoś chciałby coś powiedzieć. Wtedy jakaś staruszka siedząca na końcu sali podniosła rękę i stwierdziła: „Wszystko pięknie, panie naukowcu, ale prawda jest taka, że Ziemia to płaski talerz spoczywający na grzbiecie ogromnego żółwia". Naukowiec chciał się trochę zabawić, więc zapytał: „No dobrze, ale na czym w takim razie spoczywa żółw?". A staruszka na to: „Na grzbiecie drugiego żółwia". Naukowiec, już trochę zniecierpliwiony: „A tamten żółw?". A staruszka: „Nic pan nie rozumie. Pod nim jest kolejny żółw i tak aż do końca".

Roześmiałam się.

– I tak aż do końca.

– Żółwie aż do cholernego końca, Holmesy. Próbujesz znaleźć tego, który jest na samym dole, ale to nie tak działa.

– Żółwie aż do końca – powtórzyłam, czując coś w rodzaju duchowego olśnienia.

*

Na ostatnich kilka minut przerwy wpadłam do sali mamy. Zamknęłam za sobą drzwi i usiadłam w ławce naprzeciwko niej.

Spojrzałam na zegar na ścianie. Osiem po pierwszej. Zostało mi sześć minut. Nie potrzebowałam więcej.

– Cześć – powiedziałam.

– Jak tam pierwszy dzień po powrocie? – zapytała i wydmuchała nos w chusteczkę. Była przeziębiona, ale nie mogła wziąć zwolnienia, bo zbyt dużo dni straciła na opiekę nade mną.

– W porządku – powiedziałam. – Słuchaj, mamo. Davis dał mi forsę. Dużo forsy. Mniej więcej pięćdziesiąt tysięcy dolców. Nie wydałam ich. Trzymam je na studia.

Jej twarz stężała.

– To był prezent – dodałam.

– Kiedy? – zapytała.

– Kilka miesięcy temu.

– To nie prezent. Prezentem może być naszyjnik, a nie pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Na twoim miejscu oddałabym mu te pieniądze. Chyba nie chcesz czuć, że masz u niego dług.

– Nie jesteś na moim miejscu – odparłam. – A ja nie czuję, że mam u niego dług.

Chwilę milczała.

– Fakt. Nie jestem. – Czekałam, aż powie coś więcej. Aż zacznie mi wiercić dziurę w brzuchu, dlaczego powinnam oddać forsę. – Twoje życie należy do ciebie, Azo – powiedziała w końcu. – Myślę jednak, że jeśli przyjrzysz się swojemu zdrowiu psychicznemu w ostatnich miesiącach…

– To nie przez pieniądze. Od dawna miałam problemy.

– Nie aż takie. Musisz wyzdrowieć, Azo. Nie mogę stra…

– Jezu, mamo, przestań to powtarzać. Wiem, że wywieranie na mnie presji nie jest twoim zamiarem, ale to brzmi, jakbym robiła krzywdę tobie, atakowała cię czy coś, i czuję się przez to dziesięć tysięcy razy gorzej. Robię, co w mojej mocy, ale nie mogę być zdrowa psychicznie, bo ty tego chcesz. Rozumiesz?

Milczała chyba z minutę.

– Kiedy wróciłaś ze szpitala do domu po wypadku, zaniosłam cię do łazienki, a potem z powrotem do łóżka – powiedziała wreszcie. – Podciągnęłam ci kołdrę pod brodę i uświadomiłam sobie, że to mógł być ostatni raz w życiu, kiedy cię podniosłam. Masz rację. Ciągle powtarzam, że nie mogę cię stracić, ale przecież stracę. Trudno się

z tym pogodzić. Bardzo trudno. Ale masz rację. Ty to nie ja. Dokonujesz własnych wyborów. A skoro oszczędzasz pieniądze na studia, skoro podejmujesz odpowiedzialne decyzje, to, cóż… – Nie dokończyła, bo nad naszymi głowami zabrzmiał dzwonek.

– OK – rzuciłam.

– Kocham cię, Azo.

– Ja też cię kocham, mamo. – Chciałam powiedzieć więcej, znaleźć sposób na opisanie biegunów magnetycznych mojej miłości do mamy: „Dziękuję przepraszam dziękuję przepraszam…”. Nie potrafiłam jednak się do tego zmusić, a poza tym musiałam lecieć na lekcję.

*

Nim tam dotarłam, przechwycił mnie Mychal.

– Hej! Co u ciebie? – zapytał.

– Wporzo, a u ciebie?

– Rozstałem się z Daisy.

– Słyszałam.

– Szczerze mówiąc, totalnie mnie to rozbiło.

– Przykro mi.

– A ona nawet się nie przejęła, przez co czuję się jak jakiś żałosny idiota. Ona uważa, że powinienem wziąć się w garść, a mnie wszystko o niej przypomina, Holmesy, i kiedy widzę, jak mnie ignoruje, nie przychodzi na lunch i tak dalej… Nie pogadałabyś z nią?

W tym momencie zauważyłam Daisy. Szła ze spuszczoną głową środkiem zatłoczonego korytarza.

– Daisy! – zawołałam.

Szła dalej, więc krzyknęłam głośniej. Podniosła głowę i zaczęła się do nas przedzierać przez tłum.

Pchnęłam ją w stronę Mychala.

– Oboje umiecie rozmawiać ze mną o sobie nawzajem, a nie umiecie rozmawiać ze sobą. To strasznie irytujące, więc zróbcie z tym coś i to już. Dobrze? Dobrze. A ja idę na historię.

W czasie lekcji dostałam SMS od Daisy.

Daisy: Dzięki. Postanowiliśmy zostać przyjaciółmi.

Ja: Świetnie.

Ona: Ale takimi, którzy całują się zaraz po tym, jak postanowili zostać przyjaciółmi.

Ja: Jestem pewna, że to doskonale się sprawdzi.

Ona: Jak wszystko.

Skoro już wyjęłam telefon, a na lekcji i tak oglądaliśmy film, postanowiłam napisać do Davisa.

Sorry, że tak długo się nie odzywałam. Cześć. Tęsknię za tobą.

Odpisał od razu.

Kiedy się zobaczymy?

Ja: Jutro?

On: O siódmej w Applebee’s?

Ja: Dobra.

22

Myślałam, że bez problemu dojadę do Applebee's toyotą camry mamy, ale nie mogłam się pozbyć wspomnień z wypadku. Wydawało mi się surrealistyczne i cudowne, że tyle samochodów potrafi się mijać, nie wpadając na siebie, i wciąż miałam wrażenie, że światła z naprzeciwka jadą prosto na mnie. Pamiętałam zgrzyt towarzyszący śmierci Harolda, ciszę, która po nim nastała, przeszywający ból w żebrach. Myślałam o tym, że najważniejszą częścią ciała jest ta, która boli, i o utraconym na zawsze telefonie taty. Starałam się nie zabraniać sobie tych myśli, bo gdybym próbowała je wypierać, stałyby się natrętne i przejęły władzę. W miarę mi się udało – jak wszystko.

Dojechałam do Applebee's kwadrans przed czasem. Davis był już na miejscu. Przytulił mnie przy drzwiach i usiedliśmy. W głowie pojawiła mi się myśl, nieodparta jak widok słońca na bezchmurnym niebie: *On będzie chciał ci włożyć do ust swoje bakterie.*

– Cześć – powiedziałam.

– Stęskniłem się za tobą – odparł.

Po nerwowej jeździe samochodem mój mózg był potwornie nakręcony. Powtarzałam sobie, że myśli nie są groźne. Myśli to nie czyny.

Doktor Singh lubiła mówić, że niechciane myśli są jak samochód, który przejeżdża obok ciebie, gdy stoisz na poboczu. Powtarzałam sobie, że nie muszę do niego wsiadać. Że nie decyduję o tym, czy myśl się pojawi, lecz o tym, czy dam się jej porwać.

A potem wsiadłam do samochodu.

Usiadłam przy stoliku, a on, zamiast naprzeciwko, klapnął obok mnie, tak że nasze uda się stykały.

– Rozmawiałem kilka razy z twoją mamą – powiedział. – Chyba zaczyna się do mnie przekonywać.

Kogo obchodzi, czy on chce mi włożyć do ust swoje bakterie? Całowanie jest przyjemne. Fajne. Chcę się z nim całować. *Ale nie chcesz złapać Campylobactera*. Nie złapię. *Będziesz chorować wiele tygodni. Może potrzebne będą antybiotyki.* Przestań. *A wtedy złapiesz Clostridium difficile. Albo przez Campylobactera zarazisz się EBV*. Przestań. *Możesz zostać sparaliżowana tylko przez to, że się z nim całowałaś, choć nawet nie miałaś na to ochoty, bo wsadzanie komuś języka do ust jest obrzydliwe.*

– Jesteś tam? – zapytał.

– Co? Jasne.

– Pytałem, jak się czujesz.

– Dobrze – odrzekłam. – Tak całkiem szczerze, w tej chwili średnio, ale ogólnie dobrze.

– Dlaczego w tej chwili średnio?

– Mógłbyś usiąść naprzeciwko mnie?

– Yyy… Nie ma sprawy.

Wstał i przeniósł się na przeciwległą ławkę, dzięki czemu poczułam się lepiej. Przynajmniej na chwilę.

– Nie mogę tego robić – zaczęłam.

– Czego?

– Tego – powiedziałam. – Nie mogę, Davis. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę mogła. Wiem, że czekasz, aż będzie ze mną lepiej, i naprawdę doceniam twoje SMS-y i tak dalej. To… to jest niesamowicie miłe, ale prawdopodobnie „lepiej” w moim przypadku oznacza to, co jest teraz.

– Lubię cię taką, jaka jesteś teraz.

– Nieprawda. Chcesz się ze mną całować, siedzieć po tej samej stronie stołu i robić inne rzeczy, które robią normalne pary.

Milczał przez dłuższą chwilę.

– Może po prostu nie jestem dla ciebie atrakcyjny.

– To nie to – zaoponowałam.

– Kto wie? Może właśnie to.

– Nie. Nie chodzi o to, że nie chcę się z tobą całować, że nie lubię się całować ani nic z tych rzeczy. Po prostu… mój mózg mówi, że całowanie wiąże się z różnymi rzeczami, które mnie zabiją. Dosłownie. Ale tak naprawdę nawet nie chodzi o śmierć. Gdybym wiedziała, że umieram, i pocałowała się z tobą na pożegnanie, moja

ostatnia myśl nie dotyczyłaby umierania, tylko osiemdziesięciu milionów mikrobów, którymi właśnie się wymieniliśmy. Wiem, że kiedy przed chwilą mnie dotknąłeś, nie zaraziłeś mnie żadną chorobą, a przynajmniej raczej nie. Jezu, nie mogę nawet z czystym sumieniem powiedzieć, że z całą pewnością mnie nie zaraziłeś, bo tak cholernie się tego boję. Nie potrafię mówić o tym inaczej niż „to".

Widziałam, że go zraniłam. Mrugał nerwowo. Wiedziałam, że nie rozumie; że nie może zrozumieć. Nie winiłam go za to. To było bez sensu. Byłam fabułą pełną dziur.

– To brzmi trochę strasznie – powiedział. Mogłam tylko kiwnąć głową. – Masz wrażenie, że ci się poprawia?

Wszyscy chcieli, żebym im wcisnęła tę historyjkę: o przechodzeniu z ciemności do światła, z fragmentów do całości. Ja też tego chciałam.

– Może – odparłam. – Szczerze mówiąc, czuję się bardzo krucha. Jakby mnie posklejali taśmą.

– Znam ten stan.

– A ty? Jak się czujesz? – Wzruszył ramionami. – A co u Noaha? – zapytałam.

– Źle.

– Mógłbyś rozwinąć?

– Po prostu tęskni za tatą. Mam wrażenie, że stał się dwoma różnymi ludźmi: miniaturowym ziomalem, który pije kiepską wódkę i jest królem małego gangu pseudobandytów z ósmej klasy, oraz dzieciakiem, który czasem w nocy wślizguje mi się do łóżka i płacze. Prawie jakby myślał, że jeśli wystarczająco narozrabia, ojciec będzie musiał wyjść z ukrycia.

– Ma złamane serce – powiedziałam.

– Jak my wszyscy. To… Nie, tak naprawdę nie chcę opowiadać o swoim życiu. Mam nadzieję, że to rozumiesz. – Pomyślałam, że Davisowi chyba podoba się to, co doprowadza do furii Daisy: że nie zadaję zbyt wielu pytań. Wszyscy inni byli tak nieubłaganie ciekawi życia tego młodego miliardera, tylko ja zawsze za bardzo skupiałam się na sobie, by go wypytywać.

Rozmowa niezbyt się kleiła. Zachowywaliśmy się jak osoby, które kiedyś były sobie bliskie: wypytywaliśmy siebie nawzajem o swoje

życie, zamiast przeżywać je razem. Nim Davis zapłacił rachunek, wiedziałam, że kimkolwiek dla siebie byliśmy, już nie jesteśmy.

Mimo to, gdy znalazłam się w domu i pod kołdrą, napisałam do niego:

Jesteś tam?

Ty nie potrafisz robić tego inaczej – odpisał. – A ja nie potrafię tak.

Dlaczego? – zapytałam.

On: Mam poczucie, że lubisz mnie tylko na odległość. Chcę być lubiany z bliska.

Pisałam i kasowałam, pisałam i kasowałam. W końcu nic nie wysłałam.

*

Następnego dnia podczas przerwy na lunch Daisy zatrzymała mnie w drodze do naszego stolika.

– Holmesy – obwieściła – musimy pogadać na osobności.

Posadziła mnie przy innym stole, niemal pustym, jeśli nie liczyć kilku dzieciaków z młodszych klas na jego drugim końcu.

– Co, znowu zerwałaś z Mychalem?

– Nie, co ty. Urok bycia Tylko Przyjaciółmi polega na tym, że nie można ze sobą zerwać. Czuję, że dzięki tej magicznej formule posiadłam tajemnicę wszechświata. Nie. Chodzi o Przygodę.

– Hę?

– Czy czujesz, że wyzdrowiałaś już dostatecznie, by, powiedzmy, zakraść się pod powierzchnię Indianapolis i wziąć udział w partyzanckim pokazie sztuki?

– W czym?

– Pamiętasz, jak zaproponowałam Mychalowi, żeby wykonał fotomontaże ułaskawionych więźniów?

– Hm, w przeważającej mierze był to jego po…

– Mniejsza o szczegóły, Holmesy. Rzecz w tym, że on to zrobił i wysłał do takiej odjechanej grupy artystycznej Znane Miasto, a ona włączyła jego projekt do jednorazowego pokazu pod tytułem „Sztuka Podziemna”, który odbędzie się w piątek wieczorem w części tunelu Pogue’s Run, na tę okazję zamienionej w galerię.

Pogue’s Run było podziemnym korytem strumyka uchodzącego do White River. Firma Picketta dostała zlecenie na zmianę jego biegu, lecz nigdy się z niego nie wywiązała. Pomyślałam, że to dziwne miejsce na pokaz sztuki.

– Szczerze mówiąc, nie mam ochoty spędzać piątkowego wieczoru na nielegalnym pokazie sztuki.

– Kto mówi, że nielegalnym? Mają pozwolenie. Po prostu undergroundowym. W sensie dosłownym. – Skrzywiłam się. – To najlepsza rzecz, jaka kiedykolwiek mogła się wydarzyć w Indianapolis, a mój Tylko Przyjaciel ma w niej swój udział. Oczywiście nie czuj się zobowiązana do przyjścia. Po prostu… przyjdź.

– Nie chcę być piątym kołem u wozu.

– Będę zdenerwowana, otoczona ludźmi o wiele fajniejszymi ode mnie i naprawdę chcę, żeby moja najlepsza koleżanka była tam ze mną. – Otworzyłam zamknięty hermetycznie woreczek, wyjęłam kanapkę z masłem orzechowym i miodem i ugryzłam. – Zastanawiasz się – zauważyła podekscytowana Daisy.

– Zastanawiam się – przyznałam. Przełknęłam kęs kanapki. – No dobra – zaryzykowałam. – Zróbmy to.

– Yes, yes, yes! Wpadniemy po ciebie w piątek piętnaście po szóstej. Będzie super!

Uśmiechnęła się tak promiennie, że nie mogłam nie odwzajemnić uśmiechu.

– Uwielbiam cię, Daisy – powiedziałam tak cicho, że nie byłam pewna, czy mnie słyszy. – Ty mi to ciągle powtarzasz, a ja nigdy ci tego nie mówię, ale tak jest. Uwielbiam cię.

– Tylko mi się tu nie rozklejaj, Holmesy!

*

Mychal i Daisy zjawili się przed moim domem punktualnie o osiemnastej piętnaście. Ona miała na sobie rajstopy i suknię, której niemal nie było widać spod ogromnej puchatej kurtki, a Mychal włożył nieco zbyt duży srebrnoszary garnitur. Ja ubrałam się w bluzkę z długim rękawem, dżinsy i kurtkę.

– Hej, nie wiedziałam, że trzeba się odstrzelić, gdy się idzie do kanału – powiedziałam zawstydzona.

– Do artystycznego kanału – poprawiła z uśmiechem Daisy. Zastanawiałam się, czy się nie przebrać, ale chwyciła mnie za ramię. – Wyglądasz olśniewająco. Wyglądasz jak… jak ty.

Usiadłam na tylnym fotelu minivana Mychala. Jechaliśmy Michigan Road. Daisy puściła jedną ze swoich ulubionych piosenek, Tylko ty, a on zaśmiewał się, gdy obie wykrzykiwałyśmy tekst. Ona śpiewała całość, a ja robiłam za chórek, który powtarzał: „Jesteś wszystkim, wszystkim, wszystkim, wszystkim". I czułam, że to o mnie. Jesteś ogniem i wodą, która go gasi. Jesteś narratorką, bohaterką i postacią drugoplanową. Jesteś autorką opowieści i samą opowieścią. Jesteś kimś dla kogoś, ale i sobą dla siebie.

Gdy Daisy zmieniła piosenkę na romantyczną balladę i śpiewała ją razem z Mychalem, zaczęłam myśleć o żółwiach sięgających aż do końca. O tym, że może rację mieli zarówno staruszka, jak i naukowiec. Świat liczy miliardy lat, a życie jest wynikiem mutacji genetycznych i tak dalej. Ale świat to także historie, które o nim opowiadamy.

*

Mychal skręcił w Dziesiątą Ulicę. Po pewnym czasie dojechaliśmy do sklepu z wyposażeniem basenów, którego podświetlony migoczący szyld głosił: BASENY ROSENTHAL. Połowa miejsc na parkingu była już zajęta. Mychal zaparkował. Daisy wyłączyła muzykę. Wysiedliśmy i znaleźliśmy się w otoczeniu osobliwej mieszanki dwudziestoparoletnich hipsterów i par w średnim wieku. Wszyscy oprócz nas wydawali się znać wszystkich innych, więc długo staliśmy w milczeniu obok samochodu Mychala, rozglądając się, póki kobieta w średnim wieku, cała ubrana na czarno, nie

podeszła i nie zapytała:

– Na wernisaż?

– Mmm, tak. Jestem Mychal Turner – rzekł Mychal. – M…moje zdjęcie bierze udział w pokazie.

– „Więzień 101”?

– Właśnie.

– Jestem Frances Oliver. Uważam, że „Więzień 101” to jeden z najmocniejszych przekazów w naszej galerii. A jestem jej kuratorką, więc wiem, co mówię. Chodźmy, chodźmy. Bardzo chętnie dowiem się więcej o twoim procesie twórczym.

Ruszyli razem przez parking. My za nimi. Frances co kilka kroków zatrzymywała się i mówiła: „Poznaj tego i owego”, więc przystawaliśmy, by poznać kolejnego artystę, kolekcjonera albo sponsora. Z czasem Mychala porwał tłum ludzi zachwyconych jego projektem. Przez chwilę stałyśmy za nim. W końcu Daisy chwyciła go za przegub dłoni.

– Zejdziemy już na dół – stwierdziła. – Baw się dobrze. Jestem z ciebie dumna.

– Idę z wami – powiedział Mychal, odwracając się plecami do grupy studentów z miejscowej uczelni artystycznej Herron.

– Nie, naciesz się tą chwilą. Jak poznasz tych wszystkich ludzi, będą później kupować twoje dzieła.

Mychal uśmiechnął się, pocałował ją i wrócił do grona fanów.

Po dotarciu na skraj parkingu zobaczyłyśmy za drzewami poruszające się światło latarki. Schodziłyśmy w jego stronę po niewielkim wzgórzu, aż krzewy ustąpiły miejsca szerokiej betonowej niecce. Jej dnem płynął strumyk tak wąski, że bez trudu nad nim przeszłam. Podeszłyśmy do brodatego faceta machającego latarką, który przedstawił się jako Kip i dał nam kaski z czołówkami.

– Idźcie wzdłuż kanału przez jakieś dwieście metrów, potem skręćcie w pierwszą odnogę na lewo i znajdziecie się w galerii.

Światło mojej czołówki podążało wzdłuż strumienia. W oddali zobaczyłam wejście do tunelu: wysysający światło kwadrat wycięty w zboczu. Obok niego leżał przewrócony wózek sklepowy, uwięziony przez omszony głaz. Idąc ku wejściu, podniosłam głowę na czarne sylwetki bezlistnych klonów szatkujących niebo.

Strumyk płynął lewą stroną kanału Pogue’s Run, a my szłyśmy podwyższonym betonowym chodnikiem po prawej. Natychmiast otoczył nas smród ścieków i obrzydliwie słodki odór zgnilizny. Myślałam, że mój węch z czasem do niego przywyknie, ale tak się nie stało.

Po kilku krokach do naszych uszu dobiegło szuranie gryzoni na dnie strumyka. Słyszałyśmy też echa nieczytelnych rozmów, które zdawały się dobiegać zewsząd. Czołówki wychwytywały graffiti na ścianach: malowane sprayem podpisy z pękatych liter, ale także rysunki i hasła tworzone szablonami. Światło Daisy zatrzymało się na malunku przedstawiającym przysadzistego szczura pijącego wino z butelki i podpisanym: KRÓL SZCZURÓW ZNA TWOJE TAJEMNICE. Kolejny tekst, nabazgrany czymś przypominającym białą farbę do ścian, głosił: NIEWAŻNE, JAK UMRZESZ. WAŻNE, JAKO KTO.

– Trochę straszne – szepnęła Daisy.

– Dlaczego szepczesz? – zapytałam.

– Boję się. Przeszłyśmy już dwieście metrów?

– Nie wiem – powiedziałam. – Ale gdzieś tam słychać ludzi. – Odwróciłam się, rzucając światło czołówki w kierunku wyjścia. Kilku facetów w średnim wieku, idących za nami, pomachało. – Widzisz? Wszystko OK.

Strumień tymczasem zmienił się w leniwą kałużę. Jakiś gryzoń przemknął przez nią, nawet nie mocząc sobie nosa.

– To był szczur! – wyjąkała Daisy.

– On tu mieszka – zauważyłam. – To my jesteśmy intruzami.

Szłyśmy dalej. Żółte światło czołówek i latarek wydawało się jedynym istniejącym światłem na świecie – niemal jakby wszyscy tu w dole zmienili się w promienie skaczące po tunelu w niewielkich grupkach.

*

Przed nami lampki skręcały w kwadratowy otwór po lewej stronie, wysoki na jakieś dwa i pół metra. Przestąpiłyśmy przez wąziutki strumyk, minęłyśmy szyld PROJEKT PICKETT

ENGINEERING i znalazłyśmy się w betonowym tunelu.

Zawieszone na ścianach obrazy i fotografie widać było jedynie w świetle latarek. Pojawiały się i znikały. Żeby zobaczyć dzieło Mychala, trzeba było stanąć pod przeciwległą ścianą. Było niesamowite. Więzień 101 wyglądał jak prawdziwy człowiek, choć wykonano go z fragmentów stu zdjęć ułaskawionych skazańców. Nawet z bardzo bliska nie dało się zauważyć, że nie jest pojedynczą osobą.

Inne projekty też były fajne: wielkie abstrakcyjne malowidła przedstawiające ostro zakończone figury geometryczne, chwiejna sterta starych drewnianych krzeseł sięgających sufitu, wielkie zdjęcie samotnego dzieciaka skaczącego na trampolinie pośrodku wielkiego skoszonego pola. Mnie jednak najbardziej podobało się zdjęcie Mychala – nie tylko dlatego, że go znałam.

Po chwili usłyszałyśmy gwar zbliżających się głosów i w galerii zrobiło się tłoczno. Ktoś włączył system nagłaśniający i wokół rozbrzmiała muzyka. Rozdawano plastikowe kubki, a potem podawano z rąk do rąk butelki wina. Robiło się coraz głośniej i choć było zimno, zaczęłam się pocić. Zapytałam Daisy, czy nie ma ochoty się przejść.

– Przejść?

– No. Chociażby tunelem.

– Chcesz spacerować w tunelu?

– Jeśli nie masz ochoty, to w porządku.

Wskazała rozciągającą się poza zasięgiem naszych czołówek ciemność.

– Proponujesz mi spacer w tę otchłań.

– Nie mówię, że mamy iść kilometr. Tylko kawałek, żeby zobaczyć, co tam jest.

Westchnęła.

– No dobrze. Chodźmy się przejść.

*

Wystarczyła minuta, by powietrze stało się mniej duszne. W tunelu panowały egipskie ciemności, a chodnik prowadził nas

długim, łagodnym łukiem w dal, póki światła wernisażu całkowicie nie zniknęły. Nadal słyszałyśmy muzykę i gwar, lecz wydawały się dalekie, jak impreza, obok której przejeżdża się samochodem.

– Nie rozumiem, jak możesz być tak nieludzko spokojna pięć metrów pod miastem, idąc po kostki w szczurzym gównie, a dostawać ataków paniki na myśl o tym, że możesz zakazić sobie palec – zauważyła Daisy.

– Nie wiem – mruknęłam. – Tu po prostu nie ma się czego bać.

– Obiektywnie jest – stwierdziła.

Podniosłam rękę i zgasiłam swoją czołówkę.

– Zgaś swoją – powiedziałam.

– Nie ma mowy!

– Zgaś. Nic złego się nie stanie. – Posłuchała wreszcie. Moje oczy próbowały przyzwyczaić się do ciemności, ale była zbyt nieprzenikniona. – Teraz nie widzisz ścian, prawda? Nie widzisz szczurów. Obróć się parę razy, a nie będziesz wiedziała, z której strony jest wyjście. To dopiero będzie straszne. Wyobraź sobie, że nie możemy mówić ani nie słyszymy swoich oddechów. Wyobraź sobie, że nie mamy zmysłu dotyku, więc nawet jeśli stoimy obok siebie, nie wiemy o tym. Wyobraź sobie – kontynuowałam – że próbujesz kogoś znaleźć, albo nawet znaleźć samą siebie, nie wiedząc, gdzie są ściany, gdzie tył, a gdzie przód, co jest wodą, a co powietrzem. Jesteś bezkształtna i pozbawiona zmysłów. Czujesz, że możesz opisać siebie jedynie poprzez określenie, czym nie jesteś. Unosisz się w ciele, nad którym nie masz kontroli. Nie masz wpływu na to, kogo lubisz, gdzie mieszkasz, kiedy jesz ani czego się boisz. Utknęłaś w tych ciemnościach całkiem sama. To jest straszne. A to… – Włączyłam czołówkę. – To jest kontrola. To jest siła. Mogą tu być szczury, pająki czy cokolwiek, ale to my na nie świecimy, a nie odwrotnie. Wiemy, gdzie są ściany, gdzie jest wyjście. To – znów wyłączyłam czołówkę – czuję, gdy się boję. A to – włączyłam – jest bułka z masłem.

Przez chwilę szłyśmy w milczeniu.

– Aż tak? – zapytała w końcu Daisy.

– Czasami – powiedziałam.

– Ale potem twoja latarka znów zaczyna działać – dodała.

– Na razie tak – odparłam.

*

Szłyśmy dalej. Muzyka za naszymi plecami cichła. Daisy trochę się uspokoiła.

– Myślę o zabiciu Ayali – westchnęła. – Wzięłabyś to do siebie?

– Nie – odrzekłam. – Chociaż ostatnio nawet zaczynałam ją lubić.

– Przeczytałaś najnowsze opowiadanie?

– To, w którym lecą na Ryloth, by dostarczyć konwertery mocy? Uwielbiam scenę, w której Rey i Ayala czekają na tego gościa w barze i po prostu rozmawiają. Lubię twoje opisy akcji i tak dalej, ale rozmowy są najlepsze. Poza tym podobało mi się, że spiknęłam się, to znaczy Ayala się spiknęła, z Twi'lekiem. Czytając twoje teksty, czuję się, jakbym naprawdę tam była.

– Dzięki – powiedziała. – Zaczynam się wahać, czy faktycznie ją zabić.

– Możesz, nie przeszkadza mi to. Byleby zginęła bohaterską śmiercią.

– No jasne! Musi. Myślałam o poświęceniu dla wspólnego dobra w stylu Łotra 1. Pasuje?

– Pasuje – zgodziłam się.

– Jezu, czy ten smród jeszcze się wzmaga? – zapytała.

– Na pewno nie słabnie – stwierdziłam.

Coraz bardziej śmierdziało gnijącymi śmieciami i niespłukanymi kiblami. Minęłyśmy kolejną odnogę tunelu. Daisy powiedziała, żebyśmy wracały, ale ja zobaczyłam w oddali kropeczkę szarego światła i chciałam sprawdzić, co tam jest.

Dobiegały nas coraz wyraźniejsze odgłosy miasta, a smród zaczął słabnąć. Musiałyśmy być blisko wyjścia. Szare światło się zbliżało. W końcu dotarłyśmy do końca tunelu. Był otwarty i niedokończony: wąski strumyczek, który miał omijać White River, zamiast tego uchodził do niej, sącząc się z wysokości dwóch pięter.

Podniosłam głowę. Było po dziesiątej, ale nigdy jeszcze miasto nie wyglądało tak oślepiająco jasno. Widziałam dosłownie wszystko: zielony mech na głazach pod nami, złote bąbelki piany u podstawy wodospadu, drzewa zginające się ku wodzie jak sklepienie w kaplicy, wielki srebrny młyn zbożowy absurdalnie nieruchomy w blasku księżyca, neony Speedwaya i Chase Banku w oddali.

Indianapolis położone jest tak płasko, że w zasadzie nigdy nie patrzy się na nie z góry. Nie jest miastem z widokami za milion dolarów. Teraz jednak miałam przed sobą taki widok w najmniej spodziewanym miejscu. Miasto rozciągało się pode mną i wokół mnie. Chwilę trwało, nim sobie uświadomiłam, że jest noc i że ten srebrzysty pejzaż tam, w dole, uchodzi za ciemność.

Ku mojemu zaskoczeniu Daisy usiadła, dyndając nogami nad przepaścią. Przysiadłam po drugiej stronie strużki i razem długo wpatrywałyśmy się w oszałamiającą scenerię.

Tej nocy wyszłyśmy na łąkę: gadałyśmy o studiach, całowaniu, religii i sztuce, a ja nie miałam wrażenia, że oglądam film pokazujący naszą rozmowę. Naprawdę ją prowadziłam. Potrafiłam jej słuchać i wiedziałam, że ona słucha mnie.

– Ciekawe, czy kiedyś dokończą ten tunel – zastanawiała się Daisy.

– W pewnym sensie mam nadzieję, że nie – przyznałam. – Oczywiście jestem wielką zwolenniczką czystej wody, ale chciałabym móc przyjść tu znowu za dziesięć czy dwadzieścia lat. Zamiast na jubileusz ukończenia liceum, przychodziłabym tutaj. – Miałam ochotę dodać: „z tobą”.

– Fakt – mruknęła. – Co tam czysta rzeka, skoro widok z niedokończonej inwestycji jest tak spektakularny. Dzięki, Russellu Picketcie, za twoją korupcję i niekompetencję.

– Pogue’s Run – wypowiedziałam w zamyśleniu nazwę strumyka. – Gdzie on właściwie ma początek? Gdzie jest jego ujście?

– Mylisz pojęcia, Holmesy. Początek rzeki to źródło. Ujście jest tu. – Patrzyłam, jak jej oczy okrągleją. – Usta biegacza, Holmesy! Chodziło o ujście biegu strumienia! To jest to miejsce!

Wstałam. Z jakiegoś powodu miałam uczucie, że Pickett stoi za nami i lada chwila może nas zepchnąć ze skraju tunelu prosto do rzeki.

– Teraz zaczynam się bać – powiedziałam.

– Co robimy?

– Nic – odparłam. – Nic. Odwracamy się, wracamy na wernisaż, rozmawiamy z koneserami sztuki awangardowej i wracamy do domu przed północą. – Ruszyłam w kierunku ledwo słyszalnej muzyki. – Powiem Davisowi, co odkryłyśmy. On zdecyduje, czy

przekazać to bratu. Poza tym milczymy jak grób.

– Dobra – rzuciła, goniąc mnie. – Myślisz, że on teraz jest gdzieś tam w dole?

– Nie wiem. Myślę, że ta wiedza nie jest przeznaczona dla nas.

– Hm – mruknęła. – Ale jak to możliwe, żeby cały czas tam siedział? – Miałam pewne podejrzenia, ale milczałam. – Jezu, ten smród… – Nie dokończyła.

*

Można by sądzić, że rozwiązywanie zagadek daje poczucie dopełnienia. Że domknięcie pętli uspokoi i pokrzepi twój umysł. Ale tak nie jest. Prawda zawsze rozczarowuje. Kiedy krążyłyśmy po galerii w poszukiwaniu Mychala, bynajmniej nie czułam się jak ktoś, kto dotarł do najmniejszej, niewydrążonej matrioszki. Tak naprawdę nic nie zostało rozwiązane. Było tak, jak według zoologa w przypadku nauki: nigdy nie znajduje się odpowiedzi, tylko coraz bardziej szczegółowe pytania.

W końcu znalazłyśmy Mychala. Stał oparty o ścianę naprzeciwko swojej fotografii i rozmawiał z dwiema kobietami. Daisy podeszła i ujęła go za rękę.

– Nie chciałabym przerywać zabawy – powiedziała – ale ten sławny artysta musi być w domu przed północą.

Mychal się roześmiał. Pożegnał się i we troje wyszliśmy z tunelu na skąpany w srebrnym świetle parking. Wsiedliśmy do samochodu. Gdy tylko zamknęłam drzwiczki, Mychal wyrzucił z siebie:

– To był najlepszy wieczór mojego życia dzięki że ze mną poszłyście Jezu to było najlepsze co w życiu przeżyłem może naprawdę zostanę artystą to było takie takie takie niesamowite. A wy dobrze się bawiłyście?

– Opowiadaj! – zachęciła go Daisy, unikając odpowiedzi na pytanie.

*

Gdy wróciłam do domu, mama siedziała przy kuchennym stole i piła herbatę z kubka.

– Co tak śmierdzi? – spytała.

– Ścieki, ciało, pleśń… różne rzeczy – odparłam.

– Martwię się o ciebie, Azo. Martwię się, że tracisz kontakt z rzeczywistością.

– Bynajmniej. Po prostu jestem zmęczona.

– Nie pójdziesz spać, póki ze mną nie porozmawiasz – uparła się.

– O czym?

– O tym, gdzie byłaś, co robiłaś i z kim. O twoim życiu.

Więc jej opowiedziałam. O tym, że byłam z Daisy i Mychalem na pokazie sztuki w tunelach pod miastem, o wyjściu na łąkę, o ustach biegacza, o podejrzeniu, że Pickett może się tam ukrywać, i o smrodzie.

– Powiesz o tym Davisowi? – zapytała.

– Tak.

– Ale nie policji?

– Nie. Jeśli im powiem, a oni znajdą go martwego, Davis i Noah nie dostaną w spadku nawet domu. Wszystko będzie należało do tuatary.

– Tua…kogo?

– Tuatary. Przypomina jaszczurkę, ale nią nie jest. Pochodzi od dinozaurów, żyje sto pięćdziesiąt lat, a Pickett w testamencie zapisał jej wszystko. Dom, przedsiębiorstwo i całą resztę.

– Kaprysy bogaczy – mruknęła mama. – Myślisz, że wydajesz pieniądze, a to one wydają ciebie. – Spojrzała na swój kubek, a potem znów na mnie. – Ale tylko wtedy, jeśli je czcisz. Służysz temu, co obdarzasz czcią.

– W takim razie musimy uważać, co czcimy – powiedziałam.

Mama uśmiechnęła się i wygoniła mnie pod prysznic. Kiedy stałam w strumieniu wody, zastanawiałam się, co będę czcić, gdy dorosnę, i co z tego wyniknie dla mojego życia. Wciąż miałam wszystko przed sobą. Mogłam zostać kimkolwiek.

23

Następnego ranka, w sobotę, obudziłam się wypoczęta. O moje okno bębnił marznący deszcz. Zimy w Indianapolis rzadko mogą się poszczycić pięknym śniegiem, po którym można jeździć na nartach czy sankach. Nasza tradycyjna aura o tej porze roku to coś, co nazywamy „mieszanką zimową”: kombinacja gradu, marznącego deszczu i wiatru.

Nie było nawet tak zimno – jeden czy dwa stopnie powyżej zera – ale wiatr dął jak szalony. Wstałam, ubrałam się, zjadłam trochę płatków, wzięłam tabletkę i przez chwilę oglądałam z mamą telewizję. Poranek spędziłam na prokrastynacji: wyjmowałam komórkę, zaczynałam pisać SMS, po czym ją odkładałam. Znów wyjmowałam – i znów nie. Jeszcze nie. Chwila nigdy nie wydawała się odpowiednia. Bo tak naprawdę nie ma czegoś takiego jak odpowiednia chwila.

*

Kiedy zmarł tata, przez kilka pierwszych tygodni jego śmierć była w mojej głowie rzeczywista i zarazem nierzeczywista. Potrafiłam go ożywić: widziałam, jak wchodzi do domu spocony po skoszeniu trawnika i próbuje mnie objąć, ale ja się wyślizguję, bo pot już mnie przeraża.

Albo leżałam na brzuchu w swoim pokoju, czytając książkę, zerkałam na zamknięte drzwi i wyobrażałam go sobie, jak je otwiera i wchodzi do pokoju. Patrzę na niego, a on przyklęka i całuje mnie w czubek głowy.

Z czasem takie przywoływanie go – jego zapachu, wrażenia, że tata mnie podnosi – stawało się trudniejsze. Zmarł nagle, a jednocześnie umierał latami. Tak naprawdę nadal umierał –

co chyba oznaczało, że nadal żyje.

Ludzie zwykle uważają, że pomiędzy wyobraźnią a pamięcią biegnie wyraźna granica, ale tak nie jest. A przynajmniej nie dla mnie. Pamiętam to, co sobie wyobrażam, a wyobrażam sobie to, co pamiętam.

Krótko po południu w końcu napisałam do Davisa.

Musimy pogadać. Możesz wpaść do mnie dzisiaj?

Odpisał: Nie ma kto się zająć Noahem. Może przyjdziesz do nas?

Musimy pogadać na osobności – nalegałam. Chciałam, żeby miał wybór, czy powiedzieć o wszystkim bratu.

Mogę wpaść o wpół do szóstej.

Dzięki. Na razie.

Dzień potwornie się wlókł. Próbowałam czytać, pisać do Daisy, oglądać telewizję, ale czas nie chciał przyspieszyć. Nie miałam pewności, czy lepiej byłoby zamrozić życie w tym momencie, czy raczej po drugiej stronie momentu, który nadchodził.

Za piętnaście piąta czytałam w salonie, a mama płaciła rachunki.

– Niedługo wpadnie Davis – mruknęłam.

– OK. Mam parę spraw do załatwienia. Potrzebujesz czegoś ze spożywczego?

Pokręciłam głową.

– Denerwujesz się?

– Czy mogłybyśmy się umówić, że kiedy mam jakiś problem psychiczny, to ci o tym mówię, żebyś nie musiała co chwila pytać?

– Kochanie, nie mogę nic poradzić na to, że się martwię.

– Wiem. Ale ja nie mogę nic poradzić na to, że odczuwam twoje martwienie się jako ciężki głaz w piersiach.

– Spróbuję.

– Dzięki, mamo. Kocham cię. Bardzo.

*

Zmieniałam niezliczone kanały w telewizorze, na żadnym nie znajdując nic, co przykułoby moją uwagę, póki nie usłyszałam cichego, niepewnego pukania do drzwi.

– Cześć – powiedziałam i przytuliłam Davisa.

– Cześć – odparł. Dałam mu znak, by usiadł na kanapie. – Jak się czujesz?

– Słuchaj, Davis – oznajmiłam bez wstępów. – Chodzi o twojego ojca. Wiem, czym są usta biegacza. To ujście Pogue's Run, miejsce, w którym firma twojego ojca wykonywała ten niedokończony projekt.

Zmarszczył brwi, a potem pokiwał głową.

– Jesteś pewna?

– Raczej tak. Myślę, że on może być gdzieś w pobliżu. Byłam tam z Daisy wczoraj wieczorem i…

– Widziałyście go?

– Nie. Ale to pasuje: usta biegacza, ujście biegu. Jego projekt.

– To tylko notatka z telefonu – zauważył. – Myślisz, że cały czas tam był? Ukrywał się w kanale?

– Może – odparłam. – Tyle że… hm, nie wiem.

– Tyle że? – podchwycił.

– Nie chcę cię martwić, ale tam panował okropny smród. Nie do zniesienia.

– To mogło być cokolwiek – powiedział Davis. Na jego twarzy malował się strach.

– Jasne. Cokolwiek.

– Nigdy nie myślałem… Nigdy nie pozwalałem sobie myśleć… – Głos mu się załamał. Chwilę później z jego gardła wyrwał się szloch, jakby pękło niebo. Osunął się na mnie. Przytuliłam go. Czułam, jak z każdym drżącym oddechem poruszają się jego żebra. Najwyraźniej nie tylko Noah tęsknił za ojcem. – O Boże… on nie żyje, prawda?

– Tego nie wiemy – szepnęłam.

Ale on chyba wiedział. To wyjaśniało, dlaczego ojciec nie próbował się z nimi skontaktować: przez cały ten czas był martwy.

Davis położył się na zakurzonej kanapie, a ja obok niego. Ledwie się tam mieściliśmy.

*

– Co teraz, co teraz? – powtarzał z głową na moim ramieniu. Zastanawiałam się, czy dobrze zrobiłam, mówiąc mu o naszym odkryciu. – Co teraz? – powtarzał w kółko.

– Nic nie rób – poradziłam mu. – Cokolwiek się stało, w świetle prawa będzie żył jeszcze siedem lat. Nie zabiorą ci domu ani nic. To szmat czasu, by rozpocząć nowe życie, Davis. Siedem lat temu nawet się nie znaliśmy.

– Teraz nie mamy nikogo – wymamrotał. Chciałam go zapewnić, że ma mnie, że może zawsze liczyć na mnie. Ale tak nie było.

– Masz brata – powiedziałam więc.

Wtedy znów się rozpłakał. Przytulaliśmy się tak długo, aż mama wróciła z zakupami. Oboje usiedliśmy gwałtownie, choć nie robiliśmy nic takiego.

– Przepraszam, że przeszkadzam – rzuciła mama.

– Już miałem wychodzić – zapewnił Davis.

– Nie musisz – powiedziałyśmy obie jednocześnie.

– Chyba jednak muszę – stwierdził, po czym obrócił się i objął mnie jednym ramieniem. – Dzięki – szepnął, choć nie byłam pewna, czy wyświadczyłam mu jakąkolwiek przysługę.

Na chwilę zatrzymał się w progu i ogarnął wzrokiem to, co pewnie uznawał za domowe ciepełko. Myślałam, że coś powie, ale on tylko niepewnie nam pomachał i zniknął za drzwiami.

*

To był cichy wieczór w domu Holmesów. Jak wiele innych. Pisałam wypracowanie o wojnie secesyjnej, a za oknem niezbyt jasny dzień powoli przechodził w noc. Powiedziałam mamie, że idę spać, przebrałam się w piżamę, umyłam zęby, zmieniłam plaster na palcu, położyłam się do łóżka i napisałam SMS do Davisa.

Cześć.

Nie odpisywał, więc napisałam do Daisy:

Gadałam z Davisem.

Ona: Jak poszło?

Ja: Średnio.

Ona: Mam przyjechać?

Ja: Tak.

Ona: Już jadę.

Godzinę później leżałyśmy obok siebie na moim łóżku z laptopami na brzuchach. Ja czytałam nowe opowiadanie o Ayali. Ilekroć się z czegoś zaśmiałam, Daisy pytała, co mnie tak rozbawiło, a ja jej wyjaśniałam. Kiedy skończyłam, po prostu leżałyśmy i gapiłyśmy się w sufit.

– Cóż – powiedziała Daisy – w końcu wszystko się jakoś ułożyło.

– Niby co? – zapytałam.

– Nasi bohaterowie się wzbogacili i nikogo nie spotkała krzywda.

– Wszystkich spotkała krzywda! – zaoponowałam.

– Chodziło mi o f i z y c z n ą krzywdę – doprecyzowała.

– Ja uszkodziłam wątrobę.

– Fakt. Zapomniałam. Ale przynajmniej nikt nie zginął.

– Harold zginął! I być może Pickett!

– Holmesy, ja naprawdę się staram znaleźć szczęśliwe zakończenie. Musisz mi zawsze wszystko spieprzyć?

– Straszna ze mnie Ayala – stwierdziłam.

– Straszna – przyznała.

– Problem ze szczęśliwymi zakończeniami jest taki – powiedziałam – że one tak naprawdę nie są szczęśliwe, albo nie są naprawdę zakończeniami, wiesz? W prawdziwym życiu coś się udaje, coś się nie udaje, a na końcu umierasz.

Roześmiała się.

– Aza „A Na Końcu Umierasz” Holmes jak zwykle przypomina nam o tym, że nasza historia zakończy się wymarciem rasy ludzkiej.

Ja też się roześmiałam.

– Cóż, to jedyne prawdziwe zakończenie.

– Bynajmniej, Holmesy. Sama wybierasz swoje zakończenia i rozpoczęcia. Wybierasz ramę, wiesz? Może nie wybierasz tego, co będzie na obrazku, ale ramę tak.

*

Davis nie odpisał, nawet kiedy ponownie napisałam do niego kilka dni później. Umieścił za to nową notkę na blogu.

> *„Jak bezpodstawna widzeń tych budowa,*
> *Jasne pałace i wieże w chmur wieńcu,*
> *Święte kościoły, wielka ziemi kula,*
> *Tak wszystko kiedyś na nic się rozpłynie,*
> *Jednego pyłku na ślad nie zostawi”*[15]

William Shakespeare

Rozumiem, że nic nie jest wieczne. Tylko dlaczego muszę za wszystkimi tak tęsknić?

---

15 William Shakespeare, *Burza*, przeł. Leon Ulrich.

24

Miesiąc później, zaraz po zakończeniu ferii świątecznych, wstałam wcześnie i nasypałam płatków śniadaniowych do dwóch miseczek – dla mamy i dla mnie. Gdy jadłam swoją porcję przed telewizorem, mama weszła do pokoju w piżamie.

– Ojej, jak późno! – jęknęła zdenerwowana. – Zbyt wiele razy nacisnęłam „drzemkę".

– Zrobiłam ci śniadanie – powiedziałam.

Usiadła obok mnie na kanapie.

– Cheeriosów się nie robi – odparła.

Roześmiałam się. Mama zjadła parę łyżek i pobiegła się ubrać. Cała ona – zawsze w biegu.

Przeniosłam wzrok z powrotem na telewizor. Dołem ekranu biegł czerwony pasek, a nad nim widniał reporter stojący przy bramie rezydencji Pickettów. Znalazłam pilota i włączyłam głos.

– …choć na oficjalną identyfikację przyjdzie nam poczekać, władze są niemal pewne, że ciało znalezione w bocznym korytarzu tunelu Pogue's Run należy do miliardera Russella Davisa Picketta. Osoba związana ze śledztwem powiedziała nam, że Pickett prawdopodobnie zmarł w wyniku wychłodzenia w ciągu, cytuję, „kilku dni" od chwili swego zniknięcia. Z kilku niepotwierdzonych źródeł otrzymaliśmy informację, że ciało Picketta znaleziono w wyniku anonimowej informacji.

Natychmiast napisałam do Davisa. Widziałam wiadomości. Strasznie mi przykro. Wiem, że ciągle to mówię, ale naprawdę tak jest. Przykro mi.

Początkowo nie odpisywał, więc dodałam: Chcę, żebyś wiedział, że Daisy i ja nie mamy nic wspólnego z zawiadomieniem policji. My nikomu nie powiedziałyśmy.

Pojawiły się kropki oznaczające, że Davis pisze odpowiedź. Wiem.

To my. Podjąłem tę decyzję razem z Noahem.

Do pokoju weszła mama. Zakładała kolczyki i jednocześnie próbowała wbić się w buty. Musiała usłyszeć końcówkę wiadomości, bo powiedziała:

– Powinnaś się odezwać do Davisa. Musi mu być bardzo ciężko.

– Właśnie z nim piszę – odparłam. – Mówi, że to on i Noah zawiadomili gliny, gdzie mają szukać.

– Wyobrażasz sobie, że cały ten majątek odziedziczy jaszczurka? Mogli przynajmniej odczekać siedem lat, aż Pickett oficjalnie zostanie uznany za zmarłego. Siedem lat dłużej cieszyć się domem i dostępem do wszystkiego, czego zapragną. A oni postanowili oddać to jakiejś tuatarze.

– Chyba nie mogli znieść myśli o zostawieniu tam ojca – mruknęłam. – Może niepotrzebnie powiedziałam mu o rozwiązaniu zagadki. – Dopiero teraz dotarło do mnie, że to moja wina, i przeszedł mnie lodowaty dreszcz. To ja zmusiłam ich do wybierania między porzuceniem ojca a porzuceniem dotychczasowego życia.

– Bądź dla siebie łaskawa – rzekła mama. – Najwyraźniej poznanie prawdy było dla niego ważniejsze niż dom. Poza tym przecież nie wyrzucą go na ulicę, Azo.

Próbowałam jej słuchać, ale znajome uczucie już we mnie kiełkowało. Przez chwilę się opierałam. Na próżno. Zsunęłam plaster, wbiłam paznokieć w zgrubienie na palcu i na nowo rozorałam zagojoną wreszcie skórę.

Kiedy myłam się i przyklejałam nowy plaster w łazience, przyjrzałam się sobie w lustrze. Zawsze taka będę. Zawsze będę to w sobie nosić. Nie da się tego zwalczyć. Nigdy nie zabiję smoka, bo smok jest jednocześnie mną. Moje „ja” i choroba były ze sobą splecione na zawsze.

Myślałam o dzienniku Davisa. O cytacie z Frosta: *Mogę trzema słowami podsumować wszystko, czego nauczyłem się o życiu: toczy się dalej.*

Życie płynie, a ty razem z nim, niezależnie od tego, czy układa się po twojej myśli, czy nieszczególnie. A przynajmniej tak szeptałam do siebie w myślach. Nim wyszłam z łazienki, raz jeszcze napisałam do Davisa: Spotkamy się kiedyś?

Pojawiły się kropki, ale odpowiedź nie nadeszła.

– Czas na nas – powiedziała mama.

Otworzyłam drzwi łazienki, ściągnęłam z wieszaka kurtkę i wełnianą czapkę, a potem weszłam do lodowatego garażu. Wsunęłam koniuszki palców pod drzwi, uniosłam je, po czym usiadłam w fotelu pasażera, czekając, aż mama dopije kawę. Co chwila zerkałam na telefon, sprawdzając, czy Davis się odezwał. Było mi zimno, a mimo to się spociłam. Pot wsiąkał w moją narciarską czapkę. Myślałam o Davisie, słyszałam jego nazwisko wypowiadane przez spikera. „Życie toczy się dalej", szeptałam do siebie i próbowałam telepatycznie przekazać to jemu.

*

Przez następne miesiące jakoś sobie radziłam. Poprawiło mi się, co nie znaczy, że wyzdrowiałam. Razem z Daisy założyłyśmy kółko promowania zdrowia psychicznego i kółko miłośników *fan fiction*, żeby w przyszłości móc wpisać w podaniu na studia jakieś zajęcia pozalekcyjne, choć na każdym z nich byłyśmy jedynymi uczestniczkami. Wieczorami przesiadywałyśmy u niej, w Applebee's albo u mnie, czasem z Mychalem, ale zwykle we dwie, i oglądałyśmy filmy, odrabiałyśmy lekcje albo po prostu gadałyśmy. Z Daisy bardzo łatwo było wyjść na łąkę.

Oczywiście brakowało mi Davisa. Przez kilka pierwszych dni często sprawdzałam na telefonie, czy nie odpisał, ale z czasem zrozumiałam, że nasza znajomość jest już historią. Mimo to za nim tęskniłam. Za nim i za tatą. I za Haroldem. Za wszystkimi. Życie to jedna wielka tęsknota.

*

Aż pewnego razu, w kwietniowy wieczór, siedziałam z Daisy u siebie i oglądałam występ naszego ulubionego zespołu, który reaktywował się tylko po to, by zagrać na rozdaniu trzeciorzędnych nagród muzycznych. Właśnie pięknie zaśpiewali z playbacku *To musisz być ty*, gdy ktoś zapukał. Była prawie jedenasta.

Z niepokojem otworzyłam drzwi.

Za nimi, w kraciastej koszuli i wąskich dżinsach, stał Davis. W rękach trzymał wielkie pudło.

– O, cześć – powiedziałam.

– To dla ciebie – rzekł i podał mi pudło, które okazało się lżejsze, niż się spodziewałam. Wniosłam je do domu i położyłam na stole w salonie. Kiedy się odwróciłam, Davis już się oddalał.

– Czekaj! – zawołałam. – Chodź no tu.

Wyciągnęłam do niego rękę. Chwycił ją i wyszliśmy razem do ogrodu. Słyszeliśmy, jak gdzieś w ciemnościach pod nami szumi wezbrana rzeka. Było ciepło. Położyłam się na ziemi pod dużym jesionem. Davis położył się obok mnie i razem przyglądaliśmy się, jak z mojego ogrodu wygląda niebo pocięte przez gałęzie, które właśnie zaczęły wypuszczać listki.

Powiedział, że wyprowadza się do Kolorado. Noah miał tam chodzić do szkoły z internatem dla trudnej młodzieży, a Davis zamierzał dokończyć naukę w publicznym liceum. Wynajęli dom.

– Jest mniejszy – rzekł. – Ale za to nie ma tam tuatary.

Zapytał, co u mnie. Powiedziałam, że przez większość czasu czuję się dobrze. Do doktor Singh chodzę raz w miesiącu.

– Kiedy wyjeżdżacie? – zapytałam.

– Jutro – odparł, co na dłuższą chwilę zamknęło mi usta.

– W takim razie – odezwałam się w końcu – powiedz mi, na co teraz patrzę.

Roześmiał się cicho.

– Tam oczywiście jest Jowisz. Świeci dziś bardzo jasno. A tu Arktur. – Obrócił się lekko i wskazał inną część nieba. – Tam masz Wielki Wóz, a jeśli spojrzysz w pobliże tych dwóch gwiazd, zobaczysz Gwiazdę Polarną.

– Dlaczego powiedziałeś glinom, gdzie mają szukać? – zapytałam.

– Niewiedza zadręczała Noaha. Chyba… chyba po prostu uznałem, że muszę się o niego zatroszczyć. Być starszym bratem. To teraz moje pełnoetatowe zajęcie. A on pragnął wiedzieć, dlaczego ojciec się z nim nie kontaktuje, bardziej niż pragnął jego pieniędzy. Dlatego to zrobiliśmy.

Ścisnęłam jego dłoń.

– Jesteś dobrym bratem.

Skinął głową. Mimo ciemności widziałam, że ma łzy w oczach.

– Dzięki – powiedział. – Chciałbym zatrzymać tę chwilę na bardzo, bardzo długo.

– Ja też – przytaknęłam.

Leżeliśmy w milczeniu. Czułam ogrom nieba nad głową, niewyobrażalny bezmiar wszechświata wokół; patrząc na Gwiazdę Polarną i wiedząc, że światło, które do mnie dociera, liczy czterysta dwadzieścia pięć lat, a potem przenosząc wzrok na Jowisza, który znajdował się w odległości mniej niż godzina świetlna od nas. Leżąc w bezksiężycowym mroku, byliśmy jedynie świadkami gwiazd. Chyba rozumiałam, co skłoniło Davisa do zainteresowania się astronomią. Było coś pokrzepiającego w poczuciu, że jest się zaledwie drobną cząstką tego wszystkiego. Uświadomiłam sobie to, co Davis musiał już wiedzieć: spirale stają się coraz mniejsze, gdy podążasz za nimi do środka, ale za to coraz większe, gdy się od niego oddalasz.

Wiedziałam, że zapamiętam ten moment – moment, gdy leżałam z nim pod poszatkowanym przez gałęzie niebem, nim jeszcze maszyneria losu przerobiła nas w to czy owo. Gdy jeszcze mogliśmy zostać, kim tylko zechcemy.

Myślałam, że mogłabym go kochać do końca życia. Bo kochaliśmy się: może nigdy sobie tego nie powiedzieliśmy i może nigdy nie byliśmy „zakopani” w miłości, ale tak czy owak, była to miłość. Kochałam go i myślałam, że może już nigdy go nie zobaczę i że już zawsze będę za nim tęsknić. Czy to nie okropne?

*

Okazuje się, że nie aż tak, bo znam tajemnicę, o której tamta ja, leżąca z nim pod niebem, nie miała pojęcia: wiem, że ta dziewczyna będzie trwać, że dorośnie, będzie miała dzieci i je kochała, że mimo tej miłości rozchoruje się zbyt mocno, by móc się nimi opiekować, wyląduje w szpitalu, potem poczuje się lepiej, a potem znów gorzej. Psychiatra powiedziałby: „Napisz, jak dotarłaś do tego punktu”.

Więc piszesz, a pisząc, uświadamiasz sobie, że miłość nie jest tragedią ani porażką, lecz darem.

Pamiętasz swoją pierwszą miłość, ponieważ ona pokazuje ci, udowadnia, że potrafisz kochać i być kochana; że nic na tym świecie nie jest zasłużone oprócz miłości, że to poprzez miłość, i dzięki niej, rozwija się twoja osobowość.

Ale gdy leżysz pod tym niebem, trzymając go za rękę, jeszcze tego nie wiesz. Nie wiesz, że w pudle, które położyłaś na stole, znajduje się obraz przedstawiający spiralę, a przyklejona do ramy samoprzylepna karteczka informuje: „Ukradłem to jaszczurce dla ciebie – D.”. Nie możesz jeszcze wiedzieć, że ten obraz będzie z tobą przechodził z jednego mieszkania do drugiego, a na koniec do domu, ani że kilka dekad później będziesz dumna, iż Daisy wciąż jest twoją najlepszą przyjaciółką, a wrastanie w dwa różne światy uczyniło was jeszcze bardziej lojalnymi wobec siebie. Nie wiesz, że pójdziesz na studia, znajdziesz pracę i będziesz miała życie przechodzące na przemian przez fazy rozpadu i odbudowy.

Ja – pierwsza osoba liczby pojedynczej – będę trwać, choć nie zawsze będę tego pewna.

Ale ty jeszcze tego nie wiesz. Obie, ty i ja, ściskamy jego dłoń, a on odwzajemnia uścisk. Wpatrujecie się razem w to samo niebo, aż w końcu on mówi:

– Muszę iść.

Ty mówisz:

– Do widzenia.

On odpowiada:

– Do widzenia, Azo.

A nikt nigdy nie mówi „Do widzenia”, jeśli nie zamierza zobaczyć się z kimś ponownie.

Podziękowania

W pierwszej kolejności pragnę podziękować Sarah Urist Green, która z ogromnym zaangażowaniem i wspaniałomyślnością przeczytała wiele, bardzo wiele wersji tej opowieści. Dziękuję także Chrisowi i Marinie Watersom, mojemu bratu Hankowi oraz bratowej Katherine, rodzicom – Sydney i Mike'owi Greenom, teściom – Connie i Marshallowi Uristom oraz Henry'emu i Alice Greenom.

Julie Strauss-Gabel od ponad piętnastu lat jest moją redaktorką. Nigdy nie zdołam w pełni wyrazić swojej wdzięczności za wiarę i mądrość, jaką wykazała się w ciągu sześciu lat, które spędziliśmy, pracując wspólnie nad tą książką. Dziękuję również Anne Heausler za życzliwą i sumienną korektę oraz całej ekipie wydawnictwa Dutton, zwłaszcza Annie Booth, Melissie Faulner, Rosanne Lauer, Steve'owi Meltzerowi i Natalie Vielkind.

Jestem dozgonnie wdzięczny Elyse Marshall, przyjaciółce, publicystce, powierniczce i współpodróżniczce, oraz wielu osobom z Penguin Random House, które pomagały moim książkom powstać i dotrzeć do czytelników. Byli to w szczególności Jen Loja, Felicia Frazier, Jocelyn Schmidt, Adam Royce, Stephanie Sabol, Emily Romero, Erin Berger, Helen Boomer, Leigh Butler, Kimberly Ryan, Deborah Kaplan i Lindsey Andrews. Dziękuję też Donowi Weisbergowi oraz błyskotliwej Rosiannie Halse Rojas, której wnikliwe wskazówki przysłużyły się każdej stronie tej książki.

Ariel Bissett, Meredith Danko, Hayley Hoover, Zulaiha Razak i Tara Covais Varsov z wielkim pietyzmem czytały próbne wersje książki. Joanna Cardenas po wnikliwej lekturze udzielała mi nieocenionych rad. Za wszelkiego rodzaju pomoc wdzięczny jestem Ilene Cooper, Billowi Ottowi, Amy Krouse Rosenthal, Rainbow Rowell, Stanowi Mullerowi i Marlene Reeder.

Rewelacyjne agentki Jodi Reamer i Kassie Evashevski są najlepszymi zwolenniczkami, o jakich może marzyć pisarz, a ich cierpliwość jest niewyczerpana. Dziękuję Philowi Plaitowi za pomoc w dziedzinie astronomii, E.K. Johnston za podzielenie się ekspercką wiedzą o świecie *Gwiezdnych wojen*, Edowi Yongowi za książkę *I Contain Multitudes*, Davidowi Adamowi za książkę *Człowiek, który nie mógł przestać*, Elaine Scarry za książkę *The Body in Pain*, Stuartowi Hyattowi za opowiedzenie mi o Pogue's Run, oraz Jamesowi Bellowi, Michaeli Irons, Timowi Riffle'owi, Lei Shaver i Shannon James za ich wiedzę prawniczą. Wszystko to jednak nie zmienia faktu, że geografia, prawo, konwertery mocy, nocne niebo i cała reszta tej książki są wymyślone i traktowane jako fikcja, a za wszelkie błędy biorę pełną odpowiedzialność.

I wreszcie – dr Joellen Hosler i dr Sunil Patel znacząco poprawili komfort mojego życia, udzielając mi wysokiej klasy pomocy psychologicznej i psychiatrycznej, o jakiej wiele osób niestety może jedynie marzyć. Moja rodzina i ja jesteśmy im bardzo wdzięczni. Jeśli ktoś z was potrzebuje pomocy związanej z problemami psychicznymi w Stanach Zjednoczonych, powinien zadzwonić na linię interwencyjną SAMHSA: 1-877-SAMHSA7[16]. Droga do zdrowia bywa długa i niełatwa, ale zaburzenia psychiczne są uleczalne. Istnieje nadzieja, nawet jeśli twój mózg podpowiada ci co innego.

---

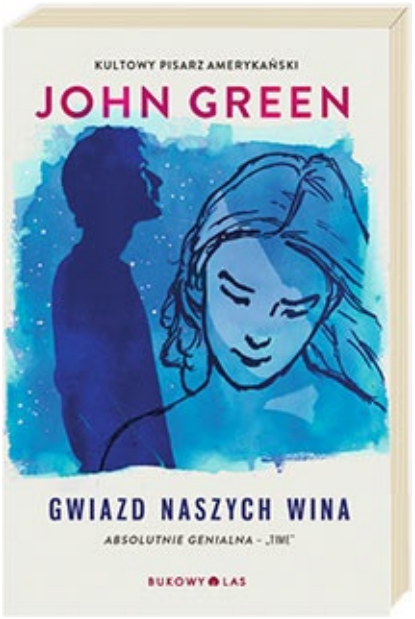
16 W Polsce w wielu ośrodkach zdrowia funkcjonują poradnie zdrowia psychicznego. Można tam skorzystać (bezpłatnie, w ramach NFZ) z pomocy psychiatry, psychologa albo psychoterapeuty. Lekarz psychiatra udziela porad bez skierowania, do psychologa i psychoterapeuty wymagane jest skierowanie od lekarza podstawowej opieki zdrowotnej albo od psychiatry. Można też zadzwonić do telefonu zaufania, na przykład:

Młodzieżowy Telefon Zaufania 192 88 – bezpłatny, czynny w godzinach 12.00–22.00;

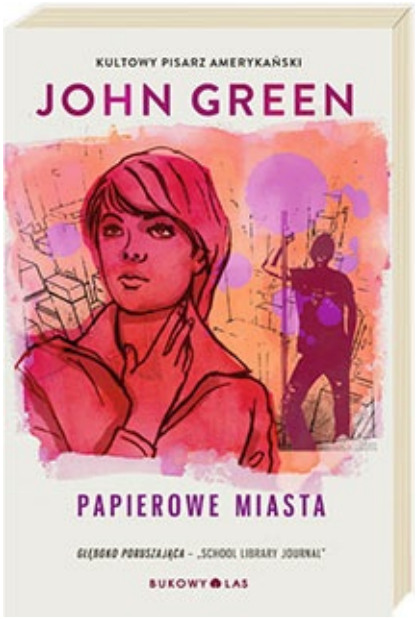
Telefon Zaufania dla Dzieci i Młodzieży 116 111 – czynny od poniedziałku do soboty w godzinach 12.00–20.00;

Ogólnopolski Telefon Zaufania „Uzależnienia behawioralne" 801 190 990 – czynny codziennie w godzinach 17.00–22.00 (w czasie świąt państwowych nieczynny). Płatny jest pierwszy impuls połączenia.

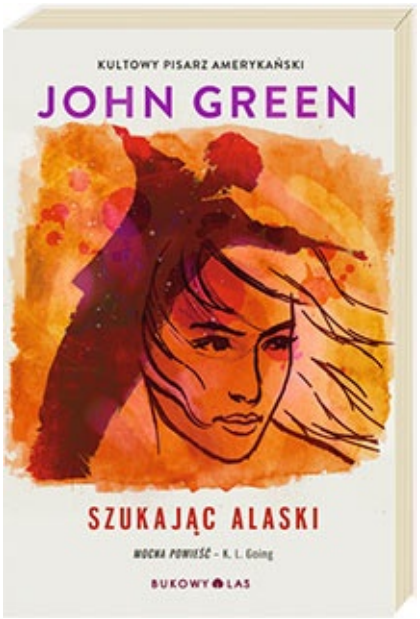
Wydawnictwo Bukowy Las poleca inne książki Johna Greena



Kiedy na spotkaniu grupy wsparcia dla chorej na raka młodzieży Hazel poznaje niezwykłego chłopaka Augustusa, zaczyna się dla niej wielka przygoda. Czy razem znajdą odpowiedzi na pytania: czym są choroba i zdrowie, co znaczą życie i śmierć, jaki ślad człowiek może po sobie zostawić na świecie?



Quentin od zawsze kocha się we wspaniałej Margo. W dzieciństwie przeżyli razem coś niesamowitego, teraz chodzą do jednego liceum. Pewnego wieczoru Margo wciąga chłopaka w niezły bałagan i znika. Quentin wyrusza na poszukiwanie dziewczyny tropem wskazówek, jakie zostawiła tylko dla niego. Czy dowie się, kim ona naprawdę jest?

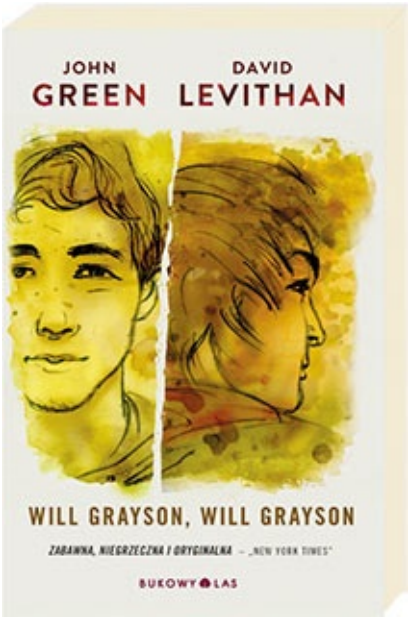


Powieść o wrażliwych i zbuntowanych młodych ludziach

szukających wrażeń i odpowiedzi na najważniejsze pytania. Historia Milesa, który zakochał się bez pamięci w szalonej Alasce i dzięki niej odnalazł Wielkie Być Może, czyli najbardziej prawdziwe i intensywne doświadczenie rzeczywistości.



Historia Colina, który gustuje wyłącznie w dziewczętach o imieniu Katherine. A one zawsze go rzucają. Ten uwielbiający anagramy, zmęczony życiem cudowny dzieciak wyrusza w podróż po Ameryce z przyjacielem Hassanem i 10 000 dolarów w kieszeni. Przezabawna, wielowarstwowa powieść o poszukiwaniu samego siebie.



Pewnego zimnego wieczoru w Chicago przecinają się ścieżki dwóch Willów Graysonów. Nazywają się tak samo, ale do tej chwili żyli w zupełnie różnych światach. Teraz ich życie rusza w całkiem nowym kierunku. Po drodze jest miejsce na przyjaźń i miłość, muzykę i futbol, a kulminacją będzie wystawienie szkolnego musicalu.

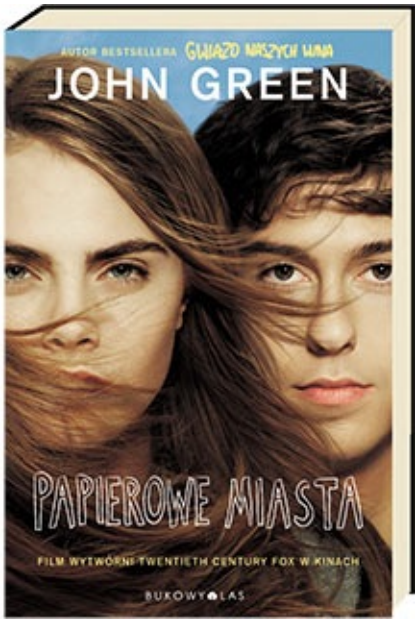


Trzy nastrojowe i dowcipne zarazem, powiązane ze sobą romantyczne opowiadania, z młodymi ludźmi w rolach

głównych i z zimą w tle, napisane przez troje znanych amerykańskich pisarzy. Sprawią przyjemność nie tylko miłośnikom świąt Bożego Narodzenia i powieści Johna Greena.

Wydawnictwo Bukowy Las poleca książki Johna Greena w okładkach filmowych







Fot. Marina Waters

JOHN GREEN

jest autorem powieści *Szukając Alaski*, *19 razy Katherine*, *Papierowe miasta*, *Will Grayson, Will Grayson* (z Davidem Levithanem) oraz *Gwiazd naszych wina*. Otrzymał wiele nagród literackich, m.in. Printz Medal, Printz Honor i Edgar Award. Magazyn „Time" umieścił go na liście 100 najbardziej wpływowych osób świata, a jego ostania książka *Gwiazd naszych wina* osiągnęła status amerykańskiego i światowego megabestsellera i została sfilmowana (podobnie jak później *Papierowe miasta*). Wraz z bratem Hankiem stworzył wiele internetowych projektów wideo, w tym niezwykle popularny blog Vlogbrothers i kanał edukacyjny Crash Course. Mieszka z rodziną w Indianapolis w stanie Indiana.

„Wstrząsająca i odkrywcza powieść".
THE NEW YORK TIMES

„Czuła, mądra i przepełniona nadzieją".
THE WALL STREET JOURNAL

„Najdojrzalsza z dotychczasowych książek Greena i w pełni zasługująca na pochwały".
BOOKLIST

„Głęboko empatyczna opowieść o nauce życia z demonami i o miłości do swego niedoskonałego ja".
PUBLISHERS WEEKLY

„Poruszy i ukoi niespokojne młodzieńcze umysły pod każdą szerokością geograficzną".
THE GUARDIAN



Szesnastoletnia Aza Holmes nie zamierzała uczestniczyć w poszukiwaniu zaginionego miliardera Russella Picketta. Ma przecież wystarczająco dużo własnych zmartwień i lęków. Ale gdy stawką okazuje się sto tysięcy dolarów nagrody i wieloletnia przyjaźń z Daisy, Aza postanawia się zaangażować w coś poza szkołą i walką z dręczącymi myślami. Musi zdobyć się na odwagę i odświeżyć znajomość z synem miliardera Davisem, a przede wszystkim pokonać przepaść, która oddziela ją od innych ludzi. To dla niej nie tylko niezwykła przygoda, ale też największe życiowe wyzwanie.

Najbardziej oczekiwana i najbardziej osobista książka Johna Greena. Przejmująca, ale i dodająca otuchy historia nastolatki zmagającej się z chorobą psychiczną. Powieść o rodzinie, przyjaźni, miłości i pokonywaniu przeciwności losu

Nr 1 na listach bestsellerów, m.in. „New York Timesa”, „Wall Street Journal” i „USA Today”

MYŚL-NIK

www.bukowylas.pl

Polub nas na Facebooku

Wyłączny dystrybutor

firma księgarska J&K Olesiejuk